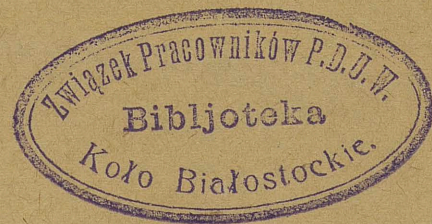


211

W CZAS BURZY



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU
REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁĄZEWSKI

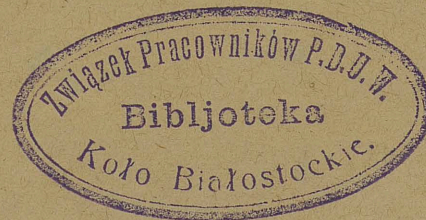
ROK WYDAWNICTWA TRZECI — TOM 19
OG. ZBIORU T. 82.

A 262.

JÓZEF POLLAK.

W CZAS BURZY

POWIEŚĆ

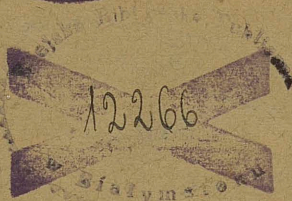


BIBLIOTEKA DCMU POLSKIEGO
WARSZAWA

2013

Handwritten red scribbles and lines.

Okladkę projektował Jan Pohoski.
Tłoczono w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Polska“,
w Warszawie.



884-311.2

Handwritten notes: 74, D., 26/6.46

Przed willę pana Andrzeja Szalawskiego, burmistrza powiatowego miasteczka, zajechał czwórka tęgich koni pan Tomasz. Choć sędziwy, skoczył krzepko z wózka niby młodzieniaszek i stanął w progu obszernego przedpokoju, w którym witał go serdecznie gospodarz domu.

— Aa! Tomasz! Witajże mi, kochany! Cóż u ciebie słyhać? czemuż tak dawno nie oglądały cię oczy moje? a! niewdzięczniku! trzy miesiące upłynęły, zanim raczyłeś się pokazać, myśmy już myśleli, że się o co gniewasz...

Nie dał mu dojść do słowa. Padł sobie w ramiona i tkwili w serdecznym długo uścisku. Od lat dziecinnych żyli w zażyłej przyjaźni, która przetrzymawszy niejedną ciężką próbę, zacieśniła się i skrzepla w więzy niczem nierozzerwalne.

— A czemuż Kazio nie przyjechał? Ewa się zmartwi...

— Był przecież w zeszłym tygodniu...

— Ba! ba! dziewczyna, jak kocha to wiesz przecież z dawnych naszych praktyk, chciałaby mieć ciągle chłopaka pod fartuchem...

— Jeden z nas musi być zawsze w domu — czasy wojny, każda chwila może coś przynieść, dom zostawić bez opieki — ryzykowna historia,

rwał rozumie do Ewki, i kręcił fraszliwie, że to niby trzeba zostać w domu, no, ale trudno nie było rady. — Front o 20 wiorst — nużby coś wypadło...

— Racja, racja! — no, ale pozwól wreszcie do pokoju...

Pan Tomasz zrzucił ciężką lisia szubę, którą lokaj wlot pochwycił, ściągnął długie filcowe buty, przyglądził siwe, bujne jeszcze włosy i poprawił krawat, który zwykle z szczególną troskliwością wiązał, uważając, iż pięknie związany krawat nadaje pretensji, z których pan Tomasz mimo przeszłego wieku nie rezygnował, owszem, rzechy można, iż z biegiem lat raczej je więcej podkreślał przez nienaganną staranność swojej garderoby i wytworny wygląd, do którego zawsze przywiązywał wielką wagę. Słyszał z tego wśród kolegów na ławie szkolnej czy w gimnazjum, czy w szkole gospodarczej, której historia chlubnie notowała jego nazwisko. Należał do pilnych, wybitnych i poważnie myślących studentów, którzy sumiennie przygotowywali się nietylko do przyszłego zawodu dzielnego ziemianina lecz i do służby ofiarnej na rzecz nieszczęsnej ojczyzny, której tragiczny los stał się dla nich ciąglą ich troską. Stąd wszystko, co czynił, czynił celowo i dla jej dobra. Karał za przewinę chłopca — wskazywał mu drogę obowiązku i cnoty, zasługę i pracę nagradzał — uczył iż tylko tą drogą iść należy, jeśli chce się być pożytecznym i prawym członkiem społeczeństwa i zdobyć spokój sumienia, wychowywał karnie w twardej, surowych zasadach syna — przysposabiał go do służby dla ojczyzny, która wymaga bezwzględnych ofiar, składanych sercem gorącym, ochoczym, orał, siał i zbierał nie dla siebie, sam bowiem dla siebie niewiele potrzebował, i nie dla zysków, których nigdy nie pragnął lecz przedew-

szystkiem zasobami, które matka-ziemia dała, krzepił i wspomagał tych, którym sił do pracy nie stało, zasilal i popierał różne liczne dobroczynne towarzystwa, które roztaczały opiekę nad biednymi, chorymi i sierotami. Okoliczne szpitale i domy sieroce szczególnie hojnie obdarzał, wychodząc z założenia, iż nie gębą lecz sercem i czynem dowieść się godzi miłości bliźnich i w ten sposób spełnić obowiązek wobec społeczeństwa i ojczyzny.

— W naszych, niestety, warunkach — zawsze mówił — nie możemy inaczej dowieść miłości ojczyzny, jak tylko żyjąc uczciwie i po bożemu i niosąc drugim pomoc, bez której zginęliby marnie, a radować ich i ocalić trzeba dla ojczyzny, która może ich potrzebować. Każdy osobnik na coś jej się przydać może, więc, my zamożni, mający środki starajmy się o to, by każdego uczynić zdolnym do życia, które należy do ojczyzny. Spełnienie tego obowiązku — głosił wszędzie — uważam za zasadnicze i najważniejsze — kto się od niego uchyla, nie jest patriotą, bo patriotyzm stwierdza się tylko czynem, na jaki dane warunki pozwalają. Gdyby ojczyzna była niepodległą i wolną, musiałby ten czyn przyjąć inne kształty i inne oblicze, dziś kiedy żyjemy w niewoli, czynem naszym patriotyzmem jest utrzymanie przy życiu pozbawionych środków do życia, krzepienia ich sił, które kiedyś mogą zaważyć na szali. Co do tego „kiedyś“, które miało nastąpić, budziły się w nim nieraz poważne wątpliwości, które, rozpetane, pograżały go w nieznośną zadumę i beznadziejny smutek. Zamykał się wówczas w swym pokoju i szukał pociechy w dziełach Mickiewicza, które, studentem będąc, potajemnie w siebie wchłonał, a do których teraz sięgał, dobywając je z tajemniczej skrytki. Niemniej wczytywał się w pismo święte,

które w najcięższych chwilach stanowiło dlań ostoję. Pytany, czemu przez kilka dni nie wychyla się z pokoju, odpowiadał krótko, iż czasem i o Bogu przypomnieć sobie się godzi i załatwić z nim zaległe rachunki.

— Odbyłem rekolekcje, teraz mogę z wami gadać.

I zjawiał się znowu pełen dobrej myśli i energii, zabierał się żwawo do pracy, do której zawsze sam pilnie się przykładał i drugich do niej umiał zachęcić.

— Praca — twierdził — jest tym czynnikiem, który życie czyni miłym. Ona nie tylko zapewnia możliwość istnienia, lecz gotuje radość i o smutku zapomnieć pozwala, ona daje zadowolenie i spokój sumienia. Nie rozumiem ludzi, zdolnych gnić całe życie w beczynności, która jest podłożem i początkiem wszystkiego złego.

W myśl powyższej maksymy zaprawiał wszystkich swoich ludzi nie wyłączając syna, w pracy, którą hojnie nagradzał, nie skąpiąc ziarna, ni pieniędzy. Nic tedy dziwnego, że w folwarku pana Tomasza życie pulsowało ochoczo i wartkim rwało nurtem. Od świtu do nocy, jesienią i latem kipiała wszędzie praca przy obsłudze bujnej, urodzajnej, o wysokiej kulturze gleby, w gorzelnii, w młynie, tartaku w gospodarstwie mlecznym, pszczelnem, rybnym i leśnym. Na czele wszystkich działów wzorowego gospodarstwa, prowadzonego na zachodnią modłę, stali ludzie doświadczeni, wytrawni, pracujący od lat z panem Tomaszem, oddani mu duszą i ciałem. Skoro świt, każdy śpieszył do swego zajęcia, które umiłował i z którym tak się zżył, iż istnieć nie potrafiłby bez niego. Z zachodem zaś słońca, kiedy mgły wieczorne poczęły się kłaść po łąkach, kiedy bydło schodziło z pola i ludzie śpieszyli wśród śpie-

wów do domu, pan Tomasz wychodził na pdwórze i z każdym życzliwie pogadał, z jednym omawiając sprawy, związane z gospodarstwem, z innym kwestje jego prywatne, domowe, tu i ówdzie służąc serdeczną radą, tam niosąc w smutku pociechę lub dzieląc radość.

Tak toczyły się sprawy spokojnym, regularnym trybem z dnia na dzień, z roku na rok, przewijając się jużto wśród radości, jużto wśród smutków, — jak to zwykle bywa w życiu ludzkim — pod czujnym i troskliwym okiem pana Tomasza, i zdało się, iż nic nie zdoła przerwać zwykłego biegu zajęć i zamącić spokojnego życia zamożnej, cichej wsi, rozwijającej się bujnie pod opiekuńczymi skrzydłami zacnego dziedzica, gdy nagle przyszła zawierucha straszliwej wojny, która doszczętnie zmieniła bieg rzeczy. Jakby ręką odjął, jak mówią, wszystko przybrało zgoła inne oblicze. Pan Tomasz sposepniał, opuścił ręce, tracił energję i raczej po kątach po próżnicy, bezradnie się plątał, niżby energicznie, jak dawniej, zabiegał i krzątał, praca stanęła, jakby stężała na martwym punkcie o tyle tylko podejmowana, by wieś i dwór żywić, a ludzie osiedla wyludniły się z chłopów, którzy ruszyli na wojnę. Niepewność jutra znaczyła się na wszystkich ludzkich poczynaniach, które, podjęte, szły jakoś opornie, leniwo niechętnie. Rekwizycje, przymusowe podwoły, robocizna, narzucona przez wojsko, wprowadziły niechęć i rozstrój, który wzmagał się, aż osiągnął swój punkt najwyższy, kiedy front przesunął się niemal tuż koło wsi, bo oddalony od niej zaledwie dwadzieścia wiorst. Wówczas wszyscy, choć już przywykli do nowego sposobu życia, narzuconego przez wojnę, potracili głowy. Sztab armji rosyjskiej zakwaterował się we dworze, wydanym bezkarnie na łup żołdactwa, które plądrowało, niszczyło i ra-

bowoło w imię dobra, bronionego przed Niemcem, zapalczywym, nieprzejednanym wrogiem.

— Walczymy z Germańcami o Polskę — zapewniali oficerowie — więc ponieść musicie ofiary. Chcielibyście odzyskać ojczyznę bez ofiar?

Pan Tomasz przygryzał wąsa i milczał miał bowiem w tym względzie własny swój sąd ustalony, i nie ludził się, że wszystkie obietnice, zawarte w odezwie do narodu polskiego, wydanej w chwili wybuchu wojny przez wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza i wszystkie zapewnienia przyjaźni są wierutnym kłamstwem, obliczonym na zyskanie poparcia sławnego z męstwa narodu polskiego. Rząd rosyjski, przystępując do niebezpiecznej i ryzykownej rozprawy z doskonale zorganizowanymi Niemcami rozumiał, iż szczerze sympatje narodu polskiego rzucone na szalę wojny po stronie Rosji, walną będą pomocą w odniesieniu zwycięstwa. Szumna, pełna pochlebstw skierowanych pod adresem Polaków odezwa miała, jednak nie tylko ogarnąć i porwać Polaków zaboru rosyjskiego lecz także pruskiego i austriackiego, miała jak się spodziewano, wyrzucić ten skutek, iż Polacy w Austrii i Prusiech chwycą za broń, i opowiedzą się po stronie Rosji.

Przewidujący, rozumni, a dobrze obznajmieni z praktykami rządu rosyjskiego przejrżeli ten nędzny manewr, który miał na celu, podobnie jak po stronie Austrii i Prus, wyzyskanie sił narodu, zwiedzonego rozbudzonemi w znękanych sercach nadziejami, dla swych widoków, których osiągnięcie bynajmniej nie zobowiązywało do dotrzymania przyrzeczeń, owszem, jak historia poucza, wiodło zawsze do reakcji.

Pan Tomasz zbyt był oczwytany w historii, by nie wiedział, iż rządy wszystkich państw w chwili dla siebie niebezpiecznej i groźnej zdolne są do

zawarcia wszelkich nawet najśmieszniejszych kompromisów, do posunięcia się w obietnicach do granic, przechodzących najsmielsze nadzieje szaleńca lecz tylko w tym celu, by, opanowawszy sytuację, wejść na drogę tem surowszych represji, ucisku i gwałtu. Dowodów na to czerpał z historii tysiące zwłaszcza z epoki po-napoleońskiej, kiedy to ludy, zwiedzione błyskotliwymi obietnicami swych rządów, zerwały się do boju z „korsarzem“, krew przelały i życie niosły, by w nagrodę za poniesione ofiary doczekać się epoki Metternicha i świętego przymierza. Specjalnie zaś historia Polski przed i porozbiorowa pouczała pana Tomasza, iż wierzyć któremukolwiek z rządów zaborczych byłoby szaleństwem. Jeśli chodziło o Prusy, przypominał sobie poza wielu innymi faktami, które na każdym kroku wskazywały na fałsz i obłudę, fakt przymierza Prus z Polska w r. 1794, kiedy to Prusy w sposób oszukańczy, podstępny wyzyskały dobrą wiarę i naiwność Polski, wierzącej królewskiemu, pruskiemu słowu, mocą którego król pruski poręczał nietykalność szczupłych już wówczas zresztą obszarów Polski, mierząc ostrzem przymierza w Austrię, którą chciał zmusić do ustępstw. Polska, składająca swe losy z całym zaufaniem w ręce króla pruskiego, stała się w jego ręku politycznym narzędziem dla wywarcia presji na Austrii. Niestety Polska, zawsze rycerska i dobrodusza, dała się po wielokroć razy użyć za narzędzie w obcej ręce dla obcych widoków. Kiedykolwiek pan Tomasz czytał o wyprawie wiedeńskiej — a historję wertował codziennie wieczorem dla wytchnienia po znoonej, całodziennej pracy i po tysiąc razy odczytywał te same kartki, opisujące wielkość i sławę Polski, jej tragedję i zgon — burzył się na naiwność Sobieskiego, którego zre-

sztą jako wodza i bohatera uwielbiał, zaciskał pięści na niewdzięczność i chytrość Austrii, która, zawisnąwszy nad przepaścią, uratowała się dzięki rycerskości i męstwu polskiego żołnierza. Z gorczyczą, bólem i łzami w oczach czytał listy króla Jana do Marysieńki, w których wielki a tragiczny król notował: „wojska niemieckie i mieszkańcy Wiednia zabierają konie, należące do armii polskiej, władze cesarskie zatrzymały pieniądze, przesłane przez papieża na żołąd i żywność dla wojska polskiego“ a nieco wyżej, kiedy Austrija zdawała się być bez ratunku, czytał w liście kłamy cesarza Leopolda do króla Jana: „Oczekujemy już nie wojsk waszych ale przybycia waszej królewskiej mości, bo jesteśmy przekonani, że gdy osoba waszej królewskiej mości stanie na czele wojsk naszych, to choćby te były nieliczne, samo imię waszej król. mości, straszne naszym wspólnym wrogom, uczyni ich klęskę pewną“. Ta sama chytra i podła Austrija, która ocalała jedynie dzięki orężowi polskiemu i tym polskim corocznym na Turka wyprawom, w których Polska tak ciężko krwawiła, ta sama Austrija pierwsza wyciąga zbrodniczą rękę po polskie ziemie — wśród lez swej dobrodliwej monarchinii!

— A kongres wiedeński? — syczał pan Tomasz z pasją — czegoż ten Alexander I Polakom nie obiecywał? lecz poco? by ich wygrać przeciw Austrii i Prusom i powściągnąć ich apetyty, sam ciesząc się wcale niezgorzonym! ten rzekomy, wspinały „zbawca“ ludów, za jakiego pragnął uchodzić, coś w piersi pieścił duszę moskiewską!

— Oć! wiem ja — myślał pan Tomasz — słuchając wywodów rosyjskich oficerów, którzy rogościli się w jego dworze na dobre — co sądzić o waszych lotrowskich obietnicach. Głupcy i kłamy!

Przytakiwał, kręcił lub przygryzał wąsa i milczał, unikając, ile możności, niemiłego sobie towarzystwa, które cuchnęło fałszem i zgnilizną moralną. Chronił się do swego pokoiku, kędy przy skąpym świetle nocnej lampki w późną noc dumiał, z bólem myśląc o przeszłych, z trwogą o przyszłych losach nieszczęsnej ojczyzny?

— Co z tobą będzie, miła, ty, Ojczyzno? — próbował rozwiązać męczącą zagadkę, odchylić rąbek przyszłości, której, rzecz dziwna, i pragnął, by co rychlej spełniła się, i wkońcu nadeszła i bał się, lękiem śmiertelnym zdjęty. Całe noce waleesał się trwożny po pokoju i szukał odpowiedzi na dręczące pytania, które znękaną duszę opadły.

— Kędyż jest koniec twej męki? jakież są nadzieje? kto przejrzy przyszłe twoje losy? co ci znaczone przez Boga? czy ta wielka chwała, którą mistrze słowa polskiego ci wróżyli? czy ostateczna śmierć i zagłada?

Bo kiedy patrzył na te olbrzymie, przelewające się masy obcego żołnierstwa, te nieprzeliczone kolumny ciężkiej, licznej, świetnej artylerji i konnicy, serce niespokojnie łomotało w piersiach i drżało lękiem ogarnione.

— Któż stawij czoło temu potworowi, zakutu temu w żelazo, zbrojnemu od stóp do głów, kto zwalczy te masy? Niemcy? dobrze! lecz co wtedy?

Znał Niemców aż nadto dobrze, rok bowiem w latach młodzieńczych spędził w Niemczech na studjach. Znał ich świetną organizację, ich wysoko rozwinięte poczucie obowiązku i pracy, — znał ich świetny przemysł, ogarniający coraz szersze światowe rynki, widział ich niezliczone fabryki, widział ich robotnika przy warsztacie, urzędnika przy biurku, rolnika przy pługu i wie-

dział, że naród ten kipi energją, pulsuje żywym, rażno drgającym życiem, tętni wulkaniczną pracą i technie ogromną, niezwalczoną siłą.

— Jeśli oni zwyciężą? — myślał — koniec Polski!

Na myśl o tem niepokój rósł i wzmagał się do napięcia, które groziło jakimś straszliwym wybuchem rozpacz, którą koł wczytując się w Pismo Święte. A gdy już nie mógł opanować rozpacz, pędził między ludzi, jechał do miasta, by wśród przyjaznych sobie twarzy zapomnieć o tem, co męczy i boli.

Dzień, w którym zjawił się u pana Andrzeja, był właśnie jednym z tych, w których chyba tylko walić łbem o mur i skończyć tę straszną mękę, w której dusza się wila.

— Cości, Tomaszu, mizernie wyglądasz, — zaczął pan Andrzej, kiedy weszli do salonu — czy aby nie jakie zmartwienie?

— Właśnie przyjechałem złapać nieco tchu, bo ciężko człowiekowi.

— A cóż takiego?

— A cóż? niewiadomo, co będzie!

— Niby z czem?

— No z nami.

— Ha! będzie, co Bóg da!

— Ba! łatwe rozwiązanie!

— Wierzę głęboko w Opatrzność.

— Sama wiara...

— Połowę zwycięstwa...

— Niezawodnie! lecz to jeszcze nie wszystko! Wierzyć, zbyt mało lecz czynić też trzeba.

— Czynić? dobrze! ale co? cóż teraz możesz czynić, kiedy rozgrywają się takie wielkie sprawy.

— Otóż właśnie o to chodzi! jak się one skończą?

— Cóż? trudno tu coś przewidzieć! snuć w tym względzie jakiegokolwiek domysły, próżną byłoby rzeczą ale jedno zdaje mi się być pewnem, że wybrniemy z tej historji może jakoś cało.

— Ale jak?

Pan Andrzej rozłożył bezradnie ręce.

— Bóg to raczy wiedzieć!

— Możeby więc przecież coś czynić?

— Owszem, coś tam czynią po tamtej stronie — są przecież legjony...

— Ee! — zachnął się pan Tomasz — ty wierzysz tym szelmom, chętnym austrjakom?

— Nie o to chodzi, co Austriacy legjonom przyrzekają, chodzi o to, żeby bodaj coś mieć w razie czego pod ręką... i dlatego też, uważasz...

Tu nachylił się pan Andrzej i szeptał:

— Nie miałbym nic przeciwko temu, abyśmy i my tutaj coś takiego stworzyli...

— Za nic na świecie! — zaprotestował żywo pan Tomasz — z moskalami?

— Pst!... ostrzegł pan Andrzej — Łobukow!

— Łobukow? któż to taki?

— Gruba ryba! generał dywizji...

— Tu? u ciebie?

— A jakże! mam ten zaszczyt! stoj u mnie kwaterą od miesiąca — strzepnął pan Andrzej z pasją palcami...

— Zostawmy te sprawy na później — oto nasze panie!

— Moje uszanowanie łaskawej pani — zerwał się żwawo pan Tomasz z krzesła — już dawno nie miałem przyjemności i zaszczytu rączek pani całować...

— A! ładnie, ładnie — odrzekła z dobrotliwym, łagodnym uśmiechem pani Barbara -- tak się to i o życzliwych sobie przyjaciółkach zapomi-

na, umrzećby można, a nie doczekaliby się przyjazdu pana Tomasza.

Ewci skłonił się pan Tomasz z galanterją — piękne dzień dobry, od Kazia zaś serdeczne uściski.

— A czemu Kaziak nie przyjechał? proszę mu za powrotem oświadczyć — groziła piękna Ewa — że surowa spotka go za to kara.

— Myśle, Ewciu, — żartował pan Tomasz — że przez tydzień, który tu zamierzam spędzić, ostygniesz w gniewie i przebaczysz winę, która mnie raczej przypisz, albowiem ja właśnie, za co cię, Ewciu, przepaszam, poleciłem mu w domu zostać ze względu na tę hołotę, która po całym dworze się kręci itylko weszy, co gdzie ukraść, zniszczyć i zrabować. Dalibóg! strasznych doczekaliśmy czasów! Nieraz też, przyznam się, ogarnia mnie tak bezgraniczna rozpacz, iż z trudem przychodzi odpędzić myśl, która uporczywie wraca i do wrót duszy natarczywie kołata...

Potoczyła się rozmowa na temat doniosłych wydarzeń, które wojna z sobą niosła, kręciła się, żmudnie i ciągle wóółko około jednej i tej samej kwestji, niepewnych losów ojczyzny, które kowały się jakieś nieznanne, a przecież niewątpliwie decydujące i wielkie w ogniu karabinów i huku armat, które grzmiały po całej, śmiertelnie znękanej polskiej ziemi. Na ustach wszystkich zawisło straszliwe pytanie, na którym trwożnie skupiła się myśl narodu, pogrążonego w niespokojnem oczekiwaniu swych losów. Tysiące chodziło w tej mierze wersji, tysiące podawano koncepcji, lecz nikt nie zdołał dociec prawdy, która kryła się rzekomo kędvs w mózgach pruskich meżów stanu, jeśli chodził o koncepcję austro-pruska, w istocie swej stała się już wówczas przedmiotem poważnych rozważań, toczonych przez najznakom-

mitszych meżów polskich z przedstawicielami potężnej koalicji.

I przeżywał nieszczęsny naród jedną z tych chwil niebezpiecznych dla siebie i tragicznych, nieobcych dlań zresztą w historii, iż bałamucony rozpadł się na dwa namiętnie zwalczające się obozy, z których jeden wierzył niezłomnie w potęgę Prus i z niemi wiązał swe losy, drugi stał wiernie i mocno po stronie koalicji, a więc i Rosji. Okolczność, iż Rosja wchodziła w skład ententy, silnie ostudzała zapal w tych wszystkich, którzy znali przewrotność i chytrą perfidję rosyjskiego rządu, niemniej przecież mimo wszystko zdecydowani byli raczej oopowiedzieć się po stronie koalicji i u niej szukać poparcia, niż liczyć na prusko-austrjackie obietnice, zawarte w odezwie do narodu polskiego, zredagowanej i wydanej dla przezorności przez naczelną komendę c. i k. wojsk austro-węgierskich. Odezwa poczynała się od odwołania się do wszechmocnego, który kieruje losami narodów, obiecywała wyzwolenie z pod jarzma rosyjskiego i wzywała, by powitano sztandary austro-pruskie z ufnością. „gdvż one zapewnią wam sprawiedliwość“. W dalszej swej bezczelnej osnowie podawała: „sztandarv te nie są Wam i Waszym rodakom obce. Wszakże przez półtora przeszło wieku rozwija się wspaniale Wasz naród pod berłem Austro-Węgier i Niemiec i pełne sławy tradycje Waszej przeszłości łączą się jak najściślej jeszcze od czasów króla Jana Sobieskiego!, który pośpieszył z skuteczną pomocą zagrożonemu państwu Habsburgów, z tradycjami Waszych sąsiadów na zachodzie“. Kończyła się ta wspaniała odezwa. w której niewiadomo, co należało więcej podziwiać bezczelność czy najwność: „Polacy! Zawierzcie ochotnie i z pełną

ufnością naszej opiece, poprzyjcie nas i nasze usiłowania z całego serca. Zawierzcie sprawiedliwości i wielkoduszności naszych władców, spełnijcie swoją powinność, spełnijcie obowiązek utrzymania ziemi rodzinnej, spełnijcie obowiązki, jakie nakłada na Was w tej ważnej chwili wola Boga Wszechmogącego!”

Podobnej mniej więcej treści odezwę wydał i wielki książę Mikołaj Mikołajewicz i... obie odezwy znalazły niestety wielu gorących zwolenników.

Lecz czyż dziwić się godzi lub potępiać, iż naród ciemniony szukał jakiegokolwiek wyjścia z matni, szarpał się do krwi w niewoli, czekając jeno na sposobność i skuteczny środek rozluźnienia pętlicy, zacieśniającej coraz mocniej gardło i zapierającej w śmiertelnym lęku dech w piersi.

Kędyż zawrócić biedne, wyplakane oczy, wiekować, ciężką niedolą zżarte? Ku komuż wyciągnąć bezsilne ramiona z błaganiem o ratunek? Komuż zaufać a kogo wzgardą oplwać za podstęp i podłość? w kim widzieć przyjaciela a w kim wroga. skoro wszystkich trzech zaborców twarze powlokły się nagle łaskawym uśmiechem, co sięgał serc skolatanych i budził radosne nadzieje?

Dezorjentacja, chaos, klótnie, swary i podejrzenia omotały nieszczęsną dręczoną duszę zrozwalonego narodu, który ciąglą przemianą okrutnych losów łamać się w sobie zdawał, nędznieć i padać, by nie dźwignąć się więcej lub spodleć!

Lecz czuwał nad nim jego nietknięty, silny duch, co jasnym, mocnym skrzydłem dusze ogarnął i dźwigał, czuwała opatrność, co łaskawe swe dłonie nieszczęśnikom na rozpalonych skroniach dobrotliwie złoźwla, by wywieźć ich z mroków straszliwych pokus i okrutnej doli i po-

wieść ku radości i słońcu, które Bóg Wszechmocny w cichości gotował.

Ciernie, śmiercionośne opary niepewności i męki zapadły nad zoraną polską ziemią armatami wrogów, co krwią spłynęła i łzami złupionych, ograbionych i niewinnie na śmierć skazanych.

I nieśli chytry wrogowie w jednej dłoni różdżę pokoju, promienie łask i nadzieje, a drugą siali barbarzyńskie zniszczenia, zagładę.

A szale losów ważyły się ciągle niepewnie, pogłębiając niepewność i trwogę. Pośród huku armat i jęków niewinnych ofiar płynęły potężne z obu stron pokusy, pochlebstwa i piękne słówka, iż niewiadomo, gdzie leży fałsz a gdzie prawda.

Sama przez się nasuwała się analogja doby ówczesnej z chwilą upadku Napoleona, kiedy to książę Józef, rycerz bez zmayı, znalazł się nagle w zamętym wirze śmiertelnej walki, kuszony z jednej strony przez cara Aleksandra za osobistym pośrednictwem księcia Adama Czartoryskiego, z drugiej wsłuchiwał się w głos sumienia i honoru, który dyktował wierność napoleońskim sztandarom. Wyszedł z walki zwycięsko — zginął, jak na polskiego żołnierza przystało, uratował honor Polski i dowiódł, iż żołnierz polski nie porzuca sztandarów, którym wierność zaprzysiągł.

Czy naród wyjść miał z walki zwycięsko, w której się przeżył, któż zdołał wówczas przewidzieć?

Żalosa skarga miotała piersią, boleść żelaznemi okowy opasała serca.

W stokroć dotkliwszej rozterce ducha tkwiła młodzież, łatwo zapalna, gorąca. Jedni zbiegli do legjonów, by walczyć przeciw znieprawionej Rosji, drudzy stanęli pod bronią w formacjach, tworzonych przy boku Rosji a przeciw Austrii, inni wyczekiwali jakiegoś hasła, które skądś paść

miało, by wezwać do czynu. Lecz była i takich garść spora, która nie czekała hasła, nie szukała zbawienia u wrogów lecz sama na własną rękę działać zapragnęła, snując akcję podziemną tajemną, niesłychanie lekkomyślną lecz równie śmiałą mającą na celu niezależnie od przebiegu wydarzeń na polach bitew, stworzyć silną, samodzielną organizację, której użyćby można nie w służbie u obcych i nie dla ich celów lecz dla sprawy polskiej, postawionej silnie i samodzielnie. Toczyła się żwawo tajna konspiracyjska robota, zataczająca coraz szersze kręgi. Jak grzyby po deszczu powstawały liczne koła prowincjonalne, wiązały się w jedną wielką, organiczną całość z jej lotną siedzibą, przenoszącą się z miejsca na miejsce dla zmylenia czujności rosyjskich władz. Na czele stał centralny komitet, którego skład znany był tylko nielicznym wtajemniczonym. Celem organizacji było wytworzenie siły bojowej, mającej być zaczątkiem przyszłej armii polskiej, której użyć miano w stosownej chwili. Narazie zaś ograniczano działalność do przecinania połączeń telegraficznych, wysadzania mostów, niszczenia magazynów, utrudniania dowozów dla armji, co wszystko zmierzać miało do sparaliżowania skutecznej i sprężystej akcji armji rosyjskiej i sprowadzenia ostatecznej klęski. Narazie mierzono w tego wroga, którego można było osiągnąć, w przyszłości, na wypadek zwycięstwa Niemców nad Rosją, miano ten sam sposób postępowania zastosować i do dwu innych, Austrii i Prus.

Śmiałe to i bardzo ryzykowne przedsięwzięcie, w razie wykrycia w sumkach swych nieobliczalne, miało pozory czegoś wprost fantastycznego, — czegoś, co stanowczo żadnych nie mogło wydać rezultatów a przynieść niepowetowane straty.

Bo i jakżesz tu mierzyć się garstce młodzieży, pozbawionej wszelkich środków z takimi potęgami, jak Rosja i Prusy? czyż nie należało uważać tej młodzieży za szaloną, ważącą się na czyn rozpaczny, który łatwo mógł przynieść zgubę, skazać na zaturę?

Lecz taka to już polska młodzież, taki polski naród, o którym ongi mówił osławionej pamięci poseł Stackelberg: „to dziwny naród! Da on sobie surdut zabrać, lecz gdy od niego ktoś jeszcze koszuli zażąda, w furję wpada i wszystko odbiera“.

Takim był polski naród od swej kolebki — szalony, rycerski! i takim pozostał poprzez swój tragiczny zmierzch, takim przez ciemną noc niewoli. Historia polska roi się od czynów szalonych. Każda wyprawa wojenna, podjęta przez rycerstwo polskie była czynem szalonym. Bitwy pod Grunwaldem, Kluszyńcem, Cecora, Wiedniem, w wąwozie Somo-siera stanowią tego dowody. Wszystkie powstania, a szczególnie rok 1863, kiedy to car Mikołaj I-szy drżał o władzę królestwa i myślał już tylko o uratowaniu Litwy., do której wysyłając Murawiewa, żegnał go słowami: ratuj przynajmniej Litwę! — wystawiają najchlubniejsze świadectwo nigdy niewygasłej miłości ojczyzny, pobudzającej do czynów, które graniczą z szaleństwem i świat wprawiają w zdumienie. Czyż przypominać trzeba te wszystkie pochwały i odznaczenia, któremi zasypywał Napoleon wojsko polskie w uznaniu jego męstwa? A niezapomnianej pamięci świeżo wykonany atak polskiej kawalerji pod Rokietną?! Austrijaczki generał skinął — i oddział bez namysłu runął — i zginął, — zdobywszy laury nieśmiertelności.

Żyje w nas duch wielkich przodków, rycerskich, szlacheckich i mężnych — symbolem naro-

du polskiego jest husarz polski, jego najwyższa cnota nieustraszone męstwo, które prawem dziedzictwa przechodzi nieuronione z ojca na syna.

To męstwo, wypełniające najświetniejszą kartę historii wzięła w spuściznie po ojcach i młodzież doby wielkiej wojny.

Zmuszona walczyć w obcych szeregach dla obcych celów biła się jak lew, ginęła jak pies lecz sławną śmiercią stworzyła nowe karty, zapisane krwią i nieśmiertelną chwałą. A zaś część jej inna, w domu pozostała, czekała jeno sposobnej chwili, by runąć na wroga jak ongi polska husaria pod Warszawą na szyki króla szwedzkiego i roznieść go na kopytach.

A naukę czerpała — z historii, zwłaszcza z powstania 1863, które wlokło się rok cały, mimo, iż powstańcy nie rozporządzali prawie żadnymi środkami. Rosja natomiast dysponowała olbrzymią, dobrze uzbrojoną armją. Czemżeż była ta szczupła garstka bohaterów, niepopartych nawet przez własny kraj dość wydatnie wobec potęgi militarnej Rosji? A jednak długo musiała Rosja walczyć, aż wreszcie po roku złamała z trudem opór, i przy największych wysiłkach zgłuszyła powstanie, które życiem przypłacił. wśród wielu innych, niezapomnianych, jego ostatni dyktator i naczelnik rządu narodowego, szlachetny, ofiarny Traugutt, wielki syn tak bohaterskiego narodu. Na niego wskazywała młodzież doby wielkiej wojny, jako niedościgniony wzór poświęcenia, ofiarności i obywatelskiej cnoty. On, mimo największych przeciwności, mimo zwątpienia, które ogarnęło szeregi, mimo wszystkich braków, które dawały się dotkliwie wszystkim odczuwać, paraliżując ich sprawność i gasząc ducha, nie wahał się w najtrudniejszej chwili, stanąć na czele 17 października 1863 roku. Objąwszy ster władzy,

wśród najokropniejszych warunków, nie dał się ugiąć, ni złamać lecz z zaparciem się serdecznie imal się pracy, przywrócił rozluźnioną dyscyplinę, tchnął w szeregi nowego ducha i pchnął akcję na nowe tory, niestety już bez powodzenia. W liście swym 2-go lutego 1864 roku pisał: „U nas władza nie jest celem ambicji ale aktem poświęcenia a to, co głosimy, nie jest czcza formą, ale wvnikiem naszych przekonań, prac i trudów życia. poieciami tak stałem i niezłomnem, że za nie w każdej chwili życie dać jesteśmy gotowi i codzień je narażamy”.

Ofiarnego poświęcenia jasna, ciepła, wielka, pełna dusza!

Testamentem dla potomnych i przekazaniem po wiek wieków dla nas winien być jego ostatni list, pisany z więzienia do żony z 27 czerwca 1864 roku:

„Cokolwiek ze mną się stanie, nieskończone dzięki składam Bogu, że dziatki pod bacznem okiem i czułą opieką takiej matki jak ty, będą wzrastać w łasce Boga i ludzi. Tylko ich z pod swego oka nie usuwaj dla jakich próżnych widoków świetnego wychowania. Bądźcie zawsze razem, gdzie ty, tam i one, gdzie one, tam i ty. Zamiłowanie porządku i czystości wpajaj najmocniej w dziatki — powinno to być zewnętrznem odbiciem porządku moralnego i czystości duszy. Niezapominajmy, że Bóg, chociaż i o szczęściu naszym doczesnem pamięta, przedewszystkiem ma na celu szczęście nasze wieczne, do którego nas stworzył i przeznaczył. Taką to pociechę przesyłam ci, gdyż ta tylko człowiekowi w największem nieszczęściu i strapieniu prawdziwą być może — z tego samego źródła i ja czerpię moc i osłode”.

Cóż dziwnego, że młodzież przepojona rycerskim duchem wielkich swoich przodków, wycho-

wana, choć potajemnie, na wzorach najdostojniejszych synów narodu, jak Kościuszko, ks. Józef Poniatowski, Traugutt i inni, owiana gorącą miłością ojczyzny, roznieconą w sercach tajemną lekturą trzech wieszczów, Ujejskiego, Asnyka, Sienkiewicza, Wyspiańskiego, płonęła nieprzepartą żądzą do walki z wrogiem, choćby przyszło mierzyć się z nim na gołe pięści. Bił z tych młodocianych dusz gorący żar w którym każda choćby najzuchwalsza, czy najlekkomyślniejsza myśl przekuwała się w czyn.

— Ci, którzy muszą służyć w obcych szeregach i walczyć za obca sprawę — rozumowano — niech walczą, niech zdrada, broń Boże, nie splamią honoru, lecz my wolni, imajmy się azylu!

I wrzała praca od świtu do nocy.

Na czele koła w miasteczku, o którym mowa, stała Ewa, córka pana Andrzeja, wychowana w atmosferze prostoty, czystości obyczajów, pracy i ofiarności na rzecz dobra publicznego. Środowisko, w którym wzrosła, cechował ten sam rys charakterystyczny, jaki był i panu Tomaszowi właściwy: szczerą, gorący patriotyzm, zasadzający się na cięgle pracy nad sobą samym i nad drugimi. Te dwa domy, pana Andrzeja i pana Tomasza, były w czas burzy przystanią, były w ucisku ostoja, w której każdy krzepił ducha, zgiętego zwątpieniem i kołł ból, co piersią targał. Tu w domu pana Andrzeja, od najdawniejszych lat, jak ramięcią sięgnął, odbywały się tajne narady nad położeniem kraju, tu nadawały ważne decyzje odnośnie do działań, które w danej chwili podjąć należało, tu koncentrowało się całe życie polityczne, które promieniowało na cały powiat. Dom pana Andrzeja był niby basztą na murach, w której czuwała załoga, przepatrująca dniem i nocą przyległe wioski i sioła. Nic też w powiecie nie

działo się bez wiedzy pana Andrzeja, niczego nie podejmowano bez jego aprobaty i rady. Pan Andrzej rozważny ostrożny, przewidujący hamował każde zbyt gwałtowne pociągnięcie na szachownicy politycznej, miarkował zbyt wzburzone nastroje i trzymał na wodzy przedwczesne wybuchy żalu i rozpacz, stojąc niwzruszenie na tem stanowisku, iż w chwili, kiedy Rosja stoi u szczytu militarnej potęgi, wszelkie poczynania byłyby zbrodnią wobec narodu. Nawet w chwili, kiedy Rosja wbrew jego przewidywaniom ponosiła klęskę za klęską, twierdził, iż nie pora myśleć o nie mających sensu ruchawkach. Rosja bowiem, jak słusznie rozumował, będzie zawsze mimo klęsk dość potężna, by stłumić wszelkie zakusy. Z wybuchem wojny, która nasuwała tysiące możliwości i kombinacji, zdwoił swą czujność i na mocy narady z przyjacielem, panem Tomaszem gorąco przestrzegał przed jakimkolwiek niedorzecznym przedsięwzięciem. Lecz młodzież łatwo zapalna, nieumiejąca opanowywać swych namiętności nie poszła drogą, wskazaną przez pana Andrzeja i wypowiedziała się przeciw jego zalecaniom, podając surowej krytyce jego rzekomą obojętność dla spraw narodowych. Zapalczywi posunęli się w niesłusznych i krzywdzących sądach nawet tak daleko, iż podejrzewali pana Andrzeja o rozmyślne i celowe gaszenie ducha a nawet porozumienie z Rosją, których to podejrzeń uzasadnienia dopatrywali się w tem, iż pan Andrzej zawsze starannie unikał wszelkich zatargów z rosyjskimi władzami, z którymi — mówiono — rzecz dziwna, wychodził na czysto. W istocie była to oczywiście tylko mądra polityka pana Andrzeja, który uważał, iż tą drogą więcej zdoła zapewnić miastu korzyści, niż gdyby miał wejść na drogę tarć i nieporozumień. Zasadnicze zresztą stanowisko pana An-

drzeja w stosunku do władz rosyjskich sprowadzało się do uznania twardej konieczności, której niestety, celem uniknięcia najgorszych ewentualności, poddać się trzeba, a o której usunięciu dopiero wówczas myśleć należy, kiedy nawinie się dogodna i sposobna pora, a tej dotąd nie spostrzeżl. Miał w tym względzie pan Andrzej w pewnej chwili pewne wątpliwości, obawiał się, czy stanowisko jego nie nosi na sobie piętna służalczej lojalności, lub nie tchnie tchórzostwem, na skutek którego mógłby przeoczyć chwilę podjęcia działań i odniósł się do pana Tomasza z prośbą o radę i wypowiedzenie się w tej kwestji. Po długiej dyskusji i rozważaniu położenia zgodzili się obydwa, iż bezwzględnie czekać należy, od której to, wytkniętej przez obu linii pan Tomasz z biegiem czasu poczał się nieco odchyłać, dopuszczając możliwość podjęcia jakiejś akcji, co do której jednak istoty ani charakteru zgoła nie zdawał sobie sprawy i dlatego właśnie do pana Andrzeja na czas dłuższy na naradę zjechał.

Kombinacyj tych atoli, jak się z wahań pana Tomasza okazało, chwiejnych i niepewnych, młodzież nie akceptowała. Słuszność zapatrywań pana Andrzeja pierwsza zakwestjonowała Ewa, twierdząc, ku wielkiej przykrości ojca, iż dalsze, ślepe, służalcze uleganie przemocy rosyjskiej jest hańbą i wstydem, przyczem wskazywała na wodzów, bohaterów i męczenników narodowych, którzy nie filozofowali jak ojciec, lecz rzucili się w nurt, nie trzymając się kurczowo tego nędznego życia, pędzonego w hańbiącej niewoli i poświęcili bez żalu krew i mienie dla idei, dla sprawy. Na ten temat toczyły się między nimi długi czas zażarte dyskusje, w ciągu których pan Andrzej surowo Ewie nakazywał wyrzeczenie się bezwzględne wszelkich bezsensownych mrzonek, Ewa zaś od-

grażała się, iż postąpi wbrew woli ojca i przy pierwszej sposobności wystąpi czynnie.

Zrozpaczony pan Andrzej postanowił szukać rady, którą ku największej swej radości wkrótce znalazł w przyspieszeniu terminu ślubu Ewy z Kazimierzem, na co pan Tomasz oczywiście natychmiast się zgodził. Lecz tu natrafili obydwa najniespodziewanej na nieprzejednany opór Ewy, która z największym oburzeniem odrzuciła uczynioną sobie propozycję.

— Jakto? — uniosła się — więc ojciec zaleca mi teraz rozkosze małżeńskie?

— Nie — rozkosze a małżeństwo — odparł pan Andrzej poirytowany.

— Teraz?

— Dlaczegoż nie?

— Nie pojmuję, jak ojciec może nawet tego nie rozumieć — na wszystkich frontach Europy leje się polska krew, pada kwiat polskiej młodzieży nieraz nawet niestety pod ciosami bratnich rak, w które wróg przemocą wcisnął broń, waży się losy ojczyzny, a ojciec każe mi o sobie myśleć, każe wchodzić w związki małżeńskie, zresztą naprawdę szczerze dla mnie upragnione, by w nich szukać zapomnienia? więc może ja, ojczu, wydaje ci się być czemeś ważniejszym, niż najświętsza sprawa? Ojczu! ty tak przecież nie myślisz! ty mnie przecież całe życie nie tego uczyłeś! uczyłeś mnie wielkiej miłości ojczyzny, tchnałeś we mnie ducha ofiarności i poświęcenia, za co ci jestem nieskończenie wdzięczna a teraz miałbyś, ojczu, odstąpić od tych zasad, i mnie miałbyś od nich odwodzić? przecież jestto chyba rzeczą niepodobną, bo, gdyby tak być miało, cóż byłoby na świecie pewnego i trwałego?

Zawstydził się pan Andrzej, lecz nie przestał nalegać, aż wkońcu wobec stanowczej odmowy

ustąpił, z dumą jednak i podziwem myśląc o Ewie, której mądrość, logika i siła argumentacji sprawiły mu radość. Nie mniej przecież próbował jeszcze po pewnym czasie wysunąć po kolei panią Barbarę, pana Tomasza i Kazimierza, lecz wszystkich odprawiła z niczem, zaś z tym ostatnim rozmówiła się stanowczo, zamykając toczącą się na ten temat z nim dyskusję groźby.

— Zapowiadam ci, Kaziu, że nigdy nie będę twoją, jeśli jeszcze raz zechcesz mnie odwieść z dróg, znaczonych mi losem, dyktowanych obowiązkiem. Ty chcesz pędzić życie w bezczynności, kiedy ziemia drży i pod nogami się pali, dobrze, to twoja rzecz, nie mieszam się do tego, lecz zabraniam ci mieszać się do moich czynów, które chyba nie przynoszą mi — dokończyła z ironją — jako twojej narzeczonej ujmy a raczej chyba tylko chluby.

Na tem skończyła się wielka kampanja, podjęta przez pana Andrzeja i spaliła na niczem, a raczej wobec milczenia Ewy wypaliła się i wygasła. Ewa nie chcąc ojcu, któremu oddana była całym sercem sprawiać przykrości, pozornie wyrzekła się wszelkich prób jakichkolwiek poczynań, rzekomo stosując się do woli ojca, w istocie zaś rzucał się w wir niebezpiecznych zakonspirowanych przedsięwzięć, których stała się duszą i kierowniczką. Na skutek zamaskowania się Ewy uspokoiła się zakłócona chwilowo atmosfera domu pana Andrzeja i życie zdało się toczyć zwykłym, normalnym, cichym trybem, którego główną osią była samarytańska praca w szpitalach i niesienie pomocy biednym a zwłaszcza uchodźcom, którzy uszli przed pruska nawałą, porzucając na łup dobytek i mienie. Ewa okazała się nad podziw ruchliwą i niez mordowaną. Zmieniała opatrunki, myła zaropiałe, cuchnące rany,

niosła słowa pociechy, doglądała szpitalnej kuchni, zarządzała służbą i chorym tysiącnie oddawała usługi, czem zyskiwała sobie uznanie władz wojskowych, o co zresztą nie dbała, a zwłaszcza generała Łobukowa, który rozgościł się kwaterą w domu jej ojca.

— Panna Ewa, da! to dzielna panna! ot takich więcej! wy zasłużyli na order! nu, już ja się o to postaram.

— Biedni chorzy! — bakała Ewa — ból lżejszy, gdy sercem rany się leczą.

— Da! da! — potakiwał excelencja — to bardzo pięknie, was nie mnie nagroda!

— Ani jej nie szukam ani jej nie pragnę.

— Należy się! kto jeśli nie wy, panno Ewo?

— Kiedy patrzę na te straszne rany, urwane nogi, ręce, poszarpane w strzępy ciała...

— Tak! to okropne! to wojna!

— Wstrętne to, barbarzyńskie! — gwałtownie wzbuchała.

— Ba, cóż robić? trzeba słuchać, jak każe...

— Trzeba?

— A cóż? panno Ewo! — nie?

— I excelencja potrafi tak bez jednego drgnienia serca pchać tych nieszczęsnych w ogień, na żer armat, na pewną zgubę?

— Rozkaz, panno Ewo!

— Ach! nienawidzę! nienawidzę! — zaciskała pięści.

— Nie mówcie wy, panno Ewo, że ja bez jednego drgnienia pcham ludzi w ogień! wy mnie wierzcie, że ja bardzo nad nimi boleję, że gdyby ode mnie zależało, jej Bohu, wszystkich mężów oddałbym żonkom, a synów matkom ale... cóż ja, choć excelencja, generał dwóch szturmowych dywizji, komendant całego odcinka — ja jestem ze-

rem, niczem! Tam w Petersburgu — ot, tam u góry — ci wszystko mogą.

Powtarzali się te dorywcze między nimi dialogi i zadzierżnęły węzły sympatii. General Łobukow zdał się Ewie być dla boleści i niedoli ludzkiej i wyrozumiałym. Odwiedzał rannych, pocieszał, rubla rzucił i do odznaczenia podał, mieszkańcom miasta czynił ulgi, wyświadczał dobrodziejstwa, bronił przed uciskiem i zdzierstwem, do władz komunalnych odnosił się życzliwie — słowem, wszystko czynił, by ulżyć ludziom w ich ciężkiej doli, przez co zaskarbił sobie sympatję miasta i zjednął szacunek.

— Porządny człowiek, szkoda że moskall. — wyrażała się Ewa z uznaniem, co pan Andrzej i Tomasz zgodnie potwierdzali.

— Istotnie wyjątkowy człowiek — zauważył pan Andrzej.

— Pocciwy, ludzki — stwierdzał pan Tomasz.

— Ale i żołnierz, co się zowie — wyrokował pan Andrzej — rygor, dyscyplina w wojsku aż trzeszczy.

— Dzięki Bogu, bo tam u mnie na wsi to banda opryszków i złodzieji. Stóg siana w mig mi rozkradli.

— Trzeba było zanieść skargę...

— Djabła tam! co to pomoże?

— Wiesz, mam doskonałą myśl! a gdyby tak temu Łobukowowi...

— Za nic! o nic zebrać nie będę... choć Łobukow, moskall w nim siedzi! — ponuro odrzekł pan Tomasz.

— Prawda, racja! — przyznał pan Andrzej.

I tak gwarząc, mimowoli wracali do tematu, który im na sercu leżał, a który po tysiąc razy wieczorami wspólnie rozstrząsali i co czynić?

Z którejkolwiek strony rzecz rozważali, zawsze przychodzili do tego samego przekonania, iż na razie niema inn. go wyjścia jak czekać.

— Przecież raz do djabła kiedyś ta wojna się skończy — mówił pan Andrzej.

— Zapewne, ale dobra sposobność minie — odrzekł pan Tomasz.

— Cóż ty tu nazywasz tą dobrą sposobnością?

— No, Rosja jest tak zaangażowana... klęskami tak przygnębiona...

— Dziesięć takich jeszcze klęsk wytrzymał! A coż to Napoleon nie zapędził się aż do Moskwy? i z czem wrócił?

— Inne warunki...

— Dobrze, inne warunki, mniejsza z tem. Przyjmijmy, że Rosja przegra — coż stąd dla nas za korzyść?

— Mogą zagarnąć nas wówczas Niemcy...

— I wtedy dopiero pewna dla nas zatraćta...

— A jeśli rzecz odwrócimy?

— Rosja nas połknie bez reszty...

— Czyli w żadnym wypadku...

— A w żadnym!

— Jakież więc widoki?

Pan Tomasz wstrząsnął ramionami, rozłożył bezradnie ręce.

— Nie wiem! Dalibóg, nie wiem!

— Boże, mój Boże! — zawodził z rozpaczą pan Andrzej — coż za przekłety los znaleźć się między dwoma młyńskimi kamieniami!

Łamali sobie napróżno głowy nad rozwiązaniem trudnego problemu, lecz nie zdołali dojść do żadnej konkluzji, jak wielu, wielu innych, jak wszyscy, którzy z lękiem patrzyli w miejscową, zagadkową przyszłość. Na wszystkich ustach zawisło to straszliwe pytanie, na które widz nie

umiał dać odpowiedzi: co przyniesie jutro? Rosła przejmująca męka, wznosiła się do rozmiarów bezgranicznej rozpacz, która miasto skupiać, rozsadała, kopała wśród braci przepaść, truła wzajemnych podejrzeń jadem, potęgując moce nienyrzejrzanego, ponurego mroku.

Aż nagle pewnego ranka gruchnęła po miasteczku wieść, iż Niemcy front rosyjski przelamali i posunęli się naprzód o dwadzieścia kilka wiorst. Zrazu wieści nie wiercono, lecz wkrótce potwierdził jej prawdziwość popłoch wśród wojsk, które cofały się na całej linii, zatrzymane ostatecznej tuż pod samem miastem dzięki energii generała Łobukowa, której zdziesiątkowane pułki z linii wycofał, wprowadzając na ich miejsca swoje dwie szturmowe dywizje które zwycięsko wytrzymały napór Niemców i w brawurowym ataku, kierowanym przez samego Łobukowa osadziły ich na miejscu.

Pan Tomasz odchodził od zmysłów, atak niemiecki bowiem odciął go od syna i od folwarku. Krzątał się bezradny, biadał nad swym losem, po tysiąc razy rozważał sposobu których użyć zamierzał, by wrócić do domu i czuwać nad młodym, niedoświadczonym a krewkim synem, zasięgał nawet rady Łobukowa i prosił go o pomoc, by się ostatecznie przekonać, że daremne są wszystkie próby. Niepokój jego udzielił się całemu domowi pana Andrzeja, wszyscy bowiem zarówno byli zainteresowani w ciężkiej przygodzie, jaka pana Tomasza spotkała tak ze względu na zażyłe stosunki przyjaźni, jak i ze względu na ułożony mariaż Ewy z Kazimierzem. Najdotkliwiej odczuła ten cios pani Barbara, z natury wrażliwa, nerwowa, wszędzie dopatrująca się niebezpieczeństwa i nieszczęść, rozsnutych po świecie nietyczy sieci pajęczce ku boleści i udręce biednych ludzi,

k którzy próżno usiłują mierzyć się z zawistnym losem i mimo wysiłków i walki padają, nędzne życie z ulgą żegnając.

— Najdrobniejszą radość — twierdziła zawsze — sownie oplacisz smutkiem. Wy się śmiejecie — mówiła urażona — a ja w to mocno wierzę, że jest coś, co zdaje się, jak lichwiarz jakby księgę rachunkową dokładną prowadzić, który skwapliwie każdą radość ludzką notuje, by podwójną kredką zapisać w rubryce „winien“ i sprowadzić nieszczęście jako rekompesat za przeżyta radość.

Pesymizm pani Barbary bywał często przedmiotem sporów w małżeństwie, pan Andrzej bowiem był w przeciwieństwie do swej małżonki uosobieniem dobrego humoru i pogodnego patrzenia na rzeczy i ludzi. Nawet odnośnie do przyszłości ojczyzny nie tracił nadziei i owszem był pewny, iż sprawa ostatecznie znajdzie pomyślne rozwiązanie. Nachodziły go wprawdzie niekiedy ciężkie chwile wątpliwości, lecz wnet je rozpraszała mocą niewzruszoną wiary w sprawiedliwość Boga, który nie dopuści, by zginął i zmarniał naród, którego przeznaczeniem, zda się. — było bronić świętej wiary.

— Już tam Bóg — mawiał — prowadzi z pewnością dokładny rejestr przewinień i zasług, sprawiedliwie niechętnie odważywszy, dostrzeże, że większe są nasze wobec Pana zasługi niż nasze przewiny. Toć wieki całe nastawialiśmy piersi za wiarą świętą i zdobyliśmy zaszczytne miano, iż Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa. Krytykujemy, iak chcemy, politykę króla Jana, ale przecież przyznać musimy, iż on to był, który pierwszy skruszył potęgę Turków i uchylił niebezpieczeństwo, grażące świętej wierze.

Nie doceniają tego faktu Anglicy czy Fran-

— cuzi ale co oni wiedzą? oni tylko wiedzą, gdzie leży Londyn i Paryż...

I snuł na ten temat bez końca refleksje, pewnikiem wiodące do najszcześniejszego zakończenia sprawy.

— Pewnie że to czasem ciężko człowiekowi, że się tylko za dubeltówką ogląda, którą do oka radby przytknąć, lecz przecież nad tym biednym narodem opatrność czuwa i zgęszcza smutku i rozpaczy szczęśliwie wywiedzie. Bo wszak ci we wszystkim, co się dzieje, upatrywać trzeba jakąś wyższą wolę, którą jeno chyba Bóg posiadać może. Zapewne wiedzie nas przez ciężkie próby nie bez racji, leży w tem, byśmy z grzechów oczyszczeni godnie stanęli u ołtarza wolności.

Nie inaczej sądził i o fakcie zajęcia folwarku pana Tomasza przez Niemców i odłączeniu syna od ojca.

— Juści, pewnie — dowodził — rzecz to bardzo przykra zwłaszcza, że niewiadomo, jak się sprawy połączą, ale co do mnie to mi się tak rzecz przedstawia: przecież u diabła ani Niemcy ani Moskale wiekować tu w tych rowach nie będą i albo Niemcy albo Moskale pójdą naprzód...

— Ba, ale kiedy? — wtrącił pan Tomasz.

— Pewnie, że może nie dziś i może nie jutro.

— Tak! a tymczasem tam, diabli wiedzą, co się stać może...

— I niby co się może stać?

— Ja wiem? żadna ewentualność nie jest wykluczona. Kazięk, jak wiesz, chłopak nieustępliwy, czupurny...

— No, mądry on jest, nie bój się, nie będzie szukał guza...

— Wiesz, że właśnie tego najwięcej się lekam...

— Nie przymierzając, prawisz, jak Barbara, którą wszędzie wietrzy nieszczęście... Ot, zamiast łamać sobie głowę, daj karty, zagramy.

— Basiu! — wołał wprawiony w wyśmienity humor — a dajno nam tu co przegryźć i, uważasz, czemś zakropić.

Pani Barbara, wzorowa gospodyni w mig przyrządziła wódkę i przystawki, które specjalnie przygotowywała dla pana Andrzeja, wracającego z prac.

— Cóż tam dzisiaj było w ratuszu, Andrzeju? — pytała, zastawiając stół smakołykami.

— Ano nic tak nowego — ciągle tylko wojsko, wojsko i wojsko... czasem to mam wrażenie, jakbym się w jakiegoś generała przedzierzgnął, poczekalnia zawałona oficerami, każdy z innym interesem, że aż głowa boli. Sekretarz Ciuciumski cały w ogniu niby grenadjer albo jakiś inny bombardjer, lata z piórem i rady dać nie może...

— A cóż ci oficerowie mówią? — zagadnął pan Tomasz, który radłby był wieść usłyszeć, iż wojna już dobiega końca...

— A cóż? nic! wiedzą tyle, co i my. Są tacy, acz! pękałem dziś ze śmiechu, którzy twierdzą, że wojna potrwa cztery lata...

— Ot, tak sobie plótl i t. d. na cztery lata? czyste niepodobieństwo!

— No, nie wiem — wtrącił pan Tomasz.

— Nie dajże się wyśmiać, człeku — przecież gdyby wojna jeszcze rok trwała, wszystkich ludzi wyłukłaby. Pomyśl, co to za działa dzisiaj mają, jakie wymyślne, precyzyjne maszyny... raz palnie z kulomiotu lub zagra na karabinie maszynowym i trach! Leży stu ludzi. To nie tak uważasz, jak to za czasów Kościuszki, co to Głowacki

kosą zdobywał armaty, z której dziesięć razy pu-
knałeś, by zabić, jednego człowieka. Dzisiaj technika
wojenna stoi tak wysoko, iż trwanie wojny dłu-
żej niż rok uważam za wykluczone.

Rozprawiali, czyniąc kartą pociągnięcia, które
przecownikowi zadać miały cios śmiertelny.

— Pan dobrodziej damą ciągnie? — tryumfo-
wawł pan Andrzej — to my mamy na nią króla,
a pan dobrodziej myślał, że nie mamy? a widzi pan
dobrodziej, dama leży zabita, jak byk — dogady-
wał — a król na niej leżąc... te, Basiu, nie sły-
szysz?! — kręci węża. A teraz pan dobrodziej po-
zwoli, że ja pociągnę za sznureczek i zagram, mo-
cium panie, zagram... — Pastwił się nad panem
Tomaszem, który, roztargniony przegrywał par-
tję za partją.

— Zagram pikowego tuza!

I śledzi bacznie przeciwnika, który z kwaśną
miną dorzucił chłopaka..

— Aha! pan dobrodziej... ha! ha! ha! na nie-
go wybrał się z dupkiem niby z patykiem na sło-
nia? — A to?

Wygrał ostatnią kartę.

— No, naturalnie, panie Tomaszu, lanie pan
wziął, co się zowie! Otóż tak się partję wygrywał!
Odwaga i wiara! I tak, nudzisz, we wszystkim
nie tylko w kartach. Głędzeniem... tak... tego... do-
ciekaniem i innemi różnemi sztukami niczego nie
osiągniesz! Odwaga i wiara, to są tuzy, na które
pewniem stawiać możesz. Tak bywa w kartach,
tak w drobnych, tak w publicznych sprawach. Co
do mnie, uważam, że, skoro czas przyjdzie, nie
namyślać się wcale tylko mach! i kwita. A co do
Kazia, o niego jestem spokojny i tobie radzę
w tym względzie być najlepszej myśli, bo z pew-
nością nic mu się złego nie stanie, a nawet, powie-
działbym, jeszcze na tem zyska, bo wyjątkowe po-

łożenie, wymagające pewnej samodzielności, na któ-
rej mu może pod twojem okiem zbywało, zmusi
go do myślenia o sobie i chłopaka nauczy, jak się
w świecie obrócić, co rzec, a co przemilczeć, co
zrobić, a czego zaniechać.

Dobry humor pana Andrzeja udzielił się wre-
szcie panu Tomaszowi, który czoło rozchmurzył,
ożywił się i lepszej nabrał otuchy, w dowód czego
sięgnął zaraz do anegdot i młodości wspomnień,
ongi bowiem jako student niejednego figla wyplą-
tał i niejedno przeżył.

— Pamiętam — począł — było to w Krako-
wie. Byłem uczniem klasy szóstej, siedziałem
w ostatniej ławie — pamiętasz? Weinberg, jeśli
sobie nazwisko przypominasz, siedział koło mnie.
Spędziwszy raz noc na birbantce, przyszedł do
szkoły niewyspany i prosił mnie, bym go zbudził,
gdyby go wołano. Dobrze, powiadam, zbudzę cię,
lecz na lekcji greki to cię kopnę, kiedy trzeba be-
dzie ryczeć. Jak zapewne pamiętasz, nauczyciel
greki, niski, krępy, góral z pochodzenia, zwykł był
w czasie lekcji sypać dowcipami i zawsze wyma-
gał, byśmy w odpowiedzi na dowcip ryknęli gło-
śną salwą śmiechu. Gniewał się, ilekroć razy, chcąc
mu dokuczyć, dowcip przyjęliśmy milczeniem.
Mało kultury w tej klasie — prawil — skoro kla-
sa nie rozumie się na dobrym dowcipie. Otóż
w owym dniu krytycznym, kiedy Weinberg chra-
pał w najlepsze pod ławą, nasz grek był wyjątko-
wo w niezwykle złym humorze. Przybrawszy mi-
nę urzędową, egzekwował lekcję z całą surowo-
ścią wśród skupionego napięcia uwagi wszystkich
uczniów. Aż tu nagle, poczciwy Weinberg, kopnię-
ty przezemnie, jak nie ryknie z pod ławy: ha! ha!
ha! — hta! ha! ha! Dał dwie potężne salwy. Na
twarzach chłopców malowało się przerażenie, bo
rzeczą było wszystkim wiadomą, iż uchybienie dy-

scyplicie w chwili, kiedy grek traktował rzecz serio — był to zresztą złoty człowiek — pociągało za sobą przykre konsekwencje. Grek, słysząc ryk, wydzierający się kędyś z pod ławy, ściągnął brwi krzaczaste, szarpnął zawsze źle związany krawat, nerwowo poprawił okulary, strzepnął prawem ramieniem i cisnął przez szkła takim surowym wzrokiem w stronę mojej ławy, iż cały ze strachu zdrętwiałem. Dopiero teraz zdawałem sobie sprawę, na jaką największą przykrość Weinberga naraziłem.

— Weinberg! — krzyknął zaperzony grek — wylaż z pod ławy! Weinberg zaspany, zerwał się na równe nogi. Co robiłeś pod ławą? Weinberg, zmieszany, milczał, w klasie najwyższa konsternacja. Wówczas ja, poczuwając się do obowiązku wyratowania kolegi z sytuacji, w którą go wpakowałem, przedstawiłem całą rzecz zgodnie z prawdą, na co rzekł grek udobruchany: dowcip był dobry, chłopcy, wyrażcie mu uznanie. Ha! ha! ha! — ha! ha! ha! — gruchnęły dwie salwy i lekcja zważowo potoczyła się dalej.

Grą w karty, opowiadaniem anegdot i lekturą skracał sobie długie zmowe wieczory, wlokące się leniwo, sennie. Gdyby nie nadmierne ilości wojska, nagromadzone w miasteczku, wzmożony ruch na ulicach, przemarszu oddziałów, skrzypienie ciężkich kół armatnich po twardo ubitym śniegu, przewijanie się przenikających mrok snopów światła, przerzucanych z reflektorów, przeglądających bacznie całą okolicę, zapomnieliby o wojnie, która zdała się przycichać, jakby zwolna wygasać. Front po obu stronach silnie obsadzony zniechęconymi i stężał, jakby w nim życie zamarło, by z wiosną się obudzić i przynieść ludziom oczekiwany pokój, którego zresztą nic nie zapowiadało, owszem wszystko na to wskazywało, iż wojna przeciągnie się niewątpliwie przynamniej do la-

ta. Świadczyły o tem obustronne, gruntowne przygotowania, starannie przed okiem nieprzyjaciela maskowane beczynnością na froncie, poza którym noc i dzień kipiało niestrudzone życie, pulsowało gorączkowem tętnem. Przeciwnicy gromadzili olbrzymie zapasy w ludziach i amunicji do potężnego starcia, mającego rozstrzygnąć ważące się losy. Fabryki amunicji w głębi kraju pracowały z wytężeniem bez przerwy, wyrabiając nieprawdopodobne masy amunicji, gromadzone w magazynach w pewnej odległości od frontu. Z największym pośpiechem wśród najostrejszych mrozów budowano kolejki polowe, bito nowe drogi, dla których użytku wycinano bez skrupułu bogate polskie lasy, stwarzano nowe formacje wojsk, rozlokowanych wedle planów, wypracowanych przez sztaby generalne. Ten ciągły, wytężony ruch, ta nieustanna praca, podjęta z najwyższem napięciem energii, zdawały się zapowiadać szybko zbliżające się ważne i doniosłe wypadki.

— Na wiosnę to tu będzie, zdaje się, djablo gorąco — twierdził pan Andrzej.

— Pewnie — bąknął pan Tomasz przygnębiony.

— Oho! — irytował się pan Andrzej — już znowu głowa zwieszona, myśli czarne już krążą — dałbyś do licha nareszcie spokój z tem dumaniem, które do niczego nie prowadzi. zabierz się raczej do jakiej pracy — ot, choćbyś drzewo na podpałkę rąbał. Siedzisz cały dzień w oknie i dumasz — niczego, przyjacielu, nie wydumasz, nerwy tylko stargasz..

Nie pomogły wiele perswazje pana Andrzeja. Panu Tomaszowi dłużył się dzień w nieskończoność wśród nudy, beczynności i dziwnych, złowieszczych przeczuć, omotanych o osobę jedyne go syna, o którego losy drżał, przypuszczając wszyst-

ko najgorsze. Nocną porą, wśród ciszy, przerywanej przygłuszonym tupotem przechodzących patroli lub przeciąganiem ciężkich wozów, zdążających na front niezbyt odległy od miasta, zrywał się łękiem ogarniony, oblany zimnym potem i długo w noc nadsłuchiwał jakichś dalekich wezwań o ratunek, skarg żalonych i jęków, widział syna krwią zbroczonego, wijącego się w przedśmiertnych skurczach straszliwej męki.

I wizje okropne, ponure targły duszę, wlokąc ją nad przepaść rozpacz, która stu szponami worała się w serce, szarpiąc je w krwawe strzępy, póki świt bólu nie ukoił i na znużone oczy, przesycone łzami, nie spłynął sen doborczy, kojący.

W jedną z takich nocy, spędzoną bezsennie, posłyszał nagle ciche skrzyknięcie drziami, wiodących do przedpokoju. Zerwał się co rychlej i wyszedł ze świecą.

— Ewka? a ty skąd wracasz o tej porze — pytał zdumiony.

Ewa, zaambarasowana, zrazu nie wiedziała co odpowiedzieć.

— Z tańczącej herbatki od Lali — rzekła wreszcie po chwili pewnie i śmiało.

— Z herbatki tańczącej? Ewo! ty nie mówisz prawdy...

— Ach! głupstwo! — szarpnęła się zirytowana i szybko go pożegnała.

Nocna, tajemnicza wycieczka Ewy rozpętała następnego dnia szaloną burzę, pan Tomasz bowiem odkrycie swe zakomunikował bezzwłocznie panu Andrzejowi, który niepomiernie faktem tym zaniepokojony, zażądał wyjaśnień.

— Żądam stanowczo prawdy — prawil pan Andrzej surowo — jako ojciec mam chyba prawo wiedzieć bezwzględnie wszystko, co się córki mojej tyczy. Gdzie byłaś dzisiaj w nocy?

— U Laali...

— Kłamiesz!... — zachnął się pan Andrzej.

— Na jakiej podstawie zarzuca mi ojciec kłamstwo?

— Nie kolej teraz yptać — odpowiadaj!

— Nie mam nic do powiedzenia — odrzekła szorstko.

— Otóż to! — zwrócił się rozżalony do obecnego przy śledztwie pana Tomasza — wychowaj tu dziecko, wypaść, wypieęgnij, ponieś troskę, staranie, trud a ono nic, niewdzięczne, napoić cię trucizną, potraktuje jak pacholka.

W twardych słowach pana Andrzeja drgała żalona skarga w oczach mignęły łzy, które corychlej zgasił i pełen gniewu i żalu wyszedł, nie spojrząwszy nawet na Ewę, która, związana przysięgą, nie mogła wyjawić tajemnicy odbywania tajnych schadzek, mających na celu omówienie działalności koła, na którego czele stała.

Z chwilą przesunięcia się frontu, spowodowanego nagłym i gwałtownym atakiem Niemców, cały punkt ciężkości działania kół prowincjonalnych, mających pracować na szkodę i zagładę Rosji, przeniósł się na odcinek, przydzielony kołu, któremu przewodniczyła Ewa. W myśl nowych instrukcji, przysyłanych z centrali, należało wejść w kontakt z niemieckim sztabem generalnym celem poinformowania go co do rozmieszczenia wojsk, rozlokowania artylerji, co do planów strategicznych rosyjskiego sztabu i t. p. Ryzykowne przedsięwzięcie wymagało nadzwyczajnej, nie wpadającej w oko ruchliwości i przedsiębiorczości, a przede wszystkim najdalej posuniętej czujności oraz precyzji wykonania, przez co sprawa nasuwała tak wielkie trudności, iż niektórzy z pośród sprzyświeżonych cofali się, trwoga zdjęci, oświadczając, iż nie do tego są powołani, by dokonywać rzeczy

niemożliwych. Opór tchórzliwych groził rozbi-
ciem koła, a tem samem sparalizowaniem akcji, do
której Ewa przywiązywała wielką wagę, uważając,
iż wykonanie zawartych w instrukcjach wskaza-
walnie przyczyni się do klęski Rosji. Inni wysu-
wali argument, który większości trafiał do przeko-
nania i stanowił punkt, zniewalający ich do zanie-
chania akcji, iż sprowadzenie klęski na Rosję ozna-
cza niewątpliwie pracowanie na korzyść i rachun-
ek Niemiec które, mniemano, są groźniejsze
i stokroć niebezpieczniejsze, niż Rosja. Wychodzi-
li z założenia, zbliżonego do poglądu starszych, iż,
jeśli już żyć wypadnie dalej w niewoli, to raczej
wybrać należy Rosję, niż Niemcy, że tedy zwal-
czać winno się w takim razie wszelkimi siłami
Niemców, a popierać Rosję, względnie zachować
wobec niej przynajmniej stanowisko neutralne.
W ten sposób poglądy starszej generacji, rozważ-
nej, ostrożnej i wyczekującej wtargnęły w koło
i wstrzymywały bieg rzeczy. Gotowała się więc
walna rozprawa, która ostatecznie miała o wszyst-
kiem rozstrzygnąć i istotnie w ową noc, w którą
Ewa przy swym powrocie natknęła się na pana To-
masza, odbyła się decydująca w tej mierze na-
rada.

— Słyszę — zabrała głos Ewa — iż niektórzy
uważają przaprowadzenie planów, zawartych
w świeżo nadesłanych instrukcjach, za niewyko-
nalne, słyszę dalej, niestety, iż niektórzy z pośród
was, niedoszłych wojowników za ojczyznę — sma-
gała ironją — zamierzają wycofać się z akcji, obie-
rając wygodniejszą drogę spokojnego spożywania
do syta darów bożych pod łaskawą opieką Rosji.
Dla tych wszystkich miałabym właściwie jedną
odповідź: wolna droga i Bóg z wami, bo nic nie-
wart żołnierz, w którego duszy wystygł wszystek
zapał i którego serce jad zwątpienia stoczył — ta-

ki żołnierz nie wart niczego więcej, jak żyć w pie-
leszach i ducha nędznego w sobie zgasiwszy, tu-
czyć obrzydliwe cielsko, by kiedyś zasłużyć na
słuszny sąd tchórze i zdrajcy. Idźcie więc precz,
byście drugich nędzą waszego ducha i podłością
waszego myślenia ku sobie nie zwabili, gotując im
los, którym się brzydzą i od którego odwracają się
ze wstrętem. Idźcie i gnijcie w pieleszach, wy
zaś, którzy zostać pragniecie, rozumiejąc, gdzie le-
ży dobro ojczyzny, i kędy są drogi, które honor
i sumienie dyktują, krzeczcie ducha i zbrojcie ra-
mię, by dokonać czynów, w które są nakazem chwi-
li. Tyle odprawy dla tchórzów i tyle zachęty dla
tych, dla których honor obrońcy ojczyzny droż-
szym jest ponad życie.

Na chwilę przerwała i potoczyła wzrokiem po
zebranych, wśród których wielu dojrzała nawró-
conych, lecz i wielu jeszcze chwiejnych, nieprze-
konanych.

— A teraz rozważmy położenie rzeczy — cią-
gnęła niezrażona, pewna zwycięstwa. — Losy
wojny do tej chwili się wazą i nikt przewdzieć
nie zdoła, na czyją stronę przechyłą się szale. Ar-
mja rosyjska zdołała osiągnąć pewne korzyści, lecz
i niemiecka znaczne notuje postępy. Dla nas, Po-
laków, najgorszem zakończeniem sprawy byłaby
wojna nierozstrzygnięta, albo pokój przedwze-
sny, w wobu bowiem wypadkach zapanałoby we-
dle wszelkiego prawdopodobieństwa status quo
ante, najideaalniejszym zaś, gdyby obydwaj prze-
ciwnicy wyszli z wojny przegrani, zmiażdżeni.
A kombinacja ta nie jest bynajmniej wykluczona,
bo przypuścemy na chwilę możliwość pobicia Ro-
sji przez Niemców, do czego my właśnie naszą
akcją przyczynić się możemy, to pytać należy, ja-
kie stąd dla nas otwierają się widoki?

— Te, że Niemcy mogą zatrzymać na stałe stan posiadania w Polsce, nabyty w wojnie — wtrącił student KłECKI.

— Tak! ale najpierw muszą wojnę wygrać — odparowała Ewa — co do czego w tej chwili sami chyba nie mają żadnych złudzeń, owszem wszystko przemawia za tem, że ją przegrają.

— A mianowicie dlaczego? — ktoś zapytał.

— Dla przyczyn bardzo prostych — nie zdolają wytrzymać naporu całego świata.

— Zawarłszy pokój z Rosją, uwolnią siły i rzucą na zachód, a wówczas Francja musi paść...

— Zapominacie jednak o jednym, iż za bohaterką Francją stoi szlachetna Belgja..

— Co — Belgja!

— Za niemi potężna Anglja.

— I koniec!

— Ne koniec! Za niemi nieprzebrany rezerwoar ludzi i niewyczerpane zapasy surowców i środków żywności, których brak daje się już dziś odczuwać w Niemczech, a zwłaszcza w Austrii. Mam co do tego najdokładniejsze relacje i mogę niemi każdej chwili służyć. Jeśli wojna przeciągnie się jeszcze rok, Niemcy staną przed katastrofą, od której ich ani ich organizacja, ani ich sprawność nie zdołają uratować. Proszę pamiętać, że oprócz wojska muszą jeszcze żywić i ludność cywilną, że dziś mają jeszcze surowce dla wyrabiania armat i amunicji, lecz za rok ich mieć nie będą, podczas, gdy koalicji, dla której cały świat stoi otworem, nigdy środków nie braknie. Dodajmy do tego, że chwiejne są Rumunja i Włochy, które każdej chwili mogą pomnożyć zastępy koalicji, a będziemy mieli dokładny obraz widoków, jakie się przed Niemcami otwierają, z czego wysnuwając wnioski logiczne, przypuścić prawie twierdzić można, iż Niemcy muszą ponieść klęskę, a wtedy rzecz się

tak przedstawić: Rosję pobiją Niemcy, Niemców zaś koalicja.

— Jak to pięknie brzmi — szydził KłECKI — Rosję — Niemcy, Niemców — koalicja...

— Jak się to łatwo mówić — dorzucił ktoś drugi.

— Jeśli o to chodzi — wyjaśniała cierpliwie — to nie są to kombinacje moje, zbyt bowiem mało znam się na polityce, lecz centrali, która, jak wiadomo, zostaje przez polskich najwybitniejszych mężów stanu w ścisłym kontakcie z przedstawicielami zachodniej Europy. A wreszcie gdyby nawet tak być nie miało, jak się tam na zachodzie ogólnie przyjmuje, i gdyby Niemcy, wbrew przewidywaniom, zwyciężyły, to, zdaniem mojem, i tak winniśmy wszystko uczynić, by Rosja wojnę przegrała, bo im gruntowniej wyjdzie z niej pobita, tem cięższe warunki podyktują jej Niemcy, to znaczy, jako, że są chytry na polskie ziemie, tem więcej wezmą, czyli tem więcej wchłoną polskiego elementu, co im nie ujdzie bezkarnie, bo naród polski, żyjąc pod jednym jarzmem w jednej zwartej masie, stać się może nawet dal zwycięskich Niemców groźnym.

— Wyczerpałam już wszystkie argumenty, przytoczone dla udowodnienia, iż przegrane Rosji leży w każdym wypadku w naszym interesie — kogo one z obecnych nie zdołały przekonać, tchnąć weń zapału i wykrzesać ducha, ten nechaj wraca do domu i w bezczynności snuje po kątach, wyciekując łaski nieba, komu zaś one przemawiają do przekonania, ten nechaj staje mocno u warsztatu i ma się czynu, który — przyzję — niebezpieczny jest i ryzykowny, nie mniej przecież konieczny. Wzywam tedy was, w których piersiach bije polskie serce, w imię miłości ojczyzny, w imię tych wielu sławnych bohaterów, którymi naród polski

się szczyci, w imię tych męczenników, którzy za wolność życie oddali, byście okazali się godnymi synami waszych wielkich ojców i niea skapili krwi i życia, których od was ojczyzna w tej chwili wymaga.

— Czyż nie godzi się tej ojczyzny kochać, dla niej żyć, pracować i dla niej umierać? Cóż piękniejszego być może, jak dla niej umrzeć — a co mądrzejszego, jak dla niej żyć i rzucić na szalę jej zwycięstwa i sławnej, wielkiej przyszłości choćby grosz wdowi? O! nie wierzę ja w to, by choć jeden wśród was się znalazł, któryby jej się zaparł i nie chciał oddać za nią ostatniego tchnienia!

Jeden zgodny okrzyk: prowadź! był odpowiedzią zebranych na wywody Ewy, która w pierśiach niepewnych i chwiejnych roznieciła zapal, i żar rozpalila ofiarnej, poświęcenia pełnej dla ojczyzny służby.

I potoczyły się wartko podziemne, niebezpieczne prace wśród tysiąca przeszkód i przeciwności, zwalczanych żelazną, niezmordowaną wolą i mężną dłonią rycerską.

Wstał jсны duch wielkich przodków i w sercach rozjarzył święte, niewygasłe ognie i wiodł na stare szlaki honoru, męstwa i cnoty ku pormiernym śwtom, które niby słońca pierwsze blaski, przedzierały się nieśmiało przez mgieł porannych chmury.

Łaska spłynęła na znękane serca i źródła otwarła ożywcze źródło, które początek swój brały z wary w zwycięstwo.

Bo nie masz ojczyzny, kędy miłość gaśnie i nie masz zwycięstwa bez wiary.

Szli przez dzikie, zarosłe ostępy, szli przez wyboje, zdradliwe wydoly, szli wśród kul gradu i armat pocisków, szli na śmierć gotowi, skarb unosząc w piersiach: niepłonną nadzieją, iż z śmier-

ci ich życie wykwita, życie bujne, płodne, co radością każdego obdzieli i chleba przyniesie do syta.

Szli dumni, ofiarni, by przyszłość sławną czynem swym kowali i szli cisi, pokorni, bo szli ku Panu, co dzierży losy w swem ręku, prosić o łaskę dla nieszczęsnej ziemi.

Szli niby pielgrzymi z modlitwą na ustach gorącą, szli niby rycerze, co tarczą pierś osłonią macki, szli niby skazańcy ginąc za świętą sprawę, co głowy za chwilę pod topór położy, by z krwi niewinnej dymy wstły ofiarne i skargę zaniósł żalonną do stóp Najwyższego, szli niby siejby, co ziarna rzucają po roli, by wstały z nich kłosa złote i bujne łany.

Niczem niestłumiony zapal ogarnął spiskowców szeregi, uwijali się rażno wśród nieustannej pracy, najeżonej trudem i groźbą utraty życia, która każdej chwili nad nimi zawisała. Lecz niczem niepowstrzymany zdawał się być pęd ku chwili bezgranicznie ofiarnej. A wszystkim przodowała Ewa, która niepomna przestrogi ojca, stała się ośrodkiem i główną sprężyną akcji niebezpiecznej. Wówczas, kiedy inne dziewczęta rzuciły się w wir karnawałowych uciech, rozrywek i płasów, których nie wahały się szukać nawet w towarzystwie rosyjskich oficerów, Ewa, jedna dla nich żywiła pogardę, pracowała bez wytchnienia od świtu do nocy, odpoczywając jeno w chwilach, w których beczynnością maskowała przed ojcem swe zadania i cele.

— Ewciu — mówił — udobruchany wreszcie pan Andrzej — możebyś przecież w który dzień zaprosiła kilka koleżanek na herbatkę...

— Nie, ojciec...

— No, rozumie się, nie mam tu na myśli żadnych tańców, zabaw, boć sam wiem, że nie pora,

ale ot — tak pogawędzić przy herbatce wśród grona żyweliwych... mfoże nie szkodziłoby? trzeba też i myśl od czasu do czasu odwrócić od rzeczy poważnych i smutnych, a skierować ją na tory, kędy się nie tłucze i rani jak ptak w zamknięty w klatce.

— Wierz mi, ojczy, że do niczego nie mam ochoty...

— Przesadzasz, moje dziecko, a każda przesada jest zębna. Umiejetność życia polega na utrzymaniu we wszvstkiem odpowiedniej miary. Nie przeczę że czasy są niezwykłe i nad wyraz ciężkie, i nasuwają najsmutniejsze myśli lecz rzeczę człowieka rozsądnego jest, umieć się do nich dostosować i mimo najcięższych przeżyć utrzymać równowagę ducha, bez której nie ostanie się człek na świecie. I myślę, że się nie mylę, twierdząc, iż winniśmy — nią usilnie się starać tak dla nas samych jak i dla dobra ojczyzny, która, da Bóg, wzwolona, sięknie do sił naszych i w służbę je wźmie. Cóż będzie wówczas, jeśli ich na wczuwanie nie stanie? Dlatego tak tobie, jak i Tomaszowi biorę bardzo za złe, iż dumając i dociekając targacie siły i nerwy miast je oszczędzać dla przyszłej służby. Juści, że potępiam tych, którzy w tych strasznych czasach, kiedy ziemia ojczysta przesycona krwią i łzami, uciech szukają, niepomini, ile klęsk i nieszczęść kraj nawiedziło, lecz przecież uważam, iż godziwa rozrywka zawsze się zaleca. Zaproś więc kilka koleżanek, pogwarzcie trochę i myśl rozerwiecie. Może Sta się, Latę...

— Latę? — przerwała Ewa zdumiona—Latę?

— Nie?

— Z Latą zerwałam już dawno stosunki.

— Dlaczego?:

— Chodzą o niej wieści...

— Jeśli tylko niema faktów...

— Owszem mam je w ręku.

— Cóż takiego?

Rozkochała w sobie tego poetę, który w naszym domu bywał, wymusiła na nim wyznanie miłosne, a potem bez litości wyszydziła, czyniąc aluzje do jego niskiego pochodzenia...

— A toż to dalibóób tragedia, o takich romansach się czyta — wybuchnął pan Andrzej śmiechem.

— Nie śmiej się ojczy, bo sprawa wzięła taki obrót, iż igraszkę, na którą Lata sobie pozwoliła, byłby poeta przypłacił życiem — myślał o samobójstwie.

— Warjat!

— Z trudem udało mi się odwieść go od niemądrego zamiaru i myśl jego skierować ku godniejszym i ważniejszym sprawom...

— Cóż mu poradziłaś?

— Oddać się w służbę dostojniejszej pani...

— Dzielna z ciebie dziewczyna, szczerze mówię, dumny jestem z ciebie moja Ewo! I cóż się z poetą stało?

— Zbiegł do legjonów.

— To bardzo pięknie!

— Tam spodziewał się znaleźć zapomnienie. Przed włościem zostawił mi przepiękny list, wyśtosowany do Lali z prośbą, bym go jej wręczyła lecz nie oddam go tej nędzniccy, niechając, by jeszcze bardziej się szydziła z biednego poety. A list to śliczny, cudowny!

Jeśli chcesz, przeczytam.

— Proszę, czytaj.

Pobiegła do biurka i wróciła ze zwitkiem, związanym różową wstążeczką. Rozwinawszy począła czytać:

OSTATNI LIST.

Sam nie wiem, co pisać...

Bo dusza moja smutku pełna wlecze się samotna po ugornych polach i rozelkana łzami, szuka oczyma za Tobą, coś mi dziś niedobłą była — byłaś mi okrutną!

Sam nie wiem, co pisać...

Bo dusza moja rozpaczy pełna snuje się wygnana z kraju marzeń słodkich. Wiatr mroźny wionie i liście miota jesienne, stulone w melancholji, jak ta biedna dusza moja, pieściwą Twą, tą drobnutką dłonią, do pieaszot stworzona, dziś wysmagana płacze i zawodzi, nieutulona w nieprzepartym żalu.

Sam nie wiem, co pisać...

Bo dusza moja skarży się żałością jak sierota biedna, co straciła matkę, której próżno szuka, jak żalu chwila, co ściga wspomnieniem radość już dawno minioną.

Sam nie wiem, co pisać...

Bo dusza moja w sto tonów uderza, z których każdy smutku oddźwięk wyda niby harfa złota, ręką rozpaczoną szarpana aż urwanym zaskowycze jękiem i zamilknie na wieki.

O! kędyż kres smutnej doli? kędyż cel wędrówki w śnieżną zawieję, co świat przesłoni i nieprzejrzone nad nim rozwiesi za pony?

Kędyż dusza spocznie, co łaknie wiosny tchnienia z czystej Twej cudnej duszy płynącego zdrojem i kiedyż na chwilę zawisnie na ócz Twych upojonych słodkim lazurze, by czerpać nadzieje choćby nadzieje, iż łaska z nich spłynie na chorą moją duszę?

Gdzież kryje się w czasie ta cudowna chwila, gdy w tryumf uderzą fanfary i pieśń wydzwonią radosną, iż koniec niepewności, męce i początek słońca, co dzwignie się jasne nad duszy mej smutku tonią?

O! miej Ty, serce i blaskiem rozpromień radości me życie, wejdź niby słońko nad gór poseznych szczytem, co w ciemnej nocy kryją się ponurem łonie i ócz Twych blaskiem i jasnym ich spojrzeniem połóż niej tęsknocie upragniony koniec! Niech modłę się do Cię z męki wyzwolony, niech wielbię cię, Salio, po wszystkiej czasy, Ty zdroju cudowny, szczęścia mego źródło, niech u stóp się Twych kajam i w proch się obróce, po którym stąpisz, Ty pani moja!

Piszę tych słów kilka, bo nie wiem, czy... odejść mi rychło, już nie trzeba będzie...

Niech one o uczuciu mem świadczą, co niezapomniane nigdy nie wygaśnie i istnieć będzie kędyś w przestrzeni i czasie niby kamień biały, graniczny, poza którym ciało ginie lecz uczucie nie spala się ani nie przepada.

Niech one świadczą o wielkiej mej tęsknocie, co niepowstrzymaną wezbrała falą i ku Tobie mię niosła, bym w myśli ją bielsze przwstroił niby dziewczek krasnych szaty odświętne, niedzielne i zawiódł przed duszy Twej cudnej i czystej ołtarze.

Niech one świadczą, że był i... odszedł wdaleką drogę, kędy nie ścielą się już zgoła żadne losy takie lub owakie lecz przepaść rozwiera się bezdenna, spokoju pełna i ciszy. Tam skolataną mą piersią nie będzie już szarpał smutek niby wściekły pies łańcuchy, które zerwać trudno, tam spoczną po długiej wędrówce w czas skwarny czy dżdżysty, tam legnę w ciszy i wszystkim przebaczę, których dziś obarczam przekleństwem.

Chce już odejść wędrowiec znękany... i niczego już więcej nie pragnę prócz tego, byś Ty ten świstek papieru na pierś Twą złożyła i przechowała aż... kiedy wnijdiesz poprzez wieczne wrota w wieczności bezkresy i oddasz mi go, kiedy wyjdę na Twoje spotkanie, byśmy złączeni sali w dal nieznaną w stęsknione stuleniu ramiona.

Przechowaj ten świstek, byś, ilekroć na nim spoczna Twoje oczy, przypomnieć chciała:

Był... kochał... i odszedł.

— Istotnie piękny — zauważył pan Andrzej — nawet bardzo piękny — zdolny chłopiec.

— I bardzo smutny! — nie pamiętasz go, ojcze? smagły, na twarzy pociągły, oczy czarne, raz dziwnie błyszczące, raz zamglone takie beznadziejnie smutne. Najzdolniejszy to był student na naszym semestrze, i biedny lecz niesłychanie ambitny i dumny. Krył się z swoją nędzą, w którą właściwie niegodziwa Lala brutalnie uderzyła, mówiąc: pan, taki lichy poeta, studencina nędzna, śmie oczy swe ku mnie kierować i nieść mi jakieś uczucia? — oczy ku mnie kierować! — drwiła uniesiona pasją — taka głupia Lala, takie nic!

— Ewuś! — upominał pan Andrzej — jak można tak się unosić, tak źle drugich sądzić? nie godzi się Ewuś!

— Lala swoim postępowaniem zasłużyła na najwyższą pogardę nie tylko ze względu na poetę, z którym obeszła się w nieludzki sposób lecz także ze względu na męża, którego przywiodła do ruiny a wrzeszcze do samobójstwa.

— Ona?

— Jakto?; Ojciec o tem nie wie? Wszak to całemu miastu wiadomo, że mąż, pragnąc dogodzić fantazjom małżonki dopuścił się sprzenie-

wierzenia i wkońcu, chcąc uniknąć zasłużonej kary, odebrał sobie życie;

— Nic o tem nie wiedziałem! Czyżby? naprawdę?

— No, jakżeż nie?

— Wiesz, nie przypuszczałbym nigdy! — a — w takim razie dobrze uczyniłaś, zrywając z nią.

— Nigdy nikim się nie interesuję, do niczyich spraw się nie mieszam i o nikim nie wydaję nigdy wyroków lecz Lali trudno nie potępić i nie nazwać jej pospolitą awanturką.

Teraz przechodzi z rąk do rąk...

— Ewuś!

— Daruj, lecz należą do tych, którzy rzecz nazywają zawsze po imieniu...

— No, w każdym razie... nie mówmy zresztą lepiej o tem, o czem nie mogę mówić i myśleć bez największego wzburzenia.

— Istotnie przykre to bardzo, jeśli kobieta wplącze się w awantury, przynoszące ujmkę jej czci...

— Ba! bo to ona jedna! Znajdziesz ich tu, ojcze, u nas i więcej. Doprawdy wstyd za nie lica mi rumieni i to z kim? z moskalami! i wtedy, kiedy jutro może przwnieść narodowi wieczną zagładę właśnie z ręki tych, z którymi dziś się bawia.

Ewa w relacjach swych bynajmniej nie przepadzała. Były niestety w mieście elementy, dla których obcą była troska o losy ojczyzny. Ojczyzna była dla nich niezrozumiałem, po drodze nędznego życia dawno zapomnianem brzmieniem, lub synonimem jakiegoś przedsięwzięcia, z którego należy czerpać jaknajwiększe zyski. Tuczylili się nędzą bliźnich, wykupując artykuły pierwszej potrzeby i oddając je po wygórowanych cenach. Złarci egoizmem nie widzieli naokół siebie nędzy,

kalectwa, nie zwruszali się widokiem straszliwych ran i ciał poszarpanych w strzępy, zapatrzeni w swoje ciasne, brudne podwórko, nie umieli niczego dojrzeć, co leżało poza opłotkiem ich interesów, na oku mieli jedynie swój własny brzuch, nigdy niestety i niczem niezaspokojoną żądze użycia i zabaw. A rej wśród nich wodziła Lala, kobieta zła, przewrotna, leniwa i głupia. Mocą swej niepospolitej urody i wdzięku stała się ośrodkiem wybranego towarzystwa, któremu ton nadawała, gromadząc koło siebie ludzi, bardzo podejrzanych wartości. Każdy był dla niej dobrym towarzyszem zabawy, o ile dysponował wydatną sumą pieniędzy, które przez delikatne, wypieszczone jej reczki przepływały jak woda przez sito. Pieniądz jest na to — twierdziła — by go wydać, obojętne z mojej, czy z cudzej kieszeni, leżąc pleśniej i w myśl tej zasady rzucała złotem, zdobywając je łatwym, jej tylko znanym sposobem. I coraz nowe wymyślała rozrywki, zabawy, w które wciągała coraz nowe zastępy złotej młodzieży, która choć bez zajęcia i pracy, obfitowała w dostatki, zdobywane przedziwnym, tajemniczym sposobem. Dobrze jeść i dobrze żyć — było tych ludzi hasłem, na którym kończył się krąg ich zainteresowań in bieg wszelkich spraw. Ciasny, samolubny światek myśli tych ludzi kurczył się i zwał z dnia na dzień, aż przywiódł ich do tej potwornej, bezbrzeżnej bezmyślności, w której wszystko tonie i ginie bez śladu i echa, w której niezgłębiona, ohydna topiel zapadają światy.

Naród, ojczyzna, dobro powszechnie to dźwięki niezrozumiałe, obojętne, obce, to paplanie dziecka, którego sensu i myśli nikt nie będzie dociekał. Litość, miłość bliźnich, poświęcenie to uczucia, które przekute na monetę, przynoszą stratę i okrywają śmiesznością. Cierpienie, boleść

poniesione na rzecz drugich są cechą ludzi normalnych, których unikać należy jako tych, którzy swym jękiem skargi zatruwają pogodną atmosferę i sieją smutku zarazy. Głupim jest ten — wyznawano w tej części społeczeństwa zasady — który żyć nie umie, a umieć żyć, znaczy, nie poświęcać się i nie cierpieć w imię jakichś czczych, głupich urojeń, lecz żyć, znaczy, brać, zdobywać podstępem albo siłą. Poświęca się dla drugich albo głupiec albo obłądny romantyk. Chrystus był romantykiem — poświęcił się dla ludzi, którzy jego ofiary nie byli warci. Wskazywał drogę cnoty — sądzono, — która nic nie daje, zalecał ubóstwo, by drugi posiadł to, z czego ja, głupi, rezygnowałem a posiadłszy, tem łatwiej uczynił mnie niewolnikiem. Dlaczego ja mam — wywodzono — cierpieć, rezygnować, żyć niewolnikiem a nie on? Głupiec rezygnuje i staje się niewolnikiem, mądry włada mocą swej siły i umiejętności zdobywania. Środki wiodące do celu są obojętne.

Tak przedstawiała się ideologia pewnej, na szczęście dość nielicznej części społeczeństwa powiatowego miasteczka. Odbiegała daleko od zapartywań ogółu, a zwłaszcza domów takich, jak pana Tomasza i Andrzeja, w których jadłem zła i przewrotności niezatruła atmosfera tchnęła niesaklaną czystością obyczajów i fiarną miłością ojczyzny.

— Ja jestem niczem, jestem sługą drugiego — wypisywała na kartach swego życia ta, druga, o wiele liczniejsza część społeczeństwa — wszystkim jest ogół, na którego rzecz nie szczędzę ofiar, bo dobro wszystkich jest szczęściem mojem. Ojczyzna jest skupieniem wszystkich, za których w potrzebie krew winien przelać i oddać życie, bo cóż warte moje ocalone życie, jeśli na-

okół mnie nędza, niedola i smutek? aóż warte moje nędzne bogactwa, jeśli wokół mnie mogily się ścielą tragicznie zgasłych nadziei.

Dlaczego służyć się drugim godzi, by radość opromieniała im lica, dlaczego pracować się godzi i siać w duszach ziarna, dlatego i żyć trzeba, trwając w najwdzięczniejsze służbie miłości bliźnich. bo tylko miłość zawiedzie do celu. Komu obce najwznieślejse uczucie, jakim jest miłość bliźnich, z rozdartą duszą, padnie w połowie drogi, choć największe posiadzie bogactwa. Miłość bliźnich jest cudownym zdrojem, z którego czerpie się siły do walki z życiem.

Czem są twoje bogactwa wobec nędzy twej duszy? a tędną jest twaja dusza, jeśli nie zna miłości.

Miłość bliźnich jest warunkiem wszelkich ludzkich poczynań, jeśli przynieść mają pożytek, radość i szczęście — wszystko, co zmierza innemi drogami, skazane na zagładę.

Rozumieli to pan Andrzej i Tomasz i zrozumienie tej prostej i jedynie prawdziwej, pięknej i słusznej zasady stwierdzili całym swoim życiem, czyniąc drugim, jakby czynili sobie, a sposobności po temu mieli aż nadto, pan Andrzej, jako burmistrz miasta, pan Tomasz, jako dziedzic i serdeczny opiekun swych chłopów. Pan Andrzej jako pierwszy obywatel w mieście rozwinał z konieczności, narzucanej wojną, żywą działalność, podwoił ją i potroił, kręcił się, uwijał, zabiegał, tu chroniąc współobywateli przed rabunkiem wojsk, tam niosąc pociechę i pomoc lub interweniując u władz czy w sprawie podwozów, czy rek wizycji, krzepił i dźwigał na duchu, zachęcał do wytrwania. Jednym słowem — wszędzie był, o wszystkim wiedział i nad wszystkim czuwał, której to zadziwiającej a czujnej sprawności na-

brał w twardej szkole najstroższego rosyjskiego ucisku. Przeżył wówczas wiele i niejedno widział lecz z ciężkich doświadczeń wyniósł naukę i nieugięty hart ducha. Był niby jak ten dąb mocny, potężny, rosochaty, co rozparł się szeroko na łące i tkwił głęboko, niewzruszonymi korzeniami w ziemi. Niczem mu burze ni wiatry, które jeno — wściekła a bezsilne — dumną koroną potrzasała, ostawiając korzenie zdrowe, nietknięte. Wrył się w ziemię ojczystą ten polski szlachcic uparty niby pług w orną glebę i bronił jej mężnem lecz statecznem i rozważnem sercem i jedną miał tylko prośbę, którą w wieczornej modlitwie zanosił do Pana: daj mi moc, Panie, bym wytrwał i synom oddał, co wzięłem po ojcach, strzęp kochanej ojczystej ziemi i gorące serce.

Pod koniec kwietnia, kiedy lody spłynęły i śnieg w oczach ginał, tracąc dostojną, bieluchną swą szatę, poczęły się wyteżone, ostatnie przygotowania przeciwników do rozstrzygającego starcia. Ożył nagle front i pryskał granatami, które obmacywały przedpola. Ciężka artylerja poczęła się ostrzeliwać, jakby szukała miejsca, kędy najstraszniejsze wyrządzić spustoszenia. Statki powietrzne krążyły nieustannie, wypatrując nieprzyjacielskie pozycje, nocą ciskały się niespokojnie wzdluz całego frontu olbrzymie snopy światel, rzucanych z reflektorów.

Pan Andrzej, przeczuwając doniosłe, szybko zbliżające się wypadki, zaniepokoił się szczerze o los mieszkańców. Niewątpliwą było dla niego rzeczą, iż miasto wśród gigantycznych zmagają dwóch olbrzymich armji dotkliwie ucierpieć i narazone będzie na poważne niebezpieczeństwo. Zwierzył się więc ze swej troski generałowi Ło-

bukowskiemu, który obawy pana Andrzeja zlekceważył, twierdząc, iż armja niemiecka poniesie niechybnie klęskę, a miasto zbyt jest odalone od frontu.

— Czyżby pan choć na chwilę mógł przypuszczać — tłumaczył, — że wojska nasze miałyby zawieść, dać się pobić Niemcom? O! panie! jakem generał, excelencja Łobukow, tak te Germanicy dostaną lanie.

— Planik ja sam wypracował — ciągnął — z dumą — i nie byłbym starym wodzem, gdyby się nie udał! Ot, co!

— A co do miasta? — nu, pewnie pociski armatnie mogą je dosięknąć — cóż, wiorst tylko piętnaście, trzebaby bardzo celnych strzałów — a zresztą nazza artylerja już tam niemieckiej da z pewnością rady i zmusi ich do milczenia, a gdyby wreszcie — dodał w końcu — było źle, — no ja już dam znać panu.

jej Bohu! — wszystko na wojnie być może — to

— No, głowa do śóry, burmistrzeńku — zakończył — Rosja, to potęga! Pan nie widzi? trzeba w nią wierzyć a jak Rosja zwycięży, radość wam, panowie Polacy!

Pan Andrzej głową pokiwał i odszedł dziwnie markotny.

— Radość wam, panowie Polacy! — pomrukiwał, niewysłownym bólem targany.

— Psiakrew wołał ani tak, ani tak! gdzież jaka rada, gdzie ratunek, gdzie wyjście?

Pierwszy raz może nawiedziła pana Andrzeja chwila tak straszliwego zwątpienia i pierwszy raz nasunęły się najsmutniejsze co do losów Polski horoskopy. Rozmowa z Łobukowem uprzytomniła mu dopiero jasno i przejrzyście całą tragedję Polski, której losy w niczem były niepodobne do losów innych podbitych narodów.

— Naród polski, który przez wieki całe osłaśniał mężną swą pierśią samolubną Europę — myślał z goryczą — doczekał się od niej sowitej nagrody!

W istocie rozbiór Polski jest czarną kartą w historii, jest świadectwem perfidji i podłości — i zostanie nigdy niezatartą plamą w dziejach narodów, z których jedne aprobowały „wielkie — istotnie nieśmiertelne“ dzieło rabunku i grabieży, drugie ważyły się je podjąć i z całym cynizmem go dokonać.

Zaiste, bezwzględna obojętność jednych, i brutalna przemoc drugich sprzymierzyły się z sobą, by dokonać mordu na narodzie, który wielkimi czynami swymi dowiódł szlachetności i racji swego istnienia.

Pan Andrzej przerzucał niecierpliwie w myśli kartę historii, burzył się, miotał i targał.

— Ileż krzywd doznał ten nieszczęsny naród a ile oddał niezapomnianych usług?! — myślał pan Andrzej, unosząc się coraz bardziej zapalczywym gniewem.

— Więc jakim prawem... grzmotnął pięścią w biurko.

— Prawem!.. syknęło chichotliwie echo.

— W polityce niema praw — jest tylko podstęp i siła. Polska nie umiała być ani podstępna ani fałszywa!

— Stosunki panujące wówczas w Polsce — snuł swe myśli, które nawalną burzą duszę jego naszły — na które powodywały się państwa zaborcze, jako na okoliczności, uprawniające rzekomo do rozbioru, były sprawą czysto wewnętrzną — do nich nikt nie miał prawa się mieszać! nie były one wreszcie gorsze, niż gdzieindziej, choćby w samych Niemczech, na których czele stał Fryderyk II, znany nie tylko z rozbojów, jakich dopuścił się

na Polsce i Austrii, lecz i z fałszowania monety polskiej, oraz z polowań na chłopów polskich, porwanych z ich chat i wcielanych w niemieckie szeregi. Upominał się o te nadużycia, gwałty i zbrodnie nadzwyczajny poseł polski Rogaliński, który na konferencjach z Finchensteinem i Hertzbergiem przedstawiał ekscesy komend pruskich. Ministrowie dziwili się, nie dawali wiary, zapewniając, iż wszystko to działo się bez wiedzy króla, który wolał uniknąć zetknięcia się z posłem i uszedł przed nim do Poczdamu*).

— I tysiąc innych zbrodni mógłbym wyliczyć — szarpał się pan Andrzej w gwałtownym gniewie — jakich dopuścili się nędznicy na narodzie polskim i tysiąc mógłbym przytoczyć obietnic, któremi naród polski w potrzebie głaskali.

— Ot i ten Łobuków duby smalone prawi i obiecuje radość polskiemu narodowi, jeśli Rosja zwycięży! Lecz któżby już wam wierzył? Wam wszystkim, którzy rzekomo z nieszczęśliwym narodem współczując, doleliście nad jego losem jak Napoleon I i III, i Wam, którzy byliście jego sprawcami, jak „świątobliwa“ Marya Teresa lub „zbawca narodów“ — Aleksander II!

— W lisiej skórze żarłoczne wilki! nie po rycersku z wami wojować, lecz po sto bizunów każdemu z was wsypać, jak rzeżymieszkom, którzy spokojnego przechodnia opadłszy po drodze, pozabawią go życia i mienia. Bo i czemże się wreszcie od nich różnicie? chyba liczbą ofiar, które pochłonęliście i wielkością mienia, któreście rozgrabili, czy miarą cynizmu, z jakim urągacie prawul! Bunt wstał nagle w piersiach pana Andrzeja potężny i pchał go ku czynom rozpaczy.

— Psiakrew! choćby z kijem iść na psubratów i wyleźć z tej matni albo zginąć. Niech się raz już skończy!

Gorzał i wil się w straszliwej męce, aż pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Kto wie — myślał — czy młodzi, jak Ewka, nie mają racji. Czekać? — na co? Opaść, psiakrew, drabów jak psy odyńce i szarpać zady, drzeć mięso do kości...

— I co z tego? — szepnął głos rozwagi — w czym korzyść tej śmiesznie nierównej walki? Zmagał się w twardych zapasach, zimny, zdrowy rozsądek z całą potęgą rozpaczy.

Jeszcze się chwiał pan Andrzej i w szale bólu i gniewu snuł i układał plany natarcia na wroga na czele młodzieży, wezwanej pod orły...

Lecz wnet uznał nonsens poczynić, wiodących na pewną zgubę i wieczną zaturę.

— Roję jakby w gorączce — zreflektował się zimny pot ocierając z czoła — zmory mię jakieś opadły!

— O! Boże! — westchnął pełen niewymownej boleści i żalu — daj wytrwać, tchnij w duszę siły, by nie zwątpić i nie paść!

Stoczył z sobą walkę śmiertelną. Uznał całą bezsensowność porywczych, w danym razie bezcelowych zamierzeń i złożył broń.

Złamany zapadł w fotel i dumiał, już zgoła się nie orientując, co począć i gdzie szukać rady, właśnie gdy Ewa w tej chwili z całą zimną krwią czyniła ostatek pociągnięcia na szachownicy gry niebezpiecznej. Przez studenta Weckiego, zwanego żartobliwie ministrem spraw zagranicznych, weszła tajemnym sposobem w kontakt z niemieckim sztabem generalnym, który nowe wysunął żądania podpalenia magazynów i wysadzenia mostu celem zamknięcia wojskom rosyjskim odwrotu, w zamian za co, składał nólębkim dość mgliste i niewyraźne przyrzeczenia, dotyczące ewentualnych ustępstw na rzecz Polski.

— Pal ich djabli — mówiła Ewa na ostatniej tajemniczej sesji — wiemy, co o ich przyrzeczeniach sądzić, chytrzy są lecz ich podejźmiemy.

— Przyznam się wam — podnosił Klecki — że obudziły się we mnie teraz skrupuły, czy warto narażać tyle ludzi dla niepewnych przyrzeczeń.

— O działaniu naszym — zabrała głos Ewa — nie decydują Niemców przyrzeczenia lecz nasz interes narodowy. Musimy z nimi współdziałać, nie dla ich przyrzeczeń, lecz dlatego, by przy ich pomocy Rosję tak powalić, by się już nigdy nie podniosła...

— A jeśli Niemcy polskie ziemie zagarną?

— Tem lepiej! jeden źvd z wozu, koniowi lżej! Co do tego zagarnięcia, to ja osobiście w wygraną Niemców nie wierzę a wreszcie gdyby tak się stać miało, to myślę, że czy Paweł czy Gaweł, to już jeden djabeł — próbować nie szkodził. Chyba że tkwiąc w bezczynności, chcecie czekać, aż wam gruszki same do gęby wpadną. Czy macie jeszcze jakie wieści?

— Owsziam, bardzo ważne.

— Proszę, mówcie!

— Jutro w nocy punktualnie o dwunastej podejmują Niemcy na odcinku Łobukowa Wielka ofensywę — zgromadzili 5 tysięcy dział, 40 dywizji piechoty, w rezerwie 30 latających batalionów.

Więść podana przez Kleckiego wywarła na obecnych olbrzymie, przygniatające wrażenie.

— Niemiecki sztab żąda, byśmy na godzinę przed rozpoczęciem ataku wysadzili most.

— Bardzo trudna sprawa — odezwały się głosy — most pilnie strzeżony.

— Kto się na to odważy, napewno zginie — zauważył ktoś z obecnych.

— A jednak — zdecydowała Ewa niezłomie — musi się to uczynić. Kto z was na ochotnika?

Cisza grobowa zapadła. Lęk spowił serca drżeniem, omotał duszę i targał niemi niby wicher liściem z konara na wiosnę ledwie wypuszczonym.

— Nikt?

Wzrokiem przebiegła po twarzach zebranych i lęk w nich dojrzała.

— W takim razie... ja to biorę na siebie — rzekła spokojnie, stanowczo.

— Koleżanko! — zerwał się Klecki i począł przekonywać — to niemożliwe! pomyślcie, to śmierć pewna, mostu pilnują gęste stráže lądowe a nadto pod każdym filarem stoi łódź na posturunku — narażać życie tam, gdzie się z góry wie, iż niczego się nie dokona, jest szaleństwem, czynimy tylko to, co w naszej leży mocy...

— W tem właśnie sztuka i w tem satysfakcja, by dokonać takich rzeczy, które zdają się nie leżeć w naszej mocy — dokonać czegoś, co leży w naszej mocy, to każdy potrafi...

— Nie dokonacie — czyste niebezpieczeństwo! — odezwały się głosy.

— Więc... zginę! — odrzekła mocno — czyż ja pierwsza? Ileż kobiet polskich wslawiło się mężczyznom, ileż ich śmierć poniosła? Ileż nazwisk bohaterów i męczenniczek cytuje historia? Dość zresztą o tem — sprawa to wyłącznie moja, przejdźmy do sprawy następnej — przerwała zimno.

— Koleżanko! — zabrał jeszcze raz głos Klecki — gdybyście istotnie chcieli próbować, mieli naprawdę zamiar ważyć się na to szaleństwo — — —

— To co? — patrzyła mu przenikliwie w oczy.

— Znajdę sposób, by do tego nie dopuścić!

— Tak? mianowicie?

— To moja rzecz.

— Przypominam — mówiła z naciskiem — że jesteście związani przysięgą. A co do samego faktu wysadzenia mostu nadmienię, iż nie po to sprzysięgliśmy się, by się mazgać i za mamą płakać, kolego Klecki — sztydziła — lecz działać, kiedy zajdzie potrzeba i czynić, co wypadnie i co będzie nakazem chwili. Wysadzenie mostu zadecyduje o pogromie rosyjskiej armji — zadanie to przypadło nam w udziale — musimy je spełnić. Na tem zamykam na ten temat dyskusję, wierząc w to niezłomnie, kolego, iż w życzliwości swojej dla mnie nie zechcecie dopuścić się czynu, niezgodnego z waszym honorem.

— Mój Boże! — ciągnęła — czemuż wreszcie jest to życie ludzkie, aby je tak cenić i tak wielką przywiązywać doń wagę? I cóż ono warte, jeśli upłynie nędznie, głupio, szaro? Czyż to zwać można życiem, jeśli się przeplata żarciem i spaniem? Czy też to jest życie, jeśli z ziarna, które rzuce w ziemię, kłos bujny wykwita, cudny, złoty, owocodajny, jeśli roi się i kłębi nie pianą marzeń, lecz burzą czynów, z których każdy rokuje drugim pożytek i szczęście? Nie jestem romantyczką, wszak mnie dobrze znacie, która chciałaby szukać jakichś niezwykłych wstrząśnień czy przygód lub sławy pragnęła w śmierci, poniesionej za ojczyznę, iżby ze czcią wspomniano me imię — jakże daleka jestem od tego! Rzeczy biorę tak, jak one są. Uważam, że, podejmując się czynu, który — przyznaję — nosi na sobie wszystkie cechy szaleństwa, spełniam tylko obowiązek, od którego uchylenie się rozpętałoby burzę wyrzutów sumienia. Wolę zginać, niż miałabym żyć z tą myślą, iż z tchórzostwa czy egoizmu zaniechałam czynu, który wrogom wykopałby grób.

— Wszystko to pięknie... próbował Klecki oponować...

— Zostawcie to, proszę. Stanie się, co ma być.

Dygotał w tych słowach jakiś niemy, cichy żal, drgała tkliwie choć nieuchwytnie struna smutku, iż przeznaczenie ją właśnie, tak młodą, wybrało za swe narzędzie w tem cięższym stawiając ją położeniu, że z jednej strony pokazywało jej zdala życie piękne, bujne, radosne, które spędzić miała przy boku gorąco oddanego jej Kazimierza, a z drugiej strony narzucało jej obowiązek, którego spełnienie niesło śmierć niechybna. Lecz cokolwiek wypaść miało — rozumiała — niema sposobu uchylenia się i ominięcia przeznaczenia, którego ani badać nie chciała ani się opierać, wierzyła bowiem, iż każdemu człowiekowi znaczone są losy, które go dosięgną, cokolwiekby uczynił, by je odwrócić lub zmienić. Walkę z przeznaczeniem uważała za trud bezcelowy i próżny.

Lecz niedocieczone i niezbadane są drogi przeznaczeń, które wiją się przez nasze życie i krzyżują lub wspierają nasze zamysły i czyny, bo oto Ewa wróciwszy do domu, zastała najniespodziewaniej sztabs-kapitana Kiryłowa, który na nią czekał.

Sztabs-kapitan Kiryłow był adiutantem generała Łobukowa i stąd każdej chwili miał wolny wstęp do domu pana Andrzeja. Kiryłow rzadko widywał Ewę, lecz ilekroć razy z nią się zetknął, obserwował ją bacznie i przenikliwie, Ewa zaś na widok Kiryłowa odczuwał zawsze dziwny lęk, który zdawał się ją przed nim ostrzegać i budzić w niej co do osoby Kiryłowa poważne podejrzenia. Było w twarzy tego człowieka coś nad wyraz niemilego, co przejmowało wstrętem i odpychało a równocześnie budziło lęk. W całej jego układnej postaci, w jego chytrym, uprzejmym

uśmiechu wypowiadały się, podstęp i fałsz. W oczach żarzyły się ognie, wskazujące na zapalczywą namiętność, mocą której zdolny byłby, odnosiło się wrażenie, do najpotworniejszych czynów.

Ewa jakby jakimś przecuciem wiedziona, unikała go i zachowywała zawsze wobec niego najczujniejszą ostrożność, którą jeszcze zdwoiła od czasu, kiedy pewnego wieczoru odniosła wrażenie, jakby jej Kiryłow zdala w mdłym świetle latarni mignął przed oczyma. Zawróciła wówczas z drogi, kierując swe kroki ku ulicom, któremi okrężną drogą mogła przybyć na miejsce zebrania lecz od tej chwili, choć zdawało jej się, iż jej nikt nie śledzi, nie odzyskała już spokoju. Niepokój niczem pozornie nieuzasadniny rósł, wzmagał się, przyprawiał ją o bezsenne noce i wprawiał w stan podniecenia, które z trudnością opanowywała. W miarę wzrastania napięcia narwów, wzmagania się obaw, zdwajała czujność, wydalając się z domu tylko w sprawach naglących i ważnych i spisowcom zaleciła najdalej posuniętą ostrożność. I rzecz dziwna, podejrzenie jej padało, choć nie wiedziała dlaczego, na Kiryłowa. Zapytana o powód, dla którego właśnie ku niemu skierowała swe podejrzenia, nie umiała odpowiedzieć i niczem uzasadnić a jednak wyraźnie to czuła, iż, jeśli jest śledzona, to niewątpliwie przez zniechędzonogo Kiryłowa.

To też kiedy pani Barbara zawiadomiła ją, wracającą z posiedzenia, iż Kiryłow czeka na nią w salonie i pragnie z nią mówić, drgnęła zdjeta śmiertelnym lękiem.

— Dobrze! — odrzekła krótko, bezdźwięcznie i zmierzała ku salonowi pozornie spokojna i pewna siebie, choć serce szarpała trwoga, krew pulsowała gwałtownie w skroniach i nogi drżały. Zdało

jej się, iż zbliża się chwila, w której dopełnią się jej losy wcześniej, niżby zdołała dokonać czynu i poświęcić dlań życie, by okupić niom wolność ojczyzny.

— Jedna cegielka to będzie — myślała, wracając do domu — którą rzucę pod gmach wolności.

— Och! wolności! — ciężko westchnęła — gdzież ona? Kiedyż zorza wejdzie nad tę piękną ziemią?

— Zdało jej się, iż padnie pod ciężarem żalostnej skargi, która z piersi się rwała lecz myśl, co z duszy potężnem tshnieniem miłości ojczyzny owianej, płynęła, uniosła ją rychło jasnym swem skrzydłem ku radości wielkiej, słonecznej, iż czyny, które spełnić jej przyjdzie, nie pójdą na marne, lecz zapłodnią myśl innych i skupią ich w wielkim, wspólnym wysiłku.

Przycichła skarga, rozplynęła się w nicość trwoga, pierzchło zwątpienie — wstała myśl jak słońce, jasna i piękna i jak Bóg potężna.

— Czynić, działać, walczyć, nie skąpić trudu — szęptała jakiejś niewysłowionej radości pełna, zdolna ogarnąć świat cały i ruszyć go z posad i mierzyć się z każdym do tchu ostatniego. Moc w sobie czuła ogromną, niezwalczoną.

Aż wszedłszy w próg domu, zachwiała się w swej niezłomnej wierze, zesłabła w wytężonej woli. Pryśła radość, rozbiła się moc — błądźca okryła lica, pawność zbawienia, tryumfu zamieniła się, gdyby za dotknięciem różdżki, w pewność niezawodną śmierci, poniesionej dla dzieła, którego nie zdoła niestety wykonać.

Wróg czyhał.

Siedział w salonie, przeglądał notatki, coś pisał.

Weszła.

— Pan życzy sobie... z trudem wymówiła — —
— A właśnie — odrzekł, zrywając się z krzesła.

— Proszę — słucham —

— Proszę, pani spocznie, — uśmiechnął się uprzejmie — pani wydaje się być bardzo zdenerwowana...

— Bynajmniej — jęknęła, opanowując się całą siłą.

— Nu! przecież proszę nie przeczyć, dziecko dostrzeże...

Śmiał się chytrze i świdrował przenikliwie małemi oczkami.

— O cóż więc chodzi? — przerwała niechętnie.

— Sprawa... bardzo dyskretna...

Podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku, zapuścił rolety w oknach, poczem usiadł naprzeciw Ewy i mierząc ją długot, natarczywie oczyma, cisnął nagle, niespodziewanie:

— Pani wie, że znane mi są wszystkie wasze plany?

Ewa zbladła, przez chwilę niezdolna wydobyć z siebie słowa, lecz w mig zdołała skupić swą wolę od której napięcia i mocy zależał jej ratunek lub zguba. I nietylko może zależało jej na ocaleniu samej siebie, ile na uratowaniu tamtych, licznych, zapalnych, gorąco oddanych sprawie, która nimi żyje i z nimi padnie.

— Nasze plany? Odkrycia pańskie polegają na oczywistym błędzie. —

— Aa! sądzi pani?

— Bo mnie o żadnych planach nic niewiadomo.

— Próżno przeczyć wobec dowodów, które mam w ręku.

Zachwiała się Ewa powtórnie przez chwilę, lecz przez myśl jej przeszło, iż w każdym razie jedyną taktyką, którą kierować się winna, jest wyprzec się i zaprzeczyć wszvstkiemu.

— Jeśli istotnie coś wie — szybko kombinowała — ani mi to zaszkodzi ani pomoże, jeśli zaś nie wie a tylko domyśla się lub chce mnie podejść, niczego się nie dowie.

Skonstatowawszy wśród największego wysiłku woli, wspartej zimną rozważą, plan choć prosty lecz przecież mistyczny, czuła się już spokojną i pewną.

— Zwykła to wasza rosyjska metoda: wmówić winę w niewinnego, torturami wydobyć zeznania, choćby występkę nie było.

— O cóż chodzi? — słucham!

— Przedewszystkiem muszę wyjaśnić nieporozumienie, które między nas się wkradło. Pani uważa mnie za waszego wroga, podczas gdy ja jestem waszym najszczerzym przyjacielem.

Ewa zdwoiła czujność i zwarła się w sobie.

— I to nic nowego! tym samym językiem przemawiali pańscy przodkowie do naszych ojców nieszczęsnych więźniów politycznych, chcąc wydrzeć z nich zeznania.

— Proszę mi wierzyć, że potepiam rosyjskie metody postępowania z wami i że chcę mówić z panią szczerze.

— O czem, jeśli spytać wolno?

— O tem, co mnie i panią boli.

— Nie rozumiem.

— Zaraz wyjaśnię.

Zerwał się nagle, pobiegł ku drzwiom, które szybko otworzył, poczem, wyglądnąwszy, zamknął i pobiegł ku oknu; podniósł roletę, otworzył okno, rozejrzał się bacznie, następnie okno z powrotem zamknął i zapuścił roletę. Ewa nie spuszczała

czala go z oka, gotując się do czegoś, co nagle niespodziewanie przed nią stanęło, zagroziwszy drogę.

Po chwili usiadł i zaczął mówić przytłumionym szeptem:

— Z rozmów, któreśmy z sobą czasem, dorywczo toczyli, wiem, że pani Rosję nienawidzi. To samo uczucie — cedził zwolna jakby się namyślał i wahał — nienawiści do Rosji żywię i ja.

— Pan?

— Tak! ja Rosjanin, nienawidzę jej tak dobrze, jak pani.

— To szczególnie!

— A jednak z prawdą zgodne — jestem gotów przyśpieszyć jej zgon... podobnie jak pani.

Pochylił się ku niej i śledził wrażenie, które słowa jego wywołały. Ewa pod naciskiem natrączywego, namietnością płonącego wzroku, cofnęła się poza szaniec oschłej obojętności, którą na twarz przywołała.

— Proszę nie podsuwać mi myśli...

— Które w głowie pani nie powstały — odciał z ironią — tak! wiem! dowodem tego uknuty przez was spisek przeciw armji rosyjskiej, którego nici dzierży pani w ręku.

Tu już zaczął Kiryłow operować faktami, które w niwecz obróciły jej chwilowe złudzenie, jakoby opierał się tylko na przypuszczeniach. Dwa szczegóły które wymienił, iż istnieje spisek i że ona jest jego duszą, starczyły, by ją o tem przekonać, iż jest w jego ręku, lecz mimo wszystko postanowiła w myśl powziętego planu do ostatniej chwili wszystkiemu przeczyć.

— Kłamstwo! — uniosła się gniewem, nadając słowom ton możliwie najgłębszego oburzenia.

— Gołosłowne zaprzeczenie nie obali faktów — ryczał wściekły.

— Jeszcze raz powtarzam...

— Kiryłowa nie wywiedzie pani w pole.

— Nie poczuwając się do żadnej winy, nie potrzebuję uciekać się do wykrętów.

— Zwłaszcza, że na nicby się nie przydały.

— Ta szelma — zbierała szybko myśli i snuła wnioski — zdaje się jednak nic nie wie — gdyby wiedział, byłby już dawno z tem wyjechał. Czego on właściwie chce?

Straciła orientację i nie spostrzegła, że Kiryłow wodził ją i pastwił się nad nią, rad ją jak najdłużej utrzymywać w niepewności i zadawać jej mękę, która sprawiała mu satysfakcję. Sycił się zemstą za pogardliwe odnośnienie się jej do niego w ciągu trwania znajomości, nasuniętej smutną koniecznością przyjmowania rosyjskich oficerów, którzy w sprawach urzędowych zjawiali się u Łobukowa. Ewa jak i cały dom pana Andrzeja, nie wyłączając pana Tomasza, odnosiła się do nich z widocznie okazywaną niechęcią, z pewną wyższością, jeden tylko Łobukow cieszył się względna sympatją i dopuszczany bywał do towarzystwa, które wieczorną porą snuło przy herbacie gawędy, skracając sobie tym sposobem męczący, długi czas wyczekiwania ostatecznego rozstrzygnięcia wojny a temsamem i losów Polski.

— Nie rozumiem wogóle — chciała postawić ostatecznie kwestję jasno i wyjść z zakłętego kręgu dręczącej niepewności — w jakim celu wszczął pan tę rozmowę? jeśli chodzi panu tylko o to, by wydobyć ze mnie wyznanie, że Rosji nienawidzę, to mogę to oświadczyć bez tych wszystkich pańskich zabiegów — co pan jeszcze pragnie wiedzieć?

— Na razie chcę panią przekonać, iż wiadome mi są — ciągnął wolno, dobitnie — kompromitujące panią jako przewodniczącą tajnego komitetu

wszystkie fakty, za które każdej chwili mógłbym panią wydać na śmierć.

— Dziwne, że pan dotąd tego nie uczynił.

— Tylko dlatego, że chcę się z panią porozumieć i nienawiść pani wyzyskać do swych celów.

— Porozumiewać się wogóle można tylko z ludźmi, do których ma się zaufanie.

— Znaczy się, że do mnie...

— Nie mam zgoła żadnego wogóle, a w szczególności odnośnie do jakichś pańskich planów.

— Lecz... do niemieckiego sztabu generalnego ma pani?

Słowa Kiryłowa, mocno i trafnie wymierzone, zmiażdżyły Ewę, która nie mogła mieć już żadnych wątpliwości, że Kiryłow jest istotnie w posiadaniu tajemnicy. Tysiące wskutek tego otwierało się nagle przed nią możliwości, z których każda zdawała się grozić nieuchronną zgubą.

Myśli cisnęły jej się do głowy bezładnie, wiorowały jakimś zawrotnym, szalonym kołem, duszę pogrążając w bezden niewypowiedzianej męki i cierpienia.

A Kiryłow zaczął:

— Na polecenie sztabu niemieckiego nie wahać się wszystkiego zaryzykować bez widoków osiągnięcia wzamian za to czegokolwiek — tak? Cóż pani sądzi, że nie wiem o tem, iż jesteście z niemieckim sztabem w bliskim kontakcie? Klecki nie przywiózł może wiadomości, że jutro w nocy o dwunastej Niemcy podejmują ofensywę? nie przywiózł żądań niemieckiego sztabu i przyrzeczeń za ich spełnienie? — a to, czy nie jest prawdą, że jesteście na wszelki wypadek tajnie zorganizowani? czy dość faktów? czy wyliczyć więcej?

— Aha! milczy pani? To już dobrze! Teraz możemy przystąpić do rzeczy, o którą mi chodzi. Czy zechce mnie pani wysłuchać?

— Wyrzucony z sztabu generalnego — począł po chwili — a potem usunięty z armji dla błałego powodu — chodziło tylko o 20 tysięcy rubli — pędziłem życie nędzarza, ja, potomek starego, choć zubożalego rodu. Poprzysiągłem zemstę. Kiedy wojna wybuchła, przywrócono mi stopień sztabkapitana. No początku wojny, jak pani wie, wiodło się Rosji. Zdawało się, że moje nadzieje zemiszczenia się spełzną na niczem. Lecz czekałem cierpliwie. Dziś nadeszła chwila. Dziś po niespełna roku wojny, kiedy armji wojeńską się noga, kiedy całą Rosję ogarnęło już znużenie, następstwem załamania się frontu musi być rewolucja. Padnie znienawidzony rząd czarski, powloką na latarnie cały sztab generalny, zczeszają wszystkie kamerjunki, fligeladjutanty i inne ciemne figury, lecz stać się to wtedy, kiedy padnie front, a padnie, jeśli pani w tem pomoże.

Ocknęła się Ewa z odurzenia, w jakie wprawiły ją te wszystkie z całym cynizmem dokonane i wyliczone zbrodnie, jak i te, których dokonać zamierzał. Jakaś pogarda, fizyczną wprost odrazę odczuwała dla tego nędznego indywiduum, wyczerpanego z wszelkich uczuć, które śmiało, wyzyskując jej najpiękniejsze i najwnioślejsze uczucie, jakim jest miłość ojczyzny, proponował jej układ, wspólne działanie i stawiać się z nią na równi, z nią, która działała z najczystszych pobudek w przeciwnieństwie do niego, który w zamierzeniach swych wychodził z najburdniejszych instynktów, wyległych w najpodlejszej duszy.

Dławiła ją ta myśl, iż miałaby, a może i będzie musiała stać się współniczką tego nędznika, który zbrodniczą ręką sięgał do jej czystej duszy i losy jej dzierzył w swej ohydnej dłoni. Sam fakt zależności od takiego człowieka sprawiał jej ból nie-

wymowny, ewentualność zaś związania z nim swch losów przyprowadziła ją o rozpacz.

— Któż kiedy był — myślała — w tak strasznym położeniu? Kto to zrozumie, kto poradzi, kto uwolni od tego draba? Kędy mi się obrócić, co począć? wiązać się z tym lotrem — to wstyd i hańba! pluć mu w twarz i odejść — to moja i sprawy zagłada! śmierć.

Szarpała się w myśli chaosie, łamała w bólu, napróżno szukając dróg. Rozpaczna myśl urągała Bogu, iż dopuścił chwili straszliwej próby. Przeżywała tę samą walkę, w której mocował się sam z sobą pan Andrzej, dociekając przeznaczeń, które narodowi zgotować spodobało się Panu.

— Ach! czemuż inne narody — płynęła skarga żalosa duszy znękanej — Bóg obdarzył swą łaską, dając im wszystko, co o szczęściu stanowi? czemuż od nas odwrócił oblicze i ukrył się kędyś poza nieprzejrzane chmury, przez których gęstwie zwartą modlitwa, ni prośba nie przepłynęła, by skrócił czas męki, wywiódł z niewoli i zbawił?

Pograżyła się w bolesnej zadumie, którą Kiryłow przerwał:

— Pani pomoże?

— Ja?

— Tak! pani! — nikt inny! Ja żądam tej pomocy od pani — rzekł kategorycznie.

— A jeśli żądaniu odmówię?

— Wydam na śmierć panią i wszystkich winnych zbrodni zdrady stanu.

Ewa czuła, widziała niemal wypełzającą przed nią z słów Kiryłowa twardą, potworną konieczność, która szła ku niej nieugięta, nieublagana, z wszystko ogarniającą nieprzepartą mocą.

— Między nami jest ta różnica, że pani chce tylko przyłożyć rękę do zupełnego pogromu, a ja

chcę go spowodować, pani chce tylko poprzeć dzieło zniszczenia, a ja chcę wywołać. Czy... godzi się pani... ze mną współdziałać?

— Nu, panno Ewo — mówił po chwili — tak wy Polacy macie przecież stare porachunki z Rosją, wy teraz macie możliwość wzięcia odwetu za katorgi, za Sybir, za tysiące posieleńców...

— Nu? — nad czym pani tak duma? czy pani to robi, czego Niemcy żądają, czy to, czego ja żądam, to przecież wina jednakowa. Nie zgodzi się pani na moje żądania, czeka panią śmierć! — Tak! śmierć — pwtórzył z naciskiem i badał przez chwilę wrażenie — spełni je pani, będzie pani zasluga.

— Czego pan żąda?

Podsunał się ku niej bliżej i począł ciszej:

— Front niemiecki mocno obsadzony — armja rosyjska powinna ponieść klęskę lecz na wojnie trudno przewidzieć, co się stanie, na dwoje zawsze babka wróży. Generał Ł. dowodzi najważniejszym odcinkiem frontu, obsadzonym dwoma dywizjami. Generał Ł. jest znakomitym strategiem i on może odwrócić klęskę, grożącą armji rosyjskiej. Rzecz więc w tem, aby Generała Łobukowa nie dopuścić do głosu i tak długo czemś go zająć, póki Niemcy nie przełamią frontu. Łobukow spodziewa się ofensywy dopiero za cztery dni — dowiedział się o tem od Niemców, którzy szpiegów nasłali. Nie spodziewając się ataku, nie będzie tak czujny. Więc pani jego na dwie godziny przed rozpoczęciem ofensywy upije... On teraz dużo pije z rozpachy, iż go Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz w kasynie sponiewierał. Upiwszy go, podsunie mu pani rozkaz do podpisu, który ja przygotowuję, a który poleci jego dwom dywizjom w decydującej chwili cofnąć się z pozycji — uczyni to wyłom i wywoła zamęt.

— Ot i wszystko, czego od pani żądam. Cóż pani na to — ha?

— Ja tego nie zrobię.

Jeszcze raz próbowała się bronić, odeprzeć, potworną konieczność, co do której czuła jednak, iż musi ulec. Słowa to tylko już były, puste dźwięki raczej, niż istotna próba oporu, który złamał się i przestał istnieć zwłaszcza kiedy po namyśle skombinowała, iż właściwe cel jej zbiega się z celem Kiryłowa.

— Przecież chodzi mu o to — myślała — by armja rosyjska była doszczętnie rozgromiona, bo w klęsce Rosji leży zbawienie Polski, a czy to osiągnę z Kiryłowem czy bez Kiryłowa...

Miała tylko poważne zastrzeżenia co do osoby Kiryłowa, z którym się wiązała, jak i co do sposobu przeprowadzenia planu, którego ofiarą miał paść dobroduszny Łobukow.

— Nie zrobi pani? Dlaczego?

— Zbyt podła to robota, abym miała przykładać do niej ręki!

— Nie podlejsza od tej, którą pani planuje — zachnął się — a wreszcie nie pani to sprawa wydawać o tem sąd, pani ma tylko odpowiedzieć krótko: tak albo nie.

— Ten ton mi się podoba! — odcięła z ironją.

— Skoro prośby nie skutkują...

— I groźba nie pomoże!

— Dość już tej gry w ciuciubabkę — dźwięgnął się groźnie i lypnął złowrogo oczyma — jutro o tej porze t. zn. o dziewiątej wieczorem zgłoszę się do pani po decyzję.

Skłonił się i wyszedł.

Długi czas siedziała bez ruchu w fotelu pogrążona w zadumie, rozważając nowe położenie, w którym się znalazła, postawiona przez Kiryło-

wa, przed zadaniem, które niewątpliwie było dla niej niesympatyczne lecz bez kwestji było łatwiejsze, niż tamto, wysunięte przez Niemców. Uznała, iż przeprowadzenie planu Kiryłowa było w skutkach swych więcej doniosłe, mogło być dla armji rosyjskiej miażdżące, i wróżyło niechybną, bezwarunkową klęskę. Nagle wycofanie z frontu dwóch doskonałych dywizji w chwili decydującej musiało wywołać na sąsiednich odcinkach chaos i zamęt i stworzyć nieczem niezapelnioną, olbrzymią lukę, przez którą wtargną Niemcy, powodując w ten sposób gwałtowne, nieobliczalne w skutkach zwinięcie frontu. Szatański plan Kiryłowa mógł spowodować katastrofę, jakiej nie znalazły dzieje i dla tego trafiał jej więcej do przekonania, niż żądanie Niemców wysadzenia mostu, który to fakt mógł dopiero wówczas nabrać właściwego znaczenia, kiedy Niemcy zdołaliby przełamać front, co wobec oświadczenia Kiryłowa nasuwało o tyle wątpliwości, iż Łobukow będąc znakomitym strategiem, mógł stawiać w danym razie tak długo opór, który nie rzuconoby przez rzekę mostu pontonowego, a w takim razie ryzykowne przedsięwzięcie chybiło celu. Ten sposób rozumowania doprowadził ją do decyzji przychylenia się do żądań Kiryłowa. Chodziło jej teraz tylko o to, czy w wysunięciu ich nie należało dopatrywać się jakiejś zasadki, w którą Kiryłow pragnąłby ją wciągnąć... Przypominała sobie wszystkie szczegóły rozmowy, poddając je dokładnemu badaniu, na mocy którego przysłała niezbitcie do przekonania, iż Kiryłow, chcąc wysnuć konsekwencje z faktów mu znanych, nie potrzebowałby uciekać się do podstępów, sprawa bowiem dla niego była zbyt jasna, by szukać miał jeszcze więcej dowodów winy.

— Jeśli więc — snuła rozumowanie — za-

miast natychmiast posłużyć się dowodami, które miał w ręku, zaproponował wspólne działyanie na szkodę Rosji, bo czynił to niewątpliwie szczerze nie tylko oczywiście dla nasycenia się zemstą, lecz prawdopodobnie dla więcej realnych korzyści.

— Pal go diabli wrzeszcie — myślała — dlaczego to czyni, to jego sprawa — dość, że podłość jego ułatwi zadanie i poprze nasze sprawy.

Wstała spokojna, zimna, zdecydowana. Jeden tylko nasuwał się jej skrupuł, który poczał w duszy nurtować i przykrym zgrzytem mać radość na myśl o dziele zniszczenia, którego miała dokonać: czy godzi się tak chytrze podejść zacnego Łobukowa, który ludności okazał tyle dobrej woli i serca.

— Jakież straszliwy los mu gotuję — myślała z wrastającym niepokojem — czem odwdzięczam mu się za jego dobroć? ileż względów okazał ten człowiek, ile miał wyrozumiałości? jak chronił wszystkich przed rabunkiem, grabieżą, nieludzkim obchodzeniem się? czy godzi mi się tak podle z nim postąpić, czy wolno? Czyn mój, który kryje jeszcze w duszy, jest żywym zaprzeczeniem, pogwałceniem najprostszycy zasad etyki...

— Gdyby był szelmą, łotrem, jak wielu innych...

— Tak, to wszystko prawda — dobrze! niegodne to i podle, przebijała się z mazołem przez chaos myśli do pewnych wniosków, które wywieść ją miały z gęstwiny skrupułów — co czynić zamierzam, przez wzgląd na osobę, o którą chodzi — lecz jakież w takim razie wyjście?

Biła w bezdrożne trzęsawisko pal za palem i pomost kładła, po którym przedrzeć się chciała ku wyjściu z matni.

— Przez wzgląd na osobę... tak! lecz przez wzgląd na sprawę? Czy wolno mi zaniechać spra-

wy dla osoby? Czem usprawiedliwiłabym poświęcenie sprawy dla osoby... dla osoby, która bądź co bądź jako przedstawiciel swego państwa jest wrogiem... Takich zaenych i pęczywych jest wśród nich może wielu, każdy dla siebie i przez siebie lecz wszyscy razem wzięci stanowią tę siłę i przemoc, która nas ujarzmiła, pograżyła w straszliwej, gwałcącej prawa boskie i ludzkie niewoli! Czy nie mam prawa, ba obowiązku zrzucić ją z ramion w kablak pod jarzmem zgietych? Więc mam ominąć sposobność dla... Łobukowa, który sam przez siebie może i nie pragnie naszej niewoli, może i z nami współczuje, może, gdyby to od niego zależało, wróciłby nam wolność?...

— To tragedia na odów, rządzonych przez tyranów nigdy niesytych, wiecznie pragnących nowych podbojów, łupów rządzenia światem. W odmet walk krwawych rzucają bratobójczych narody, które przez władców swych i ich najbliższe otoczenie, kamaryle dworskie, snujące intrygi, podjudzone, dzikiemi stają się zwierzętami, rozszarpującymi ciała nieszczesnych swych braci, rzekomych swych wrogów, których takimi przedstawili im ich rzady...

Przypominała sobie rozmowy, przygodnie toczone z żołnierzami, z których każdy mówił: co mnie wojna! za co ja mam się bić? co ja tu z za Wołgi, z Uralu, z Kaukazu? po co? mnie nędza moja starczy, nie chcę cudzego! w domu mam żonę i dzieci...

Skarżyli się na swój los pchani w bój, rzucani w paszczę śmierci, nie wiedząc, w imię czego ponoszą trud i życie narażają.

— Lecz czemu są jednostki, choćby najlepsze, czem narody wobec woli tyranów, dla których życie człowieka igraszką a ludzkie mięsem, rzycanem masami na żer armatni!

— Naród rosyjski — dochodziła już do konkluzji może dobry, może zacny, może poszczególni ludzie nie pragną ujarzżenia drugich lecz rząd nie wyrzeknie się nigdy zdobyczy, uzyskanych podbojami i przemocą, więc wydrzeć mu je z potworem należy, walcząc każdą bronią, jaką w danej chwili się rozporządza. Wzgląd na osoby, jedności, byłby śmieszny, byłby grzechem wobec świętej sprawy i zbrodnia.

— Łobukow nie może — zdecydowała — nie stety odgrywać tu żadnej roli — sprawa wymaga ofiar — pierwszą Łobukow być musi.

Jeszcze chwilę dutmała zajęta ostatnią, ściśłą rewizją swych wniosków, które miały ją uspokoić w sumieniu i utrwalić w zamierzonym dziele, gdy nagle z sąsiednich pokoi doszły ją głośne wybuchy spazmatycznej skargi i płacz matki. Pobiegła coby prędzej za echem dziwnych i niezrozumiałych odgłosów i w stołowym pokoju zastała pana Tomasza i Andrzeja, pogrążonych w jakiejś straszliwej a niewytłumaczanej rozpacz, która zdało się, przyszła nagle, nieoczekiwanie, a której powodu natychmiast się domyśliła, spostrzegłszy ku swemu największemu zdziwieniu panią Wielską, rezydentkę, stale osiadłą we dworze pana Tomasz, na łaskawym chlebie.

— Pani? z Nieszawy? jakim sposobem? — pytała zdziwiona, przeczuwając coś najgorszego lecz nie doczekała się odpowiedzi, bo pani Barbara rzuciła się jej z płaczem w ramiona.

— Ewuś! moje biedne dziecko! — zawodziła.

— Cóż się właściwie stało?

— Mówmyż, jak Boga kocham, po ludzku — wpadł z furją pan Andrzej, — bo ze skóry wyskoczę. Odpowiadaj pani na pytania. Jakim sposobem dostała się pani tutaj przez linje bojowe? Czy wieść stwierdzona?

— Ale o cóż chodzi? — pytała Ewa — powiedzcie wreszcie...

— Bo to widzisz, moje dziecko — wybuchnął w niepohamowanym żalu pan Andrzej. —

— Przyszli Niemcy, rozumiesz — wtraciła pani Barbara.

— Szelmy, zdrajcy, och! jakaż straszna chwila... kiedy pomyśle... o tem, co się stało... — krążyła ostrożnie pani Wielska w swych niedomówionych relacjach.

Jedno przez drugie mówiła, śpiesząc się pozornie z podaniem jakiejś okropnej, druzgocącej wieści, w istocie ociągając się widocznie z obawy, związanej z osobą Ewy, której nie miano odwagi odkryć nagiej i straszliwej prawdy.

Jeden tylko pan Tomasz nie brał udziału w dyskusji, siedział w milczeniu, pogrążony w niemej rozpacz, w której zdawał się zastygać i krzepnąć. Był jakby żywym posagiem, wypowiadającym ból niepomierny, tak wielki, iż niezdolny był wyrzec jednego słowa i jednej łzy uronić. Wcisnąwszy głowę w skurczone dłonie przymknawszy i oczy, kiwał się w tył i naprzód ruchem stałym, ciągłym, dziwnie opieszalym, leniwym niby wahadło bezduszne, automatycznie, w ruch jakąś mocą puszczone, co nie prędzej zatrzyma się w biegu, aż ustąpi niepowstrzymana rozpędowa siła.

— Wieści o... Kazimierzu? — zdobyła się wreszcie Ewa na odwagę, by uderzyć w sedno rzeczy, która, jak słusznie przypuszczała, była wątkiem i osnową ostrożnych, lękiem o nią nacechowanych niedomówień.

— Proszę bez ogródek — mówiła już bez dającego się odczuwać drżenia w głosie — ujawnić całą prawdę.

— Ewuś! — wybuchnęła pani Barbara.

— Kazimierz...! — urwała Ewa nagle, ogarniona niepojętym, nieznanym lękiem.

— Nie żyje! — zgiął od niemieckiej kuli! — informowała pani Wielska.

Padł cios, który, zdało się, pograży Ewę i zmiądzzy. Zachwiała się i zbladła — straciwszy moc panowania nad sobą, padła bezprzytomna. Odzyskawszy po chwili przytomność, leżała bezwładnie na łóżku, szepcząc wśród najwyższej o nią trwogi obecnych: Kaziu! Kaziu! mój jedyny... o! wieści straszliwe!... Kazius!... chłopcze mój ty kochany... biedaku...

I pół-przytomnie snuła wianek najśłodzych pieśczoł, niby kwiatów najcudniejszych, zerwanych na łące, uwitych w wiązanke pachnącą, zienią strojną, w trumnie u nóg kochanego złożoną.

A potem, zwolna przyszedłszy do siebie, kazała sobie opowiedzieć o szczegółach mordu.

— W niespełna tydzień po wyjeździe pana Tomasza — poczęła pani Wielska — Niemcy, jak to zapewne państwo pamiętają, przerwali rosyjski front, weszli do wsi i zaraz część jej spalili rzekomo dlatego, że chłopci zachowali się wobec nich wrogo. Dobytek zniszczyli, drzewa wycięli, bydło wyrznęli, kilku chłopów powiesili, wreszcie zawitali do dworu, Kazio przyjął ich chłodno, lecz grzecznie. Odstąpił im cały dwór, a sam przeniósł się do czworaków. Komendant pruski, drab olbrzymi, pułkownik von Kökeritz...

— Jak? jak? — pytała natarczywie Ewa.

— Von Kökeritz...

— Von Kökeritz, von Kökeritz — powtarzała, jakby chciała wbić sobie w pamięć nazwisko.

— Pytał, czy niema w dworze ukrytych kozaków, na co Kazio, święcie o tem przekonany, oświadczył, że niema. Wówczas pan von Kökeritz rozgadał się o naszym sprzyjaniu Moskałom i za-

groził Kaziowi śmiercią, jeśliby skłamał. Przeszkadzało zaraz dwór i ku przerażeniu Kazia znalazł go na strychu ukrytego kozaka.

— Skądże się tam wziął u diabła — przerwał pan Andrzej.

Kiedy armja rosyjska cofała się, ten kozak, nie chcąc już dłużej wojować, wpadł na pomysł ukryć się na strychu. W tej chwili Kazia aresztowano i tej samej nocy biedaka rozstrzelano, ja zaś ze strachu uciekłem do drugiego folwarku, skąd bezzwłocznie wyjechałem do Kyczewa. Mówiono później, że podobno ocalał i gdzieś się z Mikołajem ukrywa, lecz głupstwa to niewiarygodne, bo go w moich oczach...

— Rozstrzelano? — pytała Ewa.

— Nie — aresztowano!

— Ha! psy! łajdaki! Boga mi! pierwszego draba — ryczał pan Andrzej — którego spotkam, posiekam w sztuki.

— Dalibóg — miotał się w niepowstrzymanej pasji — wierzyć chyba wypadnie, że Pan Bóg zsyła na nas kary za przewinienia, albo zgodzić się z Basią, że każdą radość podwójnym smutkiem opłacić trzeba. Bo tak się to wszystko pięknie układało — Kazio taki zacny, poczciwy, Ewa taka dzielna, mądra, że tylko myślą się pieścić, jakie to z nich byłoby szczęśliwe małżeństwo... Cóż! psi los, ta przekłeta wojna, to Moskale, ci Niemcy... pludraki, barbarzyńcy! Ach! obrzydło mi to już wszystko, że tylko kłaść się w mogiłę, nie patrzeć na to wszystko, nie cierpieć za siebie i za wszystkich, nie płakać nad dolą narodu, który szelma, wróg zdeptał i sponiewierał. Najdaj cię, Bogu ducha winnego, takie draby, wywłoki, wytną ci drzewa, wyrzną bydło, dobytek zniszczą, chłopów wywieszają, naród udęcą... i skąd? za co w imię czego? jakim prawem psiakrew?!

— Jędrusiu! — mitygowała go pani Barbara—
a to nie klnij tak przecież, bo ściągasz tylko na
dom jeszcze większy gniew boży...

— A bo już głowę tracę i nie wiem, co czynić,
gdzie szukać Boga...

— Jędrusiu! na Boga!...

— Daj pokój, zamilcz, bo mnie pasja roznosi,
już i najcierpliwszy straciłby w końcu równowagę.

— Cóż gniewem poradzisz?

— Co? jakto co? ho! ho! już mi ty tylko nie
neguj, bo siła taka drzemie w narodzie...

— Pewnie, pewnie! ale czy starczy na takie
potęgi? nie widzisz, co tu wojska, armat i Bóg wie
czego, co za moc! a my co? biedaki bezbronni...

— Tęgi duch i miłość ojczyzny... ale co tam
wreszcie z babami o tem rozprawiać...

Spór zaostrzał się i groził burzą, wywołaną
nieustępliwością zwykle łagodnej pani Barbary,
która wręcz potępiała wszelkie zakusy podjęcia
nierównej i niebezpiecznej walki, o której w rze-
czywistości pan Andrzej sam na serjo nie myślał,
rozumiał to przecież aż nadto dobrze, iż wszelkie
w tej mierze poczynania byłyby szaleństwem. Nie
bez gniewu jednak o tem myślał, iż w chwili, kie-
dy świat niemal cały stoi w ogniu, naród polski
skazany mocą swych warunków na bezczynność,
przypatrywać się musi zapasom, toczącym się na
jego ziemi, i wyczekiwać rozstrzygnięcia swych
losów, nie kowanych własną, mocną dłonią, lecz
gotowanych przez bocznych, którzy już to uważają
za akt łaski, iż żyć, nędznie istnieć pozwolą. Bur-
zył się na to pan Andrzej i choć, zrównoważony,
rozsądny, przewidujący, przecież nieraz łamał so-
bie głowę nad sposobami, których uchwycićby się
należało, by sprowadzić odmianę położenia rzeczy
i pchnąć naród do czynu. Lecz niczego w tym
względzie nie zdołał wymyśleć, jeśli brał pod uwa-

gę brak wszelkich ku temu środków. Ileż to razy
w godzinach zadumy, krążącej około problemu
przyszłości Polski, dusza rwała się do czynów, ki-
piała żądzą wynijścia w szranki, i wizje snuła prze-
cudne o hufcach rycerskich, sztandarach zwycię-
skich, by... za chwilę pod obuchem tragicznej rze-
czywistości skurczyć się, zmaleć, zwinąć w kłębek
i pograć się w bezmiarze szarej, beznadziejnie
smutnej meloncholji, której kres sięgać się zdawał
poza grób jednego, a może kilku pokoleń.

I kędy rzucił okiem po tej biednej, smutnej,
polskiej ziemi, wszędzie dojrzał smutek i cmen-
tarną ciszę, co skrzydła rozpostarła wśród mogił
nadziei! A czasem znów zadrgał w piersi duch wiel-
ki,—budził się niby ze snu olbrzym, rozprostowy-
wał potężne, mocarne ramiona i przeżył i całą pol-
ską ziemię do piersi przygarniał i dzwoniąc zbroją
stalową, budził lęk w sercach wrogów. A z lica bi-
ła mu radość i duma, a z oczu ciskał błyskawice
gniewu i blasków tysiącem świeciła przyłbica,
iskrzył się w słońcu miecz potężny w dłoni, a wróg
mu u stóp leżał i żebrał o łaskę.

Tak cały naród tęsknił, śnił — tak cały naród
żył w mece.

Jednych trawiła gorączka czynów, dla których
dokonania nie widzieli sposobów ni środków, jak
pan Andrzej, innych zapalczywszych poniosła żą-
dza służenia ojczyźnie na polu chwały i wojennej
sławy w obcych, czy w legjonowych szeregach,
które, dzierżąc broń w walecznej dłoni, wolność
pragnęły wywalczyć i stać się wśród sprzyjających
okoliczności zawiązkiem wojsk, służących swojej
sprawie.

W czasie, kiedy pan Andrzej, uniesiony gnie-
wem, snuł kombinacje, raczej na przekór pani Bar-
barze, niż dla istotnych widoków i racji, bo wraz
je po ich powstaniu przekreślał, kiedy pan To-

masz, jakby z bólu skamieniał, i trwał w pozycji bez ruchu, Ewa, krzepka w czynie, nieodkładająca nigdy niczego z chwili na chwilę, powzięła jąś ważką decyzję, bo nagle zerwała się i pobiegła ku pokojom, zajmowanym przez Łobukowa, i energicznie, mocno zapukała.

— Nu? a kto tam

— Ja — Ewa!

— Aaa! panna Ewa! a co się stało?

— Chciałabym z ekscelencją natychmiast kilka słów pomówić — czy wolno wejść?

— Nie można, panno Ewo — ja całkiem comode... a pilna sprawa?

— Bardzo!

— Ja zaraz do państwa zajdę.

Niebawem zjawił się, witając uprzejmie zebranych.

— Ekscelencja wybaczy, że go ze snu budzę...

— Pani wszystko wolno, panno Ewko! pani ma specjalne przywileje — o cóż tedy chodzi?

— Mam do ekscelencji wielką prośbę...

— Jak tylko można...

— Muszę bezzwłocznie wyjechać.

— Wyjechać?

— Dokąd? — wpadł pan Andrzej przerażony.

— Ekscelencja będzie łaskawą mocą swoich wpływów wyjednać mi natychmiast paszport za granicę.

— Paszport zagranicę? bardzo trudno!

— Ekscelencjo! — przerwał pan Andrzej kategorycznie — proszę prośbę mej córki nie słuchać — ja absolutnie na żaden wyjazd nie pozwalam!

— Ewko! — prosiła ze łzami w oczach pani Barbara — co zamierzasz, moje dziecko? do jedynego zmartwienia chcesz dodać drugie? dokąd pojedziesz wśród tej zawieruchy?

— Jadę bezwarunkowo! — odrzekła Ewa stanowczo.

— Ale gdzie i po co? — pytał natarczywie, z niepokojem pan Andrzej.

— Jadę odszukać tego zbója Kökeritza!

— Kökeritza? cóż to za figura? — informował się Łobukow.

— Jest to pruski pułkownik — objaśniał pan Andrzej — który kazał Ewki narzeczonego rozstrzelać.

— Ot! barbarzyńca, kanalia! oni to umieją! da! da! a w Belgji, a we Francji?! i za co?

— Za to, że na strychu jego dworu znaleziono jednego kozaka.

— Ot! germaniec, sukinsyn! — on nie miał prawa!

— Nu, tak ja rozumiem boleść pani — zwrócił się do Ewy z szczerym współczuciem — ale ja pani paszportu nie wyjednam.

— Jeśli ekscelencja odmówi, odbiorę sobie życie!

— Ewko! — ogarnęła ją pani Barbara mocno ramieniem i przycisnęła do piersi, po tysiąc razy całując jej oczy i włosy — co też ty mówisz? miejże litość! o! Boże mój, Ewuś!

— Paszportu nie wyjednam, ale dam pani radę. Za kilak dni — mówię to w największej tajemnicy — może za cztery, może za pięć, my będziemy bić Germanców. Może on nam w ręce wpadnie? a jeśli my go nie dostaniemy, wówczas za zgodą ojca paszport wyjednam — no?

Ewa po namyśle zgodziła się na propozycję Łobukowa, przyszło jej bowiem w tej chwili na myśl, że wobec gotującej się ofensywy Niemców, na znaczonej na dzień następny, front prawdopodobnie przesunie się poza miasto i otworzy możliwość swobodnego ścigania mordercy bez pomocy Ło-

bukowa, który — nie bez przykrości o tem myślała — bodaj, czy za karę nie znajdzie się niebawem kędyś nad Wołgą. Nie upierała się też przy swem żądaniu i dlatego, iż fakt zamierzonej zemsty przedstawiał się jej w tej chwili w całkiem odmiennym świetle, niż w pierwszym momencie, kiedy okrutna wieść gromem w nią uderzyła i później, kiedy żal ustąpił miejsca żądzy zemsty.

— Cóż przez to osiągnę — myślała — jeśli tego nędznika pozbawię życia? Śmiercią tego lotra nie przywrócę niestety życia Kaziowi, a jeśli on nie żyje, czemże jest dla mnie życie? Jaki cel i sens miałaby moja zemsta wobec pustki, która przez jego śmierć otworzyła się w mem życiu? Czy może to mieć jakiegokolwiek dla mnie znaczenie, czy ono tak się ułoży, czy też inaczej? czy osiągnę Kökeritza, czy go zaniecham? Cóż obchodzić mnie mogą moje wszystkie sprawy osobiste, skoro wszystko, co miałam najdroższego, wstąpiło z nim do grobu?!

Niepostrzeżenie wycofała się z rozgwaru jękówków i skarg zebranych, udając się do swego pokoju, by w skupieniu i ciszy przyjrzeć się dziełu zniszczenia, którego dokonał zawistny los, i przypominać bolesną swą mękę i żalić się na dołę okrutną.

Pograżała się w bólu, który, zdało się, zgasi zapał, zmoże energję, zmiażdży wolę i zniszczy myśl, służącą sprawie, a dusza pustką zaświeci, ogarniona falą melancholji i smutku.

W męce rozważała chwilę po chwili, które z Kaziem przeżyła, z każdej dobywając niby z morskiej muszli, złote ziarenka piasku, wszystko, co piękne, co miłe i dobre.

I wstał przed oczyma duszy obraz precudny wszystkiego, co było jej bezmiernie drogie, co serca najpięszczościwszem, kochanem owiała tchnie-

niem, a co minęło, jak sen bezpowrotnie, znacząc się w duszy nieukojoną tęsknotą i niewysłowionym żalem.

I oto — nic smutku snuła — okwitł już kwiat marzeń złoty, łodygę zeschniętą toczy robak śmierci i jad zgnilizny sączy, aż padnie spróchniała i w proch się rozsypie.

[Marzenia ludzkie, jak kwiat, co jednej nocy rozkwitnie, a drugiej zwiędnie! czem jest radość i smutek, czem życie całe? nędzną chwilą, dla której palcem kiwnąć nie warto, marą złudną, jak cały świat.

„Nur ein Irrtum ist das Leben“ (Byron) w srebrne blaski księżyca spowiwa, co światłem łagodnem muskały jej włosy, wonią odurzona budzącej się wiosny, zapchem ziemi i skrzących się kwiatów, co nocną porą rozstuliły kielichy, ożywcza wchłaniając rosę, doczekała świtu.

Nad rankiem przypelzał chyłkiem pod okno Klecki i trzy razy cicho zapukał.

— Kiriłow — przerażony donosił, oglądając się bacznie naokół siebie — aresztował wszystkich przed godziną, uchodźcie czempredzej.

— Aresztował? a wy?

— Wymknąłem się cudem. Na Boga, nie zwlekajcie z ucieczką.

— Spokoju, tylko spokoju...

Nowa sytuacja, stworzona przez Kiriłowa, wymagała rozwagi i trzeźwości sądu, napięcia całej energii.

— Ożycie tu idzie tych wszystkich ludzi! — drgnęła pierwsza myśl, niby pobudka, grana na wieży, poczęła się gra — szła druga, niby echo w górach, co ponad przepaścią płynie swobodnie.

Szły inne długim szeregiem i duszę okrażyły koliskiem prężnym i zwartym, pod którego napo-

rem pękły melancholji łańcuchy, co w duszę głęboko się wżarły.

Ocknęła się Ewa z zadumy, otrząsnęła ze smutku, skupiła myśl.

— Niema chwili do stracenia! — nalegał niecierpliwie Klecki.

— Uspokójcie się! rzecz nie przedstawia się tak tragicznie...

— Jakto? czyż trzeba czegoś więcej? Dwudziestu ludzi aresztowanych, a wy...

— Wczorajem był u mnie Kiriłow i żądał, bym z nim współdziałała na szkodę Rosji.

— On? rzecz nie do wiary!

— Tak było istotnie.

— I czegoż żądał?

— Szczegóły obojętne, dość, że kiedy odrzuciłam jego żądanie, względnie nie dałam mu stanowczej w tej mierze odpowiedzi, postawił alternatywę, że albo spełnię jego żądanie, albo on wszystkich stawi przed sąd polowy.

— Więc wszyscy jesteśmy zgubieni!

— Czekajcież do licha, pozwólcie dokończyć myśli. Sądzę, iż aresztowania dokonał, by mieć zakładników w swem ręku dla dwóch ważnych przyczyn.

— Sądzicie?

— Jestem tego pewną. Pomyślcie, że namawiał mnie do zdrady Rosji — gdyby wiadomość o tem przeciekła, dokąd dojść nie powinna... rozumiecie teraz? Chciał siebie zabezpieczyć, a mnie zaszachować, a równocześnie zmusić do przyjęcia żądań.

— A wy?

— Po namyśle zdecydowałam się...

— I wpadniecie...

— Strach wam chyba rozum opętał i pozbawił zdolności logicznego myślenia... Przecież już wczoraj

raj wieczór dokładnie o wszystkim wiedział, gdyby więc chciał z faktów skorzystać, które ma w ręku, mógłby to był jeszcze wczoraj, a może i tydzień temu uczynić. Nie zastanawia was to, dla czego tego nie uczynił?

— Miał w tem zapewne swoją, nieznaną nam rację.

— Bezsprzecznie miał — wszak ją już wymieniłam.

— Wszystwo to całkiem mi się nie podoba...

— Et! głupstwo, zobaczycie!

A ja wam radzę...

— Uciekać? a dokąd? wszędzie nas dosięgnie, gdy zechce. A gdyby nawet i zginąć przyszło...

— Pamiętajcie o Kaziu!

— Pamiętam... pamiętam...

Ból nagle szarpnął sercem, łązy zaświeciły w oczach.

— Płaczenie? wy? — istotnie płaczenie? czy się co stało?

— Kazio przez Niemców rozstrzelany...

— Czy być może? to straszne! a skądże wieść przyszła?

— Wczoraj wieczorem przyjechała Wielska przez Sztokholm... sześć miesięcy się wlokła, by przywieść wieść, która rozum mąci i Bogu urąga. Odchodzę od zmysłów i nie wiem, czy w tej chwili, kiedy najwięcej skupić się trzeba będzie, nie zalamie się moja energja i czy nie runę w przepaść, nim dzieło dojrzeje.

— O! jakże ciężko Bóg mnie doświadcza! — kochałem go, jak brata! — dodał Klecki przez łązy.

Zapadła chwila ciszy, w której dwa serca ciężkim żalem drgały i dwie myśli płynęły skupione serdecznie ku temu, co odszedł w zaświaty i dwie złączyły się ciche modlitwy za jasną duszę, co podołności nie znała, ni złości.

Pierwsza ocknęła się z żalu Ewa.

— Z tem wszystkim trzeba mi jednak zapomnieć o tem, co boli i myśl zwrócić ku sprawom, które na szali losów zaważą.

— Otóż co do was, kolego, myślę, byście się ukryli, bo cóż? niewiadomo, co nastąpić może! może się w mych przewidywaniach myłę? może wy, podejrzewając Kiryłowa o zdradę, macie słusność? Wedle moich rachub nie spełnią się wasze co do Kiryłowa obawy ale... nie chcąc was narażać, radzę się ukryć do dziś wieczora. Kiedy sprawy ostatecznie się wyjaśnią i o losach naszych rozstrzygną. Ja czekać ich będę tu w domu i śmiało wyjdę na ich spotkanie, śmielej, że dziś... nie mam już nic do stracenia. Idźcie już! za chwilę słońce wzejdzie. Wieczorem po ósmej gdzie mam was szukać?

— W kapliczce przy leśnej drodze... tam najbezpieczniej...

— Dobrze.

— Bywajcie zdrowi... a życia waszego nie lekceważcie — nie do was tylko należy.

Cały dzień nie wychylała się z domu, oczekując ewentualnej wizyty kozaków, nasłanych przez Kiryłowa, choć w możliwość tą właściwie nie wierzyła, zsumowawszy bowiem wszystko, co jej Kiryłow odkrył w kwestji w swych zamierzeń, przyszła powtórnie do przekonania, iż wobec faktów, znanych Kiryłowowi, wszelki podstęp dla udowodnienia jej winy pozbawiony byłby racji. Nie mniej przecież ewentualności wyłonienia się niespodzianek całkiem nie wykluczyła, wiedząc, iż dusza ludzka potrafi z jednego faktu tysiąc wysnuć możliwości i poplątać drogi w splot nieprawdopodobnych kombinacji, czyniąc z czegoś, co proste i jasne rzeczy niewytłumaczone, z niewytłumaczonych — jasne i proste. Dusza ludzka, jak

niezglebiona toń morza, wyrzuca z swego, tajemnicza nieprzejrzana owianego łona, w związku z jednym i tym samym faktem myśli, z których jedna drugiej przeczy, niby do siebie podobne, a przecież różne i wręcz przeciwne, iż zejda się z sobą, by wyłonić trzecią, która nieoczekiwanego czynu łączy sprężyną. I dziwi się wówczas człowiek, iż dokonał czegoś, co jest mu niezanne i obce, o czem nie myślał, i czego nie zamierzał i czyn swój uważa nie za wynik swej woli lecz za rzecz przypadku.

Idąc tokiem tych myśli, nie mogła przewidzieć ostatecznego wyniku kombinacji Kiryłowa i o tyle też przyznawała poniekąd słusność Kleckiemu, zalecającemu ostrożność, choć, rozumiała to dobrze, przestrogi przysły za późno. Cokolwiek miało ją jednak spotkać, na wszystko była przygotowana, choć nie bez przykrości przysłoby jej rozstać się z światem, zanimby dokonała czynów, które walnie przyczynić się miały do pomyślnego rozstrzygnięcia losów ojczyzny. Niewątpliwą bowiem wydawało się rzeczą i w to wierzyła niezłomnie, iż Niemcy, pokonawszy Rosję, sami wkońcu ponieś muszą klęskę i w myśl tych przypuszczeń snuła już plany, przy pomocy których możnatby i Niemcom zgotować pogrom, a w każdym razie wesprzeć to zbożne dzieło skutecznie środkami, jakieby nawinęłyby się w toku wypadków.

Duch jej niezłomnie krzątał się około myśli, która nieprzepartą swą mocą wszystkie inne stłumiła, zerchnęła do znaczenia rupieci i potężne zatoczyła kregi, wszystkie jej czynności, wciągając w orbitę swego działania. Myśl ta niezwalczona służenia ojczyźnie w sposób, na jaki chwila i warunki pozwalają, przyświecała jej całe życie, teraz zaś krzepiła ją w jej osobistej, bezmiernej boleści, dźwigała z upadku na duchu.

Wieczorem punktualnie o oznaczonej godzinie zjawił się Kiryłow.

— Pół do ósmej — rzekł, stojąc w progu.

— Wiem.

— No?

— Żądanie pańskie spełnię.

— Doskonale! — zacierał z radości ręce — pięć milionów w kieszeni.

— Jaki pan podły — obrzuciła go od stóp do głów spojrzeniem najwyższej pogardy.

— Nie szkodzi! — machnął lekceważąco ręką.

— Bezwstydny!

— Och! — uśmiechnął się cynicznie.

— Co mnie to zreszta obchodzi: —

— Słusznie.

— Nie moją rzeczą rozstrząsać pańskie sumienie...

— Sądzę.

— Jednak stawiam warunek.

— Każdy spełnię.

— Że uwięzieni uzyskają wolność.

— Utracili ją tylko dlatego, abym panią miał w ręku...

— Aha! więc teraz?

— Będą wolni — oficerskie słowo!

— Kiedy?

— Jutro rano.

— Jeszcze dziś muszą być wolni, zaraz, natychmiast!

— Będą! — słowo!

— Pańskie słowo! — uśmiechnęła się pogardliwie.

— Pani memu słowu nie wierzy? — oburzył się — Kiryłowa słowo święte! Pani się kiedyś o tem może przekona! — drgała w słowach przytłumionym echem groźba, której Ewa nie wyczu-

ła, zajęta myślą o jak najrychlejszem uwolnieniu aresztowanych.

— Obawiam się, że łatwiej ich było aresztować niż uwolnić.

— Już moja w tem głowa.

— To bardzo dobrze! zatem... dowidzenia, panie... sztabs - kapitanie... zbawco ojczyzny! — zegnała pogardliwie.

— A oto rozkaz... pani pamięta? o dziesiątej rozpocząć, przed jedenastą podać do podpisu. O jedenastej przybędę.

— Zbliży się wielka chwila — myślała po wyjściu Kiryłowa — wybija godzina, kiedy rozpekłą łańcuchy i wstnie świt i rozniesie się słońcem.

— Zbliży się wielka chwila — myślała po wyjściu Kiryłowa — wybija godzina, kiedy rozpekłą niewoli łańcuchy i wstanie świt i rozniesie się blaskiem nigdy newygasłym po całej polskiej ziemi!

— O Boże! spraw — zwróciła oczy błagalne, pełne łez wzruszenia ku kopji witrażu Wyspiańskiego, przedstawiającej Boga - Ojca, zawieszoną an ścianie, by spełniły się wreszcie błagalne prośby mych ojców, co za ojczyznę oddali swe życie. co ginąc, mieli na ustach święte Twe imię i w sercu niczem niezachwianą wiarę w Twą sprawiedliwość i boską moc.

— O Boże! — korzyła się w prośbie i ufności dziecięcej, klękając przed obrazem — złóż święte Twe dłonie na sercu narodu i mocą Twą twórczą wskrzesz w niem nadzieję i łaską twą boską wypisz w niem zwycięstwo.

— Wielki jesteś i nieśmiertelny, Panie! i losy znaczysz ludziom i wszech-rzeczom, iż stać się musi, co Ty każesz, Panie! Więc spojrzuj, Boże na Twe wierne dzieci i w serca patrz im, iż ci są

oddani. Służył ci naród po wsze czasy mężnie i świętą bronil i niósł w ofiarnej dani wszystko, co z łaski Twej hojnie nań spłynęło. Lecz snąc nie było bez winy, skoro w boskich Twych wyrokach wyznaczyłeś mu czas, pokutę i karę i odwróciłeś odeń boskie Twe oblicze, iż w niewoli poznał skutki Twego gniewu. Lecz choć zesłałeś nań wrogów, jarzmo straszliwe i ciężkie, choć dopuściłeś, iż kości poległych za wolność po wszystkich krańcach świata beileją i choć milczałeś, gdy wróg świątynie Twoje bezcześcił, znieważał, naród nie zachwiał się w miłości gorącej ku Tobie i wiernym ci został, pokutę czyniąc i prosząc o łaskę. Wołał różgami wrogów do krwi smagany:

— Któż tedy odłączy nas od Chrystusowej miłości? utrapienie czy ucisk? czyli głód czyli nagość? czyli niebezpieczeństwo, prześladowanie czy niwecz?

— Ale w tem wszystkim przewycięzamy dla tego, który nas umiłował.

„Albowiem pewien jestem, iż ani śmierć, ani żywot, ani aniołowość, ani księstwa ani mocarstwa, ani terażniejsze rzeczy, ani przyszłe ani moc, ani wysokość, ani głębokość ani inne stworzenie nie będzie nas mogło odłączyć od miłości bożej, która jest w Chrystusie Jezusie Panu naszym“.*).

— Więc wejrzyj, wszechmogący Boże na Twe wierne dzieci i łaska je otocz i wróć ku nim nie pocieszonym pojednanie pełne miłosierdzia przez imię Twego syna i matki najświętszej.

Zatopila się w żarliwej modlitwie, która płynęła z głębokiej wiary, odziedziczonej po przodkach. W rozterce życia nietylko niczego z niej

*) List św. Pawła do Rzymian w. IX. 35—39.

nie uroniła, lecz owszem wzmocniła ją rozumowaniem, iż istnieć musi kędyś ktoś — wszechmogący sprawca niepojętych, rozumem nieogarnionych yszechrzeczy, iż tak wszystko to, co ją otacza dla oka widzialne, co zbadać potrafi jak i to, czego nie pojmuje ani nie dociekanie, bezkres przestrzeni i czasu, weirność bz początku i końca, tchnienie duszy w ciało i jej z ciała wynijście, cudowne misteripm odradzania się natury i jej zamieranie, śmierć i poczęcie są dziełem, które zmierza do celu nieznanego człowiekowi i są niezbitem świadectwem istnienia Boga.

Był czas, kiedy popadłszy w zwatpienie, czy prawdą jest, o czem kościół uczy, zwróciła się do filozofji, w niej szukając rozwiązania zagadnień, o które jej chdzilo. Lecz tu natknąwszy się na niepokonalne trudności, które zamiast wnieść światło prawdy w duszę, pchnęły ją w tem większych wątpliwości mroki, grożące zniszczeniem podstaw, na których dotychczasowe życie swe oparła, zarzuciła studja i własną stworzyła sobie filozofję, z której wysnuła stały, własny swój światopogląd, choć oparty na filozofach, stojących na gruncie kościoła katolickiego a zwłaszcza na kartezyńskich za principinni: „cogito, ergo sum“. Przyjąwszy drogą rozumowania, iż jest Bóg wszechmocny, sprawca wszech-rzeczy, ustaliła niczem niezwruszone zasady, które określały jej stosunek do Boga i ludzi i stanowiły podstawę i wytyczną całego jej życia. Nie istniała dla niej możliwość jej naruszenia, jak nie istniało dla niej nic, coby się w nich nie mieściło. Z nich to wysumowały się wszystkie niepospolite zachęty jej charakteru, na czele których stały nieskazitelna uczciwość i prawość niby dwa filary, na których gmach spoczął. I tę surową miarę przykładała i do innych. Stąd takim wstrętem napawała ja

osoba Kirilowa i stąd z taką nieprzewycięzoną pogardą odnosiła się do Lali, z którą bez namysłu zerwała stosunki przyjaźni, przekonawszy się o jej winie. Po drodze życia niczego nie spaczyła, niczego nie uroniła z tchnętych w jej duszę skar-bów, owszem wzbogaciła je i pomnożyła. Dusza była to nawskroś czysta i prawa nieznaną co fyalsz, co obluda i dlatego też z taką trudnością, po ciężkiej dopiero walce przyszło jej pogodzić się z myślą o podejściu Łobukowa, przyczem za-ważyla na szali miłość ojczyzny, dla której, zda-niem jej, każdą ofiarę należy bez zastrzeżeń po-nieść. Niemniej ważnym momentem dla jej ustosunkowania się do ludzi i rzeczy było, niezwykle rzadkie u dziewcząt w jej wieku, poważne pojmo-wanie życia i zadań człowieka. Nie było w niej nic z banalnej i głupiej zalotności, właściwej w du-żej mierze dziewczętom, była natomiast w niej od zarania niemal jakaś niezwykła, jak na młody wiek dziwna powaga, która krępowała i nakazy-wała posłuch i szacunek. Obce jej były wszelkie rozmówki o niczem, niedorzeczne rozrywki to-warzyskiej i zabawy, które uważała za stratę cza-su, wstrętne były dla niej flirty, tkórych prób za-den z młodych nie ważyłby się podjąć. Spotka-wszy na drodze swego życia Kazia, pokochała go całą mocą młodocianego, czystego serca i z nim związała swe losy węzłem, który, twierdziła, jeno śmierć rozwiąże. W tym względzie szła utartą drogą swych protoplastek lecz różniła się od nich wielce na punkcie zapatrywań na rolę kobiety w małżeństwie i w społeczeństwie. Za nic nie zgodziłaby się ograniczyć się w swej roli żony do doglądania kuchni i prowadzenia gospodarstwa, jak to czyniła jej matka, pani Barbara, której mały świątek kończył się na mężu, dzieciach i do-mu, jak nie potrafiłaby być ową wojewodzianką

w „Zaczarowanym kole”, która strojna w jedwa-bie, obnoszona w lektyce, była pasorzytem lub tą Katarzyną Putynina, jasną naiwną domowego ochwu, która do Franciszka Karpińskiego pisała (1756): „Że kiedyś przezwana przez pana piecze-nią cielecą, wtedy jeszcze niedopieczona, teraz już na lepszą pieczeń wyglądam i za pozwoleniem mojej mamy przesyłam tu panu najniższe ukło-ny”. Ewa była naturą energiczną, przedsiębior-czą, wymagającą rozległego pola działania, na któ-rem skutecznie próbowała swych prężnych, nie-spożytych sił. Była mądrą i świadomą swych przeznaczeń kobietą, której rozumiejąc całą do-niosłość roli kobiety w życiu rodzinnem i społecz-nem, przygotowała się do niej z całą sumiennością. Nie obce jej były poza literaturą i historją, które namiętnie studjowała, i inne dziedziny wiedzy, uważała bowiem, iż kobieta, jeśli chce być towa-rzyszem męża lub samodzielnym pracownikiem a nadewszystko matką, musi być mądrą.

— Głupich kobiet — twierdziła — mamy nie-stety aż nadto, temi możemy zapełnić muzea lub kabarety, naród potrzebuje kobiet mądrych.

Z wyczerpaniem też pracowała nad sobą zwłasz-cza w ciągu studjów uniwersyteckich, wśród któ-rych żyła odosobniona odrębnem, swem własnem życiem, interpelowana niejednokrotnie, dlaczego od koleżanek i kolegów stroni, odpowiadała: — Nie stronię lecz nie mam czasu.

— A cóż robicie — pytano.

— Uczę się — odpowiadała krótko.

Śmiano się z niej do rozpuku zwłaszcza te lekkomyślne, płocze a głupie dziewczęta, którym się zawsze jeszcze śnia baje o królewiczu, co złotą przed dom zajeżdża karocą, pojmie za żonę i powiedzie niefrasobliwą przez życie niby przez zaczarowany ogród, pełen wonnych kwiatów.

Ewa zbywała śmiech pogardliwym milczeniem, unikając w przyszłości spotkania z dziewczętami, z których dusz zionęły pustka i przeraźliwa nędza.

— Ni krzty tam niema — bolała — szlachetniejszych uczuć, ani strzępa cnoty, bez których świat musi zginąć.

— Świat? — z przerażeniem myślała — świat da sobie radę lecz polski naród? przez kogo odrodzi się nieszczęsny, czy przez te głupie, półnagie, bezwstydne lalki? kobiet! kobiet! kobiet trzeba! któreby rozumiały, iż celem życia nie jego użycie lecz dobro i piękno, ku którym wspólnym z innymi wysiłkiem dążyć należy dla dobra i szczęścia wszystkich.

— Lecz praw-że tu takiej geśi — rozpacziała o szczęściu drugich, skoro jej tylko w głowie piękne buczki, jedwabne pończuszki, dancin...

— Cośby taka obrzydliwa, wstrętna Lala! — zaciskała z gniewu pięści — ileż takich Lal przewinie się przez życie? ileż szkody przyniosą? ileż wyrw poczynią, spustoszeń spowodują?

Z drżeniem i lękiem myślała o przyszłości narodu, którego losy spoczną na barkach pokolenia, wychowanego przez takie matki jak Lala.

Te same myśli naszły ją teraz w tej chwili, kiedy klękł przed obrazem Pana, prosząc go o miłosierdzie i o łaskę.

Przestała się modlić, tchnięta nagle myślą, czy Bóg zechce wysłuchać jej modlitw i czy dość jest godną, by je zanosić. Przebiegła z trwogą całe swoje życie, by znaleźć w niem jakąkolwiek swą winę.

— Czy jest coś w mem życiu, co mogłoby gniew ściągnąć Boga? Bo śmierć Kazia zda mi się być karą, a gdzie jest kara, tam musi być i wina.

Drżała cała i wila się w męce.

— A czy ten naród zasłużył już pokutę na łaskę? bo niedość to jeszcze — męstwo i niedość — wiara, gdy brak uczynków i miłości bliźnich! czy czynił pokutę, iżby z serca wszelkie zło wypłenił, iżby posiadał cnotę? czy większa jest już wiara pokuty niż winy? czy kocha wszystko, co piękne, co czyste, szlachetne, czy brzydzi się i gardzi wszystkim, co brudne, niskie i podłe? czy Bóg może wysłuchać prośb jego, jeśli tylko usta szepcą a serce mileży?

Przeszła w myśli zastępy znajomych, w każdym z duszę się wdarła, szukała w niej piękna i prawdy, w sercu gorącej, uczynkami stwierdzonej wiary. Dokonała przeglądu jak wódz przed walną rozprawą i... plew znalazła w duszach nad wiara.

— Wiec Bóg w dalszym ciągu musi ranić gromem i smagać biczem niewoli?

— O! narodzie wielki a jednak nikczemny! — wybuchła bezgraniczną rozpaczą — czyż zechcesz po wiek wieków ściągać na się karę? czyż niedość ci jeszcze tych łez i tej krwi za wolność próżno przelanej i niedość dzieci, które zesłał w Sybir wróg, które zbawił życia? czyż niedość ofiar, klęsk, iż nie zawracasz z drogi? ku czemu więc dążysz i czego chcesz? czy szukasz sam zagłady?

— O! wracaj z dróg — szedł z piersi jęk — co wiodą na zagładę! pokutą czyn i w serce tchnij miłości bliźnich znamię i duszę pluć i ziarno siej, co piękne i co prawe i moce krzesz, zahartuj w stal, potężne, niezwalzone!

— Lecz znaczna przecież większość — odkryła z radością — zacna, dobra, zdrowa.

Doznała ulgi.

— Więc, panie, wedle słów twoich: jeśli znajde dziesięciu sprawiedliwych...

Rosła nadzieja, wznagała się radość, stając ra zwycięskich zapasów z rozpaczą.

— O! z pewnością — rozprawiała się głośno z Panem — Ty, wszech-widzacy Panie, dojrzysz te liczne zastępy, co ci służą wiernie, pokutę czynią i uczynkami stwierdzają poprawę. Oto mój ojciec, matka, pan Tomasz i wielu, wielu innych...

Włada pocieszona, radosna, spokojna. Rozstały się mroki, zaległa w duszy jasność, płynąca z przeświadczenia, iż naród w olbrzymiej swej większości godzien łaski Pana.

— Pójdą czyny szlachetnych i dobrych i porwą tych, tkórzy jeszcze nie dostąpili nawrócenia łaski, iż serca ich żywiej zabijają, rozpalone żarem miłości ojczyzny i bliźnich, iż śpieszyć będą z daną, by niesytych nakarmić i ułomnym służyć, by piers iza kraj nastawić, wroga wypędzić i nowe, wielkie rozaplić ognisko, przy którym ogrzeje się każdy, i gmach wznieść wspaniałą na zrębach wysokich, pozatem nieogarnionych ni żadną kłeską, a zaś w tym pałacu, co blaskiem wolności rozbłyśnie na mile, dojrzysz wszystkich braci, bogatych i biednych, biesaidujących pospołu przy wspólnym, jednym, wielkim stole, kędy z rąk do rąk wkoło pójdą chleb i wino po znojnjej, i zbożnej i cichej pracy. A gdy wieczorem słońce stoczy się purpurą a jasne promienie, dnia drogą znużone, spoczną u nóg Pana, gdy rozkołyszą się dzwony po polskiej ziemi na wieczorne pacierze, pochylą się karnie głowy i zegną kolana i, z serc popłynie do stóp Pana stokrotne dziękczynienie.

Stary zegar wydzwonił dziewiątą — przypomniał, iż nadszedł czas czynu.

Ogarnęła się w mgnieniu oka i jednym stanowczym ruchem wychynęła z krain marzeń, porzuciła dociekania, skargi, i żale, i myśli skupiała na dziele, które czekało spełnienia.

— Zapomniałam o Kleckim — rozważała zimno, spokojnie — czeka zapewne w kapliczce, — straciłam kontakt z chłopcami, nie wiem, czy wolni — lecz trudno, teraz nie czas o nich myśleć — choćby wreszcie i magazyny nie wyleciały w powietrze, w tej chwili rzecz to obojętna, główna sprawa to Łobukow.

Jakby w odpowiedzi na jej obawy co do losu sprzysiężonych zjawił się jeden z nich, wieść radosną o uwolnieniu przynosząc.

— Śpieszcie — wydawała mu ostatnie dyspozycje — do kapliczki, tam znajdziecie Kleckiego, uwiadomcie go o wypuszczeniu na wolność aresztowanych i polecenie mu w moim imieniu o 11 i pół zająć wyzuczone stanowiska. Punkt dwunasta — wiecie? — skinęła porozumiewawczo.

— A teraz w drogę przez łąki miejskie w las na prawo.

Zakrzętnęła się zaraz około przygotowania przekąsek i wódki, poczem pobiegła ku pokojom Łobukowa. Lecz po drodze przyszło jej na myśl iż praktyczniejszą i rozsądniejszą będzie rzeczą uraczyć go w jego pokojach. Zapukała do drzwi.

— Nu? a kto tam?

— Ewa!

— Uuu! dalibóg miła niespodzianka!..

Stanął we drzwiach uśmiechnięty, uprzejmy, szczerze uradowany jej miłym widokiem.

— A cóż pani powie, panno Ewo?

— Excelencja ciągle pracuje...

— Nu? cóż robić? trzeba...

— Chwila wypoczynku i przerwy nie zawadzi chyba?

— Z panną Ewą? mój Boże! szedłby całe życie — sięgnął ustami do jej białych rąk.

— Przygotowałam, jeśli excelencja pozwoli, doskonałą wódeczkę...

— Wódeczka? rzecz dobra... niczem, co smakuje, nie gardzę.

— Zaraz przyniosę.

Pobiegła co prędzej do swego pokoju — wróciwszy, przekreśliła niepostrzeżenie klucz w zamku.

— I przekąska nawet? ho! dobra rzecz! — zacierał ręce. Lubię tak, zasiadłszy przy kieliszku w miłym towarzystwie, o wszystkim zapomnieć.

— Specjalnie dla excelencji przekąseczke przyrządziłam.

— Aa... aa! Smakołyki! Gdyby nie pani, panno Ewo, przyszloby w tej zapadłej mieścinie zwarjować — tak miesiącami siedzieć i słuchać tej pukaniny — wszystko mi to już obrzydło! Pani, panno Ewo, utrzymuje mnie przy życiu.

— Excelencja bardzo łaskaw!

— Cóż, nie kryję się z tem, że lubię piękne kobiety, a pani jest bardzo piękna!

Pokręcił węża i lypnął zalotnie okiem.

— Gdybym ja nie był tak stary...

— Stary? excelencja nie wygląda na więcej jak na czterdzieści lat.

— Po pięćdziesiątce niestety, piękna panno Ewo...

— Niktby nie przypuszczał! Kiedy powiadomiono nas, że wille naszą zarekwirowano dla generała, byłam bardzo zła.

— O! oo!.. he! he! he!

— Myślałam: pewnie jakiś nieznośny, stary grzyb, gdy tymczasem, kiedy excelencja wszedł...

— No — no?

— Taki rzeźki, rumiany, krzepkim krokiem kiedy excelencja złożył ukłon z niesłychanie wyszukaną gracją...

— Och!.. och!.. och!..

— Byłam wprost oczarowana... Stał się excelencja przede mną jak rycerz z bajki...

— Co zapragnął królewicz...

— Excelencja pozwoli zapewne tej mocniejszej wódeczki...

— Rozumie się — jak już pić to mocną, co w głowie jak dziewczyna zamaci...

— Nalewka — pierwsza klasa! ostatnią butelkę schowałam dla excelencji...

— Widocznie amatorów nie brak...

— O! nasze chłopczyśka tego gola...

— Zuchy, chłopaki! umieścę ich w gwardji, skoro dorosną.

— Będzie to dla nas, wielkim szczęściem, jeśli excelencja będzie łaskaw słówko za niemi przemówić.

Trącili się kieliszkami, wychylili duszkiem.

— Co to słówka! poprę ich całą potęgą mego wpływu! pani wie? co to generał Łobnkow, excelencja? komendant dwóch frontowych dywizji? ze mną sam car się liczył!

— O tak!

— Co? pani myśli, że ja mówię nieprawdę? zachnął się urażony.

— Ależ excelencjo!...

— Nu, proszę zapytać pierwszego lepszego żołdata, co to Łobukow, generał, excelencja! jak ja bym się zbuntował!..

— O! coś mi się pleciel + zreflektował się — wy, panno Ewo, nic nie słyszeli? głowa trochę boli — dziś rano pohulało się nieco w kasynie... — klin klinem, exscelencjo!

Napełniła kieliszki — trąciła się z wdzięczną gracją, z wabiącym uśmiechem na ustach.

— Jeszcze po jednym! — nalegała, powtórnie napełniwszy kieliszki.

— Dziś nie mogę! — wymawiał się.

— Za moje zdrowie exscelencja się waha?

— Za pani zdrowie? za pani zdrowie choćby i beczkę wypić, choćbym miał moje dwie dywizje tracić...

Wypili do dna.

— Nu, ale wy, panno Ewo, jakąś inną pijecie gorzalkę? ha?

— Słodką dla dam... — Była to woda zabarwiona na różowo.

— Aha! tak dawaj, lubię słodka...

— A może jeszcze po jednym?

— Jej Buhu nie mogę — teraz trzeba mieć jasno w głowie, jakby sto lamp zapalił — Germańcy za kilka dni ofensywę zaczną — ja już miał wiadomość...

— Za kilka dni?

— E! chcą przełamać linję — a ja mam dwie dywizje... dwie szturmowe dywizje, pani rozumie? to siła ludzi! odemnie wiele zależy...

— Wypijmy tedy na pomyślność, exscelencjo!

— A to się godzi! wdzięcznem sercem przyjmuję dobre słowo pani. Alle tak teraz to chyba już większym?

Rozgrzał się, wziął rozmach i kropnął spory kielich.

— Exscelencja pozwoli przekąskę z łososiem czy kawiozem? cybulkę sama pokrajałam...

— Kochane paluszki, takie maleńkie!

Przypiał się do jej rąk pięściowych i z miłością wchłaniał odurzającą woń jej skóry.

— Cebulkę krajały! — wybuchnął rozczulającym do łez uniesieniem, właściwem pijakom.

— Dla exscelencji!

— Ach! jak to pięknie, panno Ewo! ja coraz więcej jestem w pani zakochany!

— Czort jego! żeby ja tak był o 20 lat młodszy... uch! — kurczył namiętnie palce, związał się

i przeżył, pochylał i cofał i wzrokiem pożerał jej wdzięki.

— Napijmy się, panno Ewo! niech frasunek minie — nie lubię się smucić! Ot lubię, jak się dusza raduje a dziewczyna na kolanie jak ptaszek na gałązce siedzi... Przysunął się ku niej, ramieniem sięgał, chcąc ją ogarnąć...

— Ja tak pania...

— Exscelencjo! — poskramiała go tonem oburzenia i surowym wzrokiem.

— Nu! niechże się pani na Łobukowa zaraz tak nie gniewa — Łobukow tego strasznie nie lubi — groził i pieniał się z gniewu alkoholem odurzony — a jak Łobukow czego nie lubi... Krzyknął i grzmotnął pięścią w stół, aż kieliszki zadźwięczały.

— To kąsa! ja... was... nie cierpię — wy, do brzy ludzie, ale ja was jako naród nienawidzę!

— Aa! — myślała Ewa, niepomiernie odkryciem Łobukowa zdumiona i zaskoczona — wyszło szydło z worka, tem lepiej, skrupuły moje zbyteczne, wychynał wróg, wypełzła żmija — stwierdzała z zadowoleniem — a ja, naiwna, staczałam z sobą walki!

Parskała w głębi duszy śmiechem choć na zewnątrz zachowywała wszelkie pozory obojętności, nasłuchując pilnie wynurzeń zajadłego wroga.

— Oto mam przed sobą nieprzejednaną w nienawiści Rosję — myślała — czyż ludzić się może ktoś dłużej i wahać, co czynić?

— Ale ja wam jeszcze zajrzę w oczy! — ryczał pół pijany, slaniając się po kanapie — ot co! ja was pod mur postawię...

Wymachiwał rękami, pięściami groził, pieniał się i zrywał.

— Wam Polska świta w głowie! Głupi! Wy nie wiecie, że car manifest do was wydał, aby

wam pochlebić, wygrać przeciw Prusom, ale w głębi duszy, to on was tak nienawidzi, jak ja. On o was tyle dba, co ja o kapitańskie szlify.

— Niebezpieczniejszy taki łotr — myślała ze wzburzeniem Ewa — niż wszyscy inni. Układny, grzeczny, słodki, gad jadowity. Zdusić go, nożem pchnąć, — dygotała szczękami z pasji.

— Podłym byłby naród, excelencjo rzekła tonem oschłym, surowym — który nie pragnąłby odzyskać utraconej wolności. Excelencja, człowiek światły, sam gorący. patryjota, nie powinien się temu dziwić.

— Nu, tak to prawda! — zmitygował się zmrożony jej wyniosłym zimnym wzrokiem — pani pięknie mówi. Ja wam nie biorę za złe — układnie się uśmiechał.

— A przed chwilą pałał excelencja taką nienawiścią... uderzyła w ton nieledwie pogardy.

Da, da! czego się nieraz nie mówi! ale to tylko słowa, wy im, panno, Ewo nie wierzcie, ja wasz wielki przyjaciel...

— To łotr przewrotny!

— Ja wam sam dopomogę, ja, Łobukow, generał, excelencja!...

— Excelencja łaskaw — przerwała z ironją.

— Tak stanę przed carem...

Dźwignął się ciężko i kiwał wstecz i naprzód, kieliszek dzierżąc w dłoni.

— I do ucha mu szepnę: Palaki, to pocziwy naród! a tak ty mi teraz...

Podsunał się ku Ewie chwiejnym, niepewnym krokiem — daj za to całuska! — nachylił się ku niej tak blisko, iż ohydny oddech jego, zatruty wonią wódki, czuła na swej twarzy.

Cała mocą woli panowała nad sobą, by ciężką figurą z brązu, stojącą na stole, nie grzmotnąć go

w łeb lecz zimna rozważa wzięła górę nad rozpetaną do ostatnich granic nienawiścią i wstretem.

— Za twoje zdrowie, lubeńka! — wychylił kieliszek i cisnął nim o ziemię, aż rozprysnął w drobne kawałki — droga moja pani, królowo pieściwa!

Sytuacja stawała się dla Ewy coraz więcej przykrą i niebezpieczną. Wyczuwała w tem zwierzu rosnącą, dziką, nieokiełzaną żądzą, zdolną pchnąć go do najgwałtowniejszych, nieobliczalnych czynów. Miała się więc na ostrożności, nie spuszczała go z oka, jedną przedewszystkiem myślała poza obawą o siebie samą przejęta, aby nie wymknął jej się z saka.

— Musi łotr podpisać rozkaz — myślała — i to ha! ha! ha! na swoją własną zgubę.

— Pijmy, excelencjo! niech świat się wali — wpadła pozornie w szalony humor — nie Rosja nam matuszką, a wódka! Zdrowie generała!

— Ty boska dziewczko! — zwałił się kanapę jak kłoda lecz po chwili z trudem się dźwignął, wyprostował, wyprężył przez moment jak struna, zbierając całą przytomność.

— Ty mi się podobasz, bardzo podobasz, lecz Łobukow nie zwykł brać siłą, Łobukow z damami zawsze po rycersku! Tak, ja generał Łobukow, excelencja, komendant dwóch frontowych dywizji ciebie, lubeńka, o rączkę proszę. Ty wiesz? ja, Łobukow, mocny jak lew, jak sam Mikołaj Mikołajewicz — wzdrygnął się i trwożnie po pokoju rozejrzał — straszny człek! — a ja mu i tak do oczu skoczę — czort jego! on mnie groził? padlec! mnie plwał?

— Wielki książe się ważył?

— Nu, już on mi za to odpowie! ja jego zdławie, zduszę!...

Porwał flaszkę, do ust chciwie przycisnął i sączył bez miary.

— Ja z japońskiej wojny generał, co Port Artur zdobywał... durak! niedruga! on mnie...

— Jej Bohu! słodki trunek, do głowy idź!

Słodki! — wy macie tako usteczka śliczne, słodkie... ja was bardzo za to lubię... wy, krasna... wy dla mnie więcej niż car, niż Bóg! ja wam cara do nóg rzucę i Polskę zbawię! Da, da!

Przyszedł już w stadjum zupełnej nieprzytomności.

— Wy będziecie polską królową, a Łobukow będzie wam kłaniał się w pas...

— W głowie mroczy — wielki książę — Łobukow feldmarszałek...

Ewa uznawszy, iż nadeszła już pora podsunęcia mu rozkazu, wzięła kartkę papieru, wręczona jej przez Kiryłowa, przedtem jeszcze jednak postanowiła dla bezpieczeństwa i pewności uczynić próbę, która byłaby miarą jego nieprzytomności.

— Jaki piękny dziś dzień mamy, słoneczny, ciepły — nieprawdaż, generale?

— A właśnie!

— Podejźmy do okna...

Ujęła go pod ramię i wiodła slaniającego się ku oknu.

— Śnieg biały skrzy się i lśni... excelencja widzi?

— Widzę... e... bielusięki...

— Czas już! — szepnęła przez ścięte nieubłaganą zawziętością usta.

— Excelencja ma jeszcze coś podpisać...

Podwiodła go do stołu, rozłożyła pismo, wcisnęła mu pióro do ręki.

— Pisać? co pisać? bumażku? — ja zapomniał pisać...

— Rozkaz do ataku! — krzyknęła mu nad uchem, wybuchając cichym śmiechem szyderczym, w którym drgały radość i nienawiść pospołu.

Nu, da! do ataku! niech będzie do ataku — mnie wsió równo — wsió! — wielki książę naplwał!

Machnął podpis i runął na kanapę — za chwilę crapał.

— Mam w rękę dokument — płonąła cała nienawiścią — za który szanowny car batiuszka dałby worki złota!

Potrząsała z uczuciem satysfakcji świstkiem papieru, pozornie nic nie znaczącym.

— Ten świstek zadecyduje może o losach Rosji, a w każdym razie... ha! ha! ha! panie generale, przyjacielu serdeczny Polaków, o twojej klęsce, w którą cię pchnę, przekłety wrogu, bez skrupułu.

Przekreśliła cicho klucz w zamku, wymknęła się chyłkiem do swego pokoju radosna, syta triumfu i pewna zwycięstwa.

Niebawem wpadł Kiryłow.

— Jest pismo?

— Owszem.

Skwapliwie je pochwycił, przebiegł szybko oczyma, i dłoń wyciągnął ku Ewie, dzięki składając, w odpowiedzi na co Ewa odwróciła się od niego z pogardą.

— Pani gardzi? Nu — tak! Kiryłow mała figura! lecz choć on mała figura, potrafi czasem wymyśleć coś bardzo niezwykłego! Spróbuję — groził — może się teraz uda. Jato pani może jeszcze pokaże, co Kiryłow potrafi — on takie umie czasem sztuki — pinił się z wściekłości — o jakie nigdyby go pani nie posądzała. Nu, tak teraz na-

razie — podkreślił z szczególnym naciskiem — dowidzenia. Zobaczmy się może niebawem.

Szybko wybiegł, trzasnąwszy za sobą mocno drzwiami.

*

*

*

Punktualnie o pół dwunastej w nocy otworzyli Niemcy na całej linii ogień z pięciu tysięcy dział. Artylerja rosyjska odpowiedziała zrazu energicznie, lecz wkrótce w większej swej części zamilkła, trafiona celnymi strzałami wroga, który, dokładnie obznajomiony na podstawie relacji spieskowych z rozmieszczeniem dział, bez trudności rozbijał nieprzyjacielską artylerję i stopniowo zmuszał ją do milczenia. Rosjanie zaskoczeni precyzyjną trafnością pocisków niemieckich, roztrzaskujących na miazgę najcięższe ich działa, zmuszeni byli zmienić linię operacyjną swej artylerji, której naprędce wyznaczyl nowa stanowiska, co pociągnęło za sobą złowróźbny chaos i zamieszanie. Zachodzili w głowę, jakim sposobem Niemcy zdołali tak szybko odkryć doskonale maskowane pozycje, których poprzednio całkiem nie tykali, jakby zgola o nich nie wiedzieli, co oczywiście czynili rozmyślnie, chcąc przecwnika wprowadzić w błąd i utrzymać go w przekonaniu, iż, świetne pozycje rosyjskiej artylerji mimo wielu prób ognia huraganowego nie zostały odkryte. Nagle, dorywcze przesunięcie linii operacyjnej artylerji, ustawione pod ogniem nieprzyjacielskim na chybił - trafił, pociągało za sobą gruntowne przekształcenie frontu i częściowe przegrupowanie formacji piechty i kulomiotów, do których dostępu broń miała artylerja, ostrzeliwując przedpole, zamknięte drutami kolczastymi, jak i przygotować dla nich teren do ataku. Wobec

nowego rozlokowania artylerji ulec musiał cały plan strategiczny, wypracowany w ciągu zimy, czego następstwem było przejście inicjatywy z rąk rosyjskich w niemieckie, co sprzeciwiało się pierwotnym założeniom rosyjskiego sztabu, pragnącego na odcinku Łobukowa utrzymać inicjatywę w swem ręku i odrazu wstępnym bojem przejść do ofenzywy przy zachowaniu na innych odcinkach defenzywy. Lecz jeszcze inny był moment, który budził w rosyjskim sztabie poważny niepokój, a mianowicie ten, iż Niemcy górowali nad przeciwnikiem nieprawdopodobną wprost potęgą liczebną artylerji. Na domiar złego, gdy w najmniejbezpieczniejszej chwili kierownictwo armii wymagało silnej i pewnej ręki, Łobukow, naczelny komendant odcinka leżał, jak twierdził Kiryłow w sztabie, chwilowo chory, wobec czego zastąpić go miał najstarszy z pośród generałów, zażywający jako wódz wśród oficerów nieszczerkólnej sławy. Kiryłow ubolewał nad tem lecz twierdził, że jest to zgodne z życzeniem Łobukowa, który niebawem powróci do zdrowia i obejmie komendę. Przed domem postawił straż, nakazując surowo pod żadnym pozorem nikogo nie dopuszczać do Łobukowa, przy którym sam czuwał, rzekomo czyniąc przy pomocy lekarzy zabiegi przywrócenia wodza do zdrowia. Fakt objęcia naczelnej komendy przez niefortunnego wodza, o którym twierdzono nie bez racji, iż każdą bitwę przegrywa, podziałal na podkomendnych w sposób deprymujący. Nastrój udzielił się szybko żołnierzom. Nikt nie wierzył w zwycięstwo, każdy myślał o ucieczce zwłaszcza, że artylerja niemiecka szczyła huraganowym a celnym ogniem przerażającą spustoszenia. Każda pięćdziesiątka niemal obmacała dokładnie i zryła, niszcząc wszystko bez śladu. Rzec można, iż nie ostał się przed nią

ieden cały kamień. Zniszczyła zasieki z drutem, przecinane pod jej osłoną przez specjalne kompanie szturmowe, zburzyła betonowe rowy, w których kryła się rosyjska piechota, nie wsparta rezerwami dla braku dostępu. Kilkakrotnie próbowano rzucić liczniejsze rezerwy lecz żywa dusza nie zdołała się przez morze ognia przedrzeć — wracały zdziesiątkowane, zdemoralizowane, o ile artylerja niemiecka nie zamknęła im odwrotu. W dodatku coraz gęstsze pociski pezęły padać na tyły, kędy nagromadzono znaczne oddziały wojsk i zmagazynowano amunicję. Niebawem jeden z pawilonów, pełny amunicji wyleciał w powietrze, siejąc szvbkó wzmagające się, ogólne przerażenie. Wybuch był tak wstrząsający i gwałtowny, iż opuszczone domostwa, leżące w pobliżu, zniknęły bez śladu, grzebiąc w rumowisku stojące tam liczne stráže i kilku spiskowych, którzy właśnie wedle planu Ewy skradali się pod magazyn celem wysadzenia go w powietrze. W całym mieście, przerażeniem straszliwym hukiem, wypadli w oknach szyby. Ludzie, napróżno szukając schronienia, wybiegali na ulicę, na której srożył się zamęt. Ten i ów, ratując swe życie, padł, ugodzony rosyjską kulą z ręki zdenerwowanego żołnierza.

— Koniec świata! — biadał przerażony pan Andrzej — co te biedaki, ci nasi ludzie teraz poczną?

— Uciekać chyba... radziła pani Barbara.

— Uciekajże, skoro wszystkie drogi zawalono wojskiem, że palca nie wetka...

— Więc cóż będzie? Boże! mój Boże!... cóż to za okropna noc... zawodziła pani Barbara.

— A dajże do djabła pokój z tymi lamentami — wybuchnął pan Andrzej — z temi babami to prawdziwe skaranie boskie! ani myśli skupić,

ani co radzić, bo ci lamentami każda myśl wystraszy...

— To moskale przegrają? — rzuciła pani Wiejska.
przegrają, przegrają — przedrzeźniał — niech ich djabeł...

— Trzebaby jednak może przecież coś radzić? — zabrał głos pan Tomasz, który na widok niebezpieczeństwa, grożącego mieszkańcom, przestał myśleć o swym osobistym bólu i żwawo począł się krzątać około ratunku nieszczęśliwych, ze strachu na pół obłąkanvch mieszkańców, którzy, nie wiedząc, co począć, wypadali z domów, by za chwilę do nich wrócić i znowu wybiec, by wreszcie zginąć pod kołami przeciągających wozów lub paść od kuli.

— Na tobie, jako na burmistrzu — twierdził pan Tomasz — spoczywa obowiązek...

— No, dobrze, mój Tomku! ale cóż ja mam czynić? no, radź przecież! zebrać ich wszystkich i wwieść, jak Mojżesz żydów, czy jak? no i dokąd? Dalibóg, czyste szaleństwo mię się czepia — djabli, psiakrew, z tą wojną — a niech to jasne pioruny...

— Gdzie Ewka? ona czasem miewa niezłe pomysły — niech co radzi, bo ja chyba zwarjuję...

Biegał po pokoju, bezradny od okna do okna, miotał się i szalał zrozpaczony.

— A pytałem tego starego idjotę, tego Łobukowa, czy nie należałoby o mieszkańcach pomyśleć, to mi oświadczył, pała, że my, rosyjskie wojska — ho! ho! ho!... — panu tego ho! ho! ho! — Niemcom sprawimy lanie...

— Może to i być ale co mieszkańcy ucierpią...

— Co może być? wałą w nich Niemcy jak w beben.

— Bractwo tylko czeka, żeby dać drapaką...

Po ogniu huragannym nastąpił kwałtowny atak niemieckiej piechoty. rzucili się z furją Bawarczyw z nożami w rękach i siekli bez pamięci. Szli jak burza z rozmachem rozpiętanego żywiołu, nie znając granic. Napierali coraz potężniej, niosąc straszliwą, niczem niepowstrzymaną zagładę. Nie znali pardonu, nie brali jeńca, kto nie padł od ręcznego granatu lub bagnetu, zwinął się pod ciężem szerokiego naża.

Cały odcinek poczał się chwiać, kołysać, gdy w tej chwili nadbiegł do sztabu na spienionym koniu Kiryłow z rozkazem.

— Aa! — witano go z radością i ulgą — excelencja już zdrowy? nu, chwała Bogu...

— Miewa się już lepiej — oto rozkaz.

Zdumieni ogarnęło obecnych po przeczytaniu rozkazu.

— Excelencja — objaśnił Kiryłow spokojnie — skoncentruje swoje dwie dywizje za rzeką i tam stawić zamierza opór.

— Jakże to? — wyrażał wątpliwości dowodzący zastępcą — generał — wiec się cofa? bez potrzeby?

— Excelencja uznał ten sposób za najwłaściwszy na podstawie raportu pana generała, który przed chwilą telefonicznie odebrałem i excelencji przedstawiłem. Excelencja nie pozwolił mi nawet telefonować z obawy, by Niemcy nie zwiędzieli się o nowym jego planie lecz kazał mi dostać konia i samemu panu generałowi wręczyć ten rozkaz — rozkaz na rękę — podkreślił z naciskiem.

Generał kręcił głową, chwilę się zastanawiał, zasięgał zdania wyższych sztabowców, wreszcie plan zaaprobował i wydał odpowiednie telefoniczne rozkazy.

— Na excelencji odpowiedzialność — zwrócił się do Kiryłowa — zarządziłem, co rozkazał.

— Śpieszę zameldować — odrzekł Kiryłow — spodziewam się, że zastanę go już zdrowym.

Wypadł co prędzej z kwatery, by rzekomo pospieszyć do Łobukowa, w istocie błąkał się bez celu, zastanawiając się, co dalej począć. W zasadzie miał już dawno plan ułożony, wedle którego miał ukryć się w miasteczku do chwili zajęcia go przez Niemców, by pod ich opieką zażywać spokojnie zasłużonego rzetelnie grosza. Uważał, iż byłoby to najłatwiejsze wyjście z dosyć trudnej sytuacji, która w razie pozostania w granicach państwa rosyjskiego mogłaby się skomplikować. Wiedział, wprawdzie, że za fakt pogromu armii rosyjskiej będzie odpowiadał w pierwszym rzędzie Łobukow lecz nie wątpił, że nie mniej i on stanie przed wojennym sądem jako współwinny, względnie główny winowajca. Ta ewentualność bynajmniej mu się nie uśmiechała zwłaszcza, że znalazł się w posiadaniu sporej gotówki, która zapewnić mu miała życie pełne pożądaných przez niego rozkoszy. Był jeszcze jeden wzgląd, który mieszał mu szyki i nie pozwalał zdecydować się na ucieczkę do Niemiec: Chodziło mu o Ewę. Ewa, piękna, bujna, zdrowa dziewczyna pociągała go, działała na jego zmysły, które opanowane ze względu na osobę Łobukowa i jego przyjazny stosunek do domu pana Andrzeja, teraz tem silniej wybuchały i parły do posiadania Ewy za wszelką cenę. Bawił się tą myślą rozkoszną i marzył skrycie o tej chwili, kiedy ta dumna Ewa, smagana nahałem, stanie się łupem jego żądź i żebrać będzie o łaskę.

— To różowe, pachnące jej ciało — zaczynał

do krwi wargi — osiąść, nasycić się a potem...
kopnąć...

Śmiał się szatańsko.

— Ta dumna Laszka u nóg wić się będzie...
a ja rozkosz z jej ust wypiję...

Wzdrygnął się palącym, rozkosznym dreszczem.

— Choćby mnie kula czekała — powziął decyzję — muszę ją mieć.

Przyszło mu na myśl, iż w tym chaosie, który powstanie wskutek niechybnego katastrofального załamania się frontu, co niewątpliwie pociągnie za sobą wybuch rewolucji, mógłby się bardzo dobrze ukryć w Rosji.

— Któż tam będzie badał, dociekał? — myślał — wreszcie fala rewolucji zapewne i mnie wyniesie — kto mnie śmie wówczas pytać?

Lecz rychło się spostrzegł, iż porusza się w sferze przypuszczeń, niczem nieopartych.

— Rewolucja może być — wówczas wygrałem — lecz jeśli jej nie będzie? nu, kto tę rewolucję zrobi? żołnierz, czy chłop, czy też podły inteligent? może nie być!

— Choć Rosja, to przecież kraj zamachów i rewolucji. Stała mocno w 19 wieku — kiedy inne państwa waliły się i drżały trony, ona nie drgnęła, ale w 20 jest już gorzej — już trzeszczy jak stary czerep..

— A zresztą — zakonkludował — co długo dumać? Pieniądze są, dziewczka jest, to i szczęście się znajdzie! Nu, Ewuńciu moja, tak ja ciebie przygarne do piersi mocno i wezmę całą rozkosz, a potem... won!

Zabłąkał kędys, nie mogąc się zorientować, gdzie się znajduje.

A tam zdala bitwa wrzała — rozpalila się na całym froncie, który, po nagłym wycofaniu dwóch

dywizji Łobukowa, załamał się i runął. W godzinę przestał istnieć. Wojska niemieckie parły całą siłą naprzód. Szły, jak lawina, pędząc przed sobą bezładne chmary oszołomionego kłeską żołnierstwa, które przestało być wojskiem. Morzem rozlały się zdemoralizowane tłumy, nie dające się powstrzymać żadną siłą ludzką. Mrowisko oszalałych z trwogi ludzi rozpełzło na przestrzeni kilku mil, porzucając broń i niosąc wszystkim, co spotkało po drodze, nieuchronną zagładę.

Kiryłow przyczajony, z radością śledził tok wypadków.

Szary świt kładł się już po polach. Z mroku nocy wychylały się rozdarte pociskami drzewa, krwawiąc strzępami, wylaniało się straszliwe pobojowisko, zasiane gęsto trupami. Słońce nieśmiało, jakby z trwogą, wyjrzało z za dalekich, sinych gór wązkim rąbkiem purpurowej tarczy, wysuwało się wolno, opieszale, czyniąc wrażenie, jakby zatrzymało się w zwykłym swym biegu i zastygło w nieme mprzerażeniu na widok spustoszenia i ludzkiej straszliwej nędzy.

O! ludy nieszczęsne! Kiedyż duszami waszemi owładnie wreszcie duch zgody i miłości bratniej, iżbyście w mordzie i grabieży nie znajdowały rozkoszy, iżbyście Boga waszego nie wzywały na świadectwo waszych zbrodni, dokonywanych dla podłej, niczem nienasyconej, żądzy posiadania, iżbyście zawróciły z dróg, wiodących przez popioły i zgłiszczą nie do wielkości i sławy, lecz do zagłady ludzkości. Nie podstępem i pięścią osiąga się cel, lecz wspólnym wysiłkiem i miłością bliźnich. Celem zaś waszym nie są zdobycze marnych, ziemskich dóbr, lecz uświęcenie waszych dusz przez cnotę, o które jeno kusić się godzi, a które wszystkich was doskonałymi, iżbyście

z ziemi uczynili raj, kędy zniknie gwałt, a zapamiętuje prawo, kędy narody w jednej wilkiej wspólnocie najwznioślejszych uczuć podadzą sobie dłonie i pokój wieczny, błogosławiony sprowadzą na ziemię.

Idźcie więc, póki czas, i czyńcie i imię miłości bliźniego, by Bóg od was nie odwrócił swego oblicza, a szatan nie wpelzał do waszych dusz, gotując wam zagładę.

Niemieckie dywizje poza-frontowe ruszyły naprzód lawą. Szły głębokie kolumny bez końca miarowym, ciężkim krokiem, na ostrzach bagnatów niosąc losy ludów. Przewalały się szeregi, jeden, drugi, dziesiąty i setny, jak fale morza, dźwigając w swem łonie wszechwładną wolę swego tyrana, który nowej zapragnął ziemi i łupów i niósł zniszczenie swoim i cudzym. Płatał się po frontach, doglądając „wielkiego“ dzieła, które wysnuwał z nielitościwej, zbrodniczej swej dłoni i serca, zżartego jadem niepochamowanej żądy.

Sic volo, sic iubes!

A wy jęczcie w niedoli i gińcie w męce i nędzy! Nie słyszą uszy moje i nie widzą oczy!

Kiryłow, zorientowawszy się w sytuacji, wpelzał w końcu ze swej kryjówki i pobiegł co prędzej do domu Ewy. Rozumiał, iż, wobec szybkiego następowania Niemców, czas najwyższy na coś ostatecznie się zdecydować i począć corychlej działać, jeśli Ewy nie chce stracić na zawsze. Pchała go też tam i żądza, ujrzenia Łobukowa w roli wodza, który haniebnie przegrał bitwę, a może i zadecydował o losach Rosji. Pragnął na Pchała go też tam i żądza, ujrzenia Łobukowa którego znał z gorącego patryjotyzmu i przesadnej, sumiennej służbistości.

— Unuża się bydlę w niesławie — myślał —

tak to dobrze! niech wszystkie ekscelencje zczeka, niech car przepadnie! Nienawidzę!

Wszedł do poczekalni, wiodącej do pokoju w chwili, kiedy oficer służbowy zdawał mu raport z przebiegu bitwy i ogromu klęski. Zatrzymał się, przytknął ucho do drzwi i słuchał.

— Ty bredzisz! ty jesteś nieprzytomny! — miotał się Łobukow i zżymał — front przelamali! durak! ty w gorączce majaczysz, ja tobie kubek zimnej wody na łeb wylać każę... front przelamali! gdzie?

— Na odcinku waszej ekscelencji — brzmiała odpowiedź.

— Paszoł won! jak kruk nad ścierwem kracz! — paszoł!

Oficer oddał ukłon, odwrócił się i zmierzał ku wyjściu.

— Pastoj! kuda?

— Wasza ekscelencja...

— Małczat!

— Posłuszny rozkazom...

— Na moim odcinku! ty zwarzjował, albo jesteś pijany! — odchodził od zmysłów — tam stoją moje dwie dywizje! ty wiesz? moje dwie dywizje, okryte sławą! one w ogniu, jak mur stoją! ty wiesz? ty durak!

— Wiem.

— Nu!

— Właśnie one pierwsze cofnęły się z pozycji na wyraźny rozkaz waszej ekscelencji...

— Czytałem go na własne oczy — zapewniał uparcie oficer.

— Słysz ty! ja ciebie pod sąd płowy oddam, pasy drzeć z ciebie każę.

— Podług rozkazu — przybrał pozycję służbową — nie mniej jednak jest to prawdą, co powiedziałem.

— Zobaczymy, ach jak ty kłamiesz!
Podszedł szybko do telefonu, szarpnął raz i drugi.

— Hallo! hallo! Śpi hołota! — hallo! hallo!
Cisnął z pasją słuchawką o ziemię.

— Czort-by was, sukinsyny — wszystkich powieszę.

Zadzwoił na służącego.

— Auto!

— Gotowe.

— Dawaj!

— Rozkaz!

Wybiegł szybko do drugiego pokoju, po chwili wrócił w zupełnym, bojowym rynsztunku.

— Aaa! Kiryłow, jesteś nareszcie! — pełen ożywionej nadziei i radości, witał Kiryłowa, który w tej chwili wsunął się do pokoju — ty mnie mów, bo ten idjot..

Utkwił w nim niespokojny wzrok wyczekiwania, przez które przewijała się skąpa nić nadziei.

— Ekscelencjo, niestety, wszystko stracone!

— Szto? szto? ty mówisz prawdę? to niepodobna!

— Na całym froncie Niemcy maszerują naprzód — nasi uciekają w popłochu — rzucił twardo bezlitosne słowa.

— Ty, Kiryłow, zdolny, mądry oficer, ty nie pleć, jakby cię tchórz obleciał! ta jak przełamali front, skoro dopiero za cztery dni mieli zacząć ofensywę, a my mieli ich o jeden dzień ubiec? Nu, jej Bohu — oduzrza się własnymi słowami pociechy — was obu czort opętał i piaskiem rzucił w oczy! Tak ty otrzeźwiej ze strachu — tobie nie wstyd? — i mów do rzeczy.

— Jeśli ekscelencja nie wierzy, proszę spojrzeć przez okno.

Podszedł do okna i odchylił firankę. Łobukow patrzył długo szeroko rozwartymi, błędnymi oczyma, wodził półobląkanym wzrokiem po twarzach oficerów, po ścianach pokoju, jakby się nie orjentował, gdzie jest i co się z nim dzieje, wreszcie padł z jękiem na fotel złamany, zakrył drżącą dłonią oczy i łkał pogrążony w serdecznym, nieutulonym żalu.

— Ekscelencjo — przerwał oficer służbowy śmiertelną ciszę, wśród której tłukło się nieukożone w bólu serce Łobukowa — niema ani chwili czasu do stracenia, za pół godziny będą Niemcy w mieście. Ekscelencjo, ratuj się dla ojczyzny! ekscelencja jeden może ład przywrócić w armji — przedkładał, tłumaczył, błagał — jeśli ekscelencji braknie, ojczyzna stanie się łupem przeklętych Germańców.

A Kiryłow stał zimny, drwiący, oparty o framugę okna, wzrok jadowity, uparty wpiwszy w nieszczęsną swą ofiarę.

— Ojczyzna! — wybuchnął Łobukow rozpaczą — wy mnie o niej, milej, nie mówcie, ja ją oszukał, zdradził! ja ją w nieszczęście wtrącił!

Zerwał się i począł biegać po pokoju.

— Ja moją cześć, mój honor utracił, ja podlec! moją sławę w gorzałce utopił!

— Coś ty zrobił, Łobukow! — zawołał wśród wstrząsającego płaczu, obłędnej rozpacz — aaa!.. aaa! nie żyć mi! ta hańba, ten wstyd!

— Ekscelencjo! i Suworow — pocieszał oficer — poniósł niejedną klęskę!

— Suworow! ale naprzeciw Suworowa stał genjusz wielki Napoleon, a tu kto?

— Chytry Mackensen!

— Nu, kto to Mackensen? generał, jak każdy inny i ja jemu dał się podejść! Ponieść klęskę z ręki wielkiego Napoleona, to był zaszczyt! Aleksander i Benningsen i austriacki arcyksiążę Karol i sławny Blücher wzięli od niego lanie, ale to był zaszczyt! — a tu? tylko wstyd!

— Przez trzydzieści lat dośługiwałem się stopnia ekscelencji, w nędzy żyłem, marzyłem o sławie, drżałem, by jedna plama nie padła na mój oficerski honor i na stare lata takiej strasznej do-czekałem się hańby! Toż mnie wielki książe Mi-kołaj Mikołajewicz w oczy plunie, a raz drzwi po-każe i zedrze szlify generalskie!

Zatknął się w nieprzepartym bólu i lkał, jak dziecko.

— Ale — przerwał po chwili wśród łez — wy tu współwinni i cały sztab?

— My? ekscelencjo! — przerwał szorstko Ki-ryłow.

— A tak, wy! bo wy nie dali mi znać, wy chcieli mojej hańby!

— Ekscelencjo, musze się zastrzec przeciw podobnym zarzutom — gwałtownie wybuchnął Kiryłow, kryjąc tajemną radość szyderczą — ja sam tu byłem trzy razy przysłany przez szefa sztabu, budziłem, czarną kawą nawet...

— Nu, no, mów!

— Lecz ekscelencja był tak... chory...

— Chory? ja byłem pijany! cóż mi pomogą wykręty? byłem pijany! ta przeklęta Ewa!... Nu, wolać mi ją tutaj!

Za chwilę przywiódł Kiryłow Ewę. Łobukow wpił w nią wzrok gniewny, przenikliwy, badawczy. Wcisnął głowę w ramiona i skurczył się w so-bie, jakby gotował się do jakiego skoku.

— Pani wie, co się stało? — rzekł wreszcie, sapiąc gniewem.

Ujął ją za rękę, powiódł do okna, uchylił fi-ranki.

— Pani widzi? to pani... dzieło!

— Nie rozumiem — odrzekła Ewa zimno, spokojnie.

— Przez panią bitwę przegrałem...

— Przeze mnie? to ciekawe! — odparowała stanowczo, ostro — ekscelencja mnie przypisuje winę za swoje czyny?

— Wy mnie namawiali, abym pił...

— Jeśli ekscelencja wiedział, jakie czeka pa-na zadanie...

— Ba, żebym ja to wiedział, żebym ja to wie-dzia!

— Tem mniej mogła wiedzieć o tem panna Ewa — wtrącił Kiryłow, mierząc Ewę szyderczym wzrokiem.

— Słusznie, słusznie! pani tego nie mogła wie-dzieć — ja do pani nie mogę mieć żalu...

— ...

Za głowę się ujął dłońmi.

— Wszystko przepadło! sława, honor, cześć! — została hańba i życie we wstydzie!

Wolnym, ociężałym krokiem powlókł się do swego pokoju. Po chwili padł strzał.

— Ot, skończył karierę — zachichotał Ki-ryłow.

— Wy tu niepotrzebni, uchodźcie! — zwrócił się do oficera, który, przerażony, bezzwłocznie wybiegł — ja zaraz za wami!

— Nu i Łobukow, najzdolniejszy generał w armji, nie żyje — rzekł po chwili — to pani sprawka! pani za to odpowie!

Zmierzyła go wyniośle, z pogardą.

— A pani ciągle taka dumna, pogardliwa! nie szkodzi, odplacę z nawiązką. Teraz my trochę

z sobą pogadamy! Wy, wykwintna dama, a wyniosła, tak z wami trzeba inaczej...

Szybko wyciągnął rewolwer, lufę kierując w pierś Ewy.

— Ruszaj! — cisnął groźnie, wskazując drzwi.

Ewa w lot zrozumiała, do czego Kiryłow zmierza.

— Śmierć, albo hańba — przeleciała myśl, — niema innego wyboru — przemknęła druga. — Skąd, od kogo wyglądać ratunku? ojciec? jeśli zechce wziąć mnie w obronę, zginie — przed domem stoją strażę, gotowe na każde skinienie tego draba, który zdolny wymordować wszystkich, byle swego dopiąć! — kłębiły się trwożnie myśli w dręczącym chaosie. — Rzucić się na niego? jakież widoki nierównej walki? zużyć się do próśb? czyż odniosą skutek?

Spojrzała mu w dzikie, krwią nabiegłe, żądzą płonące oczy, którei chciwie pochłaniał całą jej kształtną postać, lubieżnie rozigranym wzrokiem doszukując się jej wdzięków.

Stała blada, drżąca z oburzenia i lęku, nieruchoma, osłupiała z przerażenia i obrażonego wstyd. Nikt nigdy nie ważył się tak na nią patrzeć, tak bezczelnie wodzić wzrokiem, tak bezwstydnie i zuchwale płaszać. Przez chwilę wszelka myśl w niej zgasła i krew zastygła w żyłach, iż serce na moment struchlałe, bieg swój zatrzymało, lecz rychło zbudziła ją królewska jej duma, twarz purpurowym koryła rumieńcem, potargała w strzępy pęta bojaźni i lęku i tchnęła w duszę myśl mocną, śmiałą:

— Ten nędznik śmie...

Dumnie zadarła głowę i śmiało spojrzała mu w oczy, chloszcząc go zimnem, wyniosłem, pełnem pogardy i wstrętu spojrzeniem.

— Taki podły Moskal... raczej zginać!

Ściągnęła brwi gniewnie i energicznym, pewnym ruchem ręki wskazała mu drzwi.

— Precz w tej chwili!

— Ha! ha! ha! — wybuchnął głośnym śmiechem — ty głupia Laszko. Podskoczyła ku niemu i wymierzyła mu cięty policzek. Ciskał się wściekły, chwycił ją mocno za rękę, aż syknęła z bólu, zawinał nią, szarpnął, rzucił na ziemię, chwycił pod gardło i począł ją dusić, rycząc przez zaciśnięte zęby, okłębione z ust toczoną pianą:

— Ty, polskie ścierwo, myślisz, że ja z tobą żarty będę stroił? ty śmiesz Kiryłowa znieważać? ja ci pokażę, co potrafi wzgardzony przez ciebie Moskal...

Szamotali się z sobą długi czas w zażartej, wścieklej walce, aż Ewa, straciwszy siły i zdolność oporu, uległa, tracąc przytomność.

— No, widzisz, mała — syczał — z Kiryłowem niema żartów. Chwilę teraz odpoczniesz, a potem — chichotał — wybierzemy się w podróż poślubną!

Zmierzał ku wyjściu, by strażom, stojącym przed domem, wydać rozkazy odnośnie do natychmiastowego wyjazdu, gdy w progu stała patrol niemiecka w pełnym rynsztunku bojowym.

— General Łobukow wohnt hier? — pytał kapitan von Richter.

— Nie rozumiem — odparł Kiryłow.

— Aha! sie verstchen nicht deutsch! pan jest rosyjskim oficerem? a ta dama?

— Panna Szalawska.

— Można z nią mówić? chora?

— Nie — odrzekła Ewa, która w międzyczasie odzyskała zwolna przytomność — ten oto szlachetny rycerz powalił mnie na ziemię...

Dźwignęła się z trudem z ziemi, usiadła ciężko w fotelu.

— To mnie nic nie obchodzi — odrzekł szorstko von Richter. — Gdzie generał Łobukow?

— Generał Łobukow odebrał sobie życie — leży w tamtym pokoju.

— Sakrament! to wielka szkoda! — mruknął poirytowany.

— A ten? — pytał, wskazując na Kiryłowa.

— Kiryłow, sztabs-kapitan — odrzekł Kiryłow z miną pewną siebie.

— Jeniec — pod straż! — wydał rozkaz — zrewidować go, odebrać pieniądze i broń.

— Co? mnie sztabs-kapitana? — oburzył się Kiryłow — mnie rewidować, odbierać pieniądze?

Ewa wybuchnęła gwałtownym śmiechem.

— Ha! ha! ha! — a to kawał!

— Jak pan śmie? — miotał się Kiryłow — pan gwałci prawo...

— Nur ruhig, mein Herr — odparł z flegmą von Richter, podsuwając mu rękojeść szabli pod nos — tu jest prawo! Gucken sie nur zu... Zrewidować! — powtórzył kategorycznie rozkaz, co dwóch żołnierzy natychmiast uskuteczniło.

— A pani? — zwrócił się do Ewy — domowa?

— Nie rozumiem.

— Czy pani tu mieszka?

— Owszem.

— Sehr gut! gdzie reszta? alles antreten!

— Wszyscy niech się stawiają — tłumaczył podoficer Polak.

— O szóstej rano? pewnie teraz śpią, całą noc nie spali.

— Wszycko, wszycko! wcześniej wstawać, to zdrowo — rasch! rasch!

Ewa wyszła, by przywieść wszystkich domowników, ko których po dorywczem zbadaniu wygłosił von Richter krótką mowę:

— Armja niemiecka — prawil przełamała linie nieprzyjacielskie i idzie zwycięsko naprzód. Uwolniliśmy wasz kraj, który was...

— Wie sole ich das sagen — zwrócił się do podoficera — serwer bedrängt?

— Uciskał...

— Wie? uści-skał?

— Uciskał — powtórzył podoficer.

— Also... uści-skał. W zamian za to hoffen wir, że swojem przyjaznem zachowaniem się wobec niemieckiej armji okażecie nam swoją wdzięczność.

— Mówię to do pana — zwrócił się do pana Andrzeja — wie hlissen sie?

— Czego on chce? pytał zdumiony pan Andrzej.

— Pan rotmistrz — tłumaczył podoficer — pyta pana o nazwisko.

— Szalawski!

— Żalacki..

— Szalawski — powtórzył pan Andrzej zniecierpliwiony.

— Ganz egal! Otóż mówię do pana, panie Żalacki, jako do burmistrza. Pan to ludności ogłosi-verstanden? W dowód zaś szczególniejszego zaufania i laski wilę pańską rekwiruję dla pułkownika, dowódcy etapu, respective komendanta miasta, który tu niebawem przybędzie. In einer halben Stunde ma być cały dom opróżniony. Sie verstehen?

— Za pół godziny — objaśniał podoficer.

— A ja gdzie się podzieję? — wybuchnął wściekły pan Andrzej.

— Jedrusiu! — mitygowała go pani Barbara.

— At! djabli!... — szarpał wąsa i zżymał się pan Andrzej.

— Wo? das ist mir ganz Wurst!

— Dalibóg zwarzował jegomość.

— Jędrusiul...

— Jemu „wurst“ — przedrzeźniał z pasją, — a ja z wami na polu, czy jak? psiakrew z tą wściekłą wojną! dopiero pozbyliśmy się jednych...

— Co się panu nie podoba?

— Wytłumacz mu pan do diabła — wybuchnął, zwracając się do podoficera.

— Jak się panu co nie podoba, kula w głowę und schluss!

— Panie generale!... — próbowała zabrać głos pani Barbara.

— Tylko Rittmeister!

— Panie rotmistrzu, pan pozwoli — ciągnęła nieśmiało.

— Nic nie słucham! in einer halben Stunde — rzekłem, a teraz alles abtreten!

— Szkoda z gburem gadać — zauważyła Ewa.

— Masz rację! pq co strzepić po próżnicy gębę — zakonkludował pan Andrzej.

— No! — zwrócił się von Richter do żołnierzy, którzy obszukali Kiryłowa — hebt ihr was gefunden?

— Pięć milionów marek!

— Was? pięć milionów marek? — rzekł zdumiony — skąd pan ma tyle pieniędzy?

Kiryłow milczał.

— Jakiś niebezpieczny ptaszek! wziąć go pod czujną straż, pieniądze złożyć w kancelarji sztabu! marsz!

— W drogę! — dorzuciła szyderczo Ewa, patrząc mu w oczy, iskrzące wściekłością.

Kiryłow rozumiejąc, iż wszelki opór byłby daremny, a równocześnie sądząc, iż zaszło nie-

porozumienie, dał się wyprowadzić spokojnie żołnierzom.

— Zobaczmy tego Łobukowa — ein charakter voller mann!

Wyszedł do pokoju Łobukowa, po chwili wrócił.

— Mit vollem Respekt dla takiego oficera! A wy czego tu jeszcze? — zwrócił się do domowników, którzy jakby odurzeni szorstkością Niemca zapomnieli jak mówią, języka w gębie i nie wiedzieli, czy wolno im wyjść, czy należy zostać, czy wolno upominać się o pogwałcone prawo, czy milczeć, czy przyjąć w pokorze wyroki niemieckiego gbura czy protestować.

— Aha! panie Bürgermeister! proszę kazać usunąć zwłoki, pokoje przyprowadzić do ładu — in einer halben Stunde bin ich zurück, zobaczę, czy wszystko w porządku. Ostrzegam, że pułkownik lubi wzorową czystość — es ist ein sehr eleganter und feiner Herr! Adieu!

Wyszedł, nie spojrzawszy nawet na zebranych, którzy długą chwilę trwali w niemem osłupieniu, nie wiedząc, co więcej podziwiać, czy butę czy niezwykle chamstwo, wszyscy jednak czuli, iż spadł na nich nowy cios tem dotkliwszy i sroższy, iż pochodził z ręki wroga, który organizacją swoją, energją i uporczywem a zajadłem zdążaniem do celu był stokroć niebezpieczniejszą, niż ten, który ustąpił. W zasadzie było to właściwie wszystko jedno, czy Niemiec czy Moskal usiłuje wśród polski wynarodowić, czy jeden czy drugi dopuszcza się ucisku i gwałtu, łupi polskie ziemie, i niszczy polskie wsie i lasy, różnica polegała tylko w systemie. System niemiecki zdawał się być więcej celowy i zwarty a przez to niebezpieczniejszy, rosvjski zaś splaw zasadniczo nie miał programu, obliczonego na daleką metę, był nato-

miast więcej barbarzyński, choć równocześnie więcej dorywczy i głupi. Niemcy wytrwale i z całym aparatem praw specjalnie w tym celu ustanowionych dążyli do wyrugowania Polaków z ich rodzimej ziemi — stąd tem większa braciom z zaboru pruskiego cześć i chwała, iż zdołali się ostać zwycięsko wśród burzy i duszę osłonić przed ciośami — Rosjanie dopuszczali się głupich, bezmyślnych mordów, zsyłali w katorgi, na Sybir, nie mając odwagi ani możności pójść śladem Niemców, choćby z tego powodu, iż Polacy żyli tu zwartą, olbrzymią masą i górowali nad Rosją, kulturą. Rosyjskie prześladowania, same w sobie tragicznie smutne, były przez swą bezczelność i bezprogramowość z punktu widzenia polityki państwowej rosyjskiej wzruszająco śmieszne i krótkowzroczne, ciasne i głupie. Najgłupszym wśród trzech zaborców był niezawodnie Austrjak, który zrazu nie gardził żadną metodą ucisku i gwałtu i posunął się nawet do pamiętnej rzezi galicyjskiej, później szedł pokornie na pasku słowiańsko - węgierskim, wzdychając do czasów, kiedy to mówiło się: „tu felix Austria nube“ i grało bez obawy o przykre następstwa, powstania czy bunty i lupiło bezkarnie i bez odpowiedzialności, do której poczuwano się jedynie wobec austriackiego Boga, który „państwowo usposobiony“, przymykał oczy na zbrodnie.

Talentu wyrafinowanych zbrodniarzy dowiedli jednak wszyscy trzej w sposób zaiste nieposłedni.

A zbrodnie te, których nie spisać i na myśl o których dusza się wzdraga, działy się na oczach całej Europy, która „dyplomatycznie“ milczała lub przedsiębrała groźne interwencje... na piśmie jak w r. 1863. Krwawiła się ciężko polska młodzież w walce z caratem o wolność swej ziemi,

uniesiona najświętszym zapalem, najwznioślejszym uczuciem miłości ojczyzny szła niemal bosko i z golemi pięściami na rosyjskie armaty, kiedy francuski minister spraw zagranicznych hr. Walewski układał notę w porozumieniu z przenie-wieczną Anglią i tchórzliwą Austrią. Książę Gorczakow, kanclerz rosyjski pobladł z przerażenia lecz rychło zeń ochłonął, otrzymawszy od posła angielskiego wiadomość „na ucho“, iż Anglija dla Polski nie myśli się angażować. Nędzna Austrija skwapliwie poszła Angliji śladem. Rosja miała ręce rozwiązane, książę Gorczakow z ulgą odetchnął, Napoleon III pokręcił gniewnie długiego wąsa i polską sprawę schował do... szuflady, a Prusak... stał z bronią u nogi, by się rzucić na tego, któryby się ważył przyjść nieszczęsnemu narodowi z pomocą!

Teraz zwałił się całą swą potęgą na polskie ziemie i snuł co do nich plany, z których jeden miał niebawem wysunąć „dla świata“, powołując do życia Radę regencyjną na czele państwa... bez granic, innych pilnie strzegąc w najtajniejszych zakamarkach chytrej swojej duszy.

Zafrasował się pan Andrzej niemało faktem ogarnięcia niemal wszystkich ziem polskich przez niemieckie armje, obawiał się przemożnego wzrostu potęgi pruskiej, która porosła w tęgie pierze dzięki polskiej naiwności. Podzielał obawy pan Tomasz, który, zaabsorbowany doniosłością faktu, kryjącego w sobie wszystkie nieprzewidziane możliwości, a między innymi wielkie prawdopodobieństwo znacznego okrojenia ziem polskich na korzyść Prus, porzucił swoje osobiste bóle i troski i począł snuć nowe domysły odnośnie do przyszłości Polski.

— Jak się tu te bestje — mówił pan Andrzej

szczerze zaniepokojony — teraz rozsiada, tak nie daj Boże już ich chyba wykurzyć.

— Zapewne! — potwierdzał pan Tomasz — wzmoga się niesłychanie, zabiorą, co zechcą, bo i któż im wreszcie zabroni? Rosja pobila...

— Na razie — wtrącił pan Andrzej.

— Chyba tym razem doszczętnie, bo to, coś my dzisiaj widzieli, to już nie pogrom, to poprostu rozsypanie się w gruzy... i wątpię, czy się Rosja dźwignie, tam zaś we Francji coś koalicji nie-szczególnie się wieszcie...

— Być może, że obawy twoje są słuszne. Nie dajże Bóg, aby te szwabskie piwowary pozostały tu już na stałe, bo Szwab chytrzejszy i więcej przedsiębiorczy niż ten głupi moskal. Zaraz ci tu otworzy swoje kramiki, tandetą zaleje, grosz będzie ciulał, zborv pobuduje i szkoły, laudrak czy inny pludrak do garnka ci zajrzy i podarek wyciśnie, gdzie się da, przykradnie...

— Już ty, Jędrusiu, nigdy z niczego nie będziesz zadowolony — wtrąciła nieśmiało pani Barbara.

— Masz ją! Słyszysz? — zwrócił się do pana Tomasz gniewnie — zadowolony! niby z czego mam się do djabła cieszyć? z tego, że nam się ta szwabska hołota na kark zwaliła? Kobieto zająca, nie zabierajże głosu, proszę cię raz na zawsze, w sprawach, o których nie masz zielonego pojęcia. Jesteś wzorową żoną, doskonałą matką, przyznaję ci to, ale przecież na polityce...

— A ty, mój Jędrusiu, nie tylko hukasz ciągle mamuni i bucysz, że oczy szeroko rozwierałam, czy to ty jesteś, którego z pośród wielu wybrałam i miłość dożgonną przysięgłam. Aa... — dźwignęła się z fotelu szczerze zagniewana — nie godzi się, nie godzi żoną tak poniewierać, nie ścierpieć tego, co dosyć, to dosyć!

Obrażona zmierzała ku drzwiom, gdy zabiegł jej drogę skruszony pan Andrzej i przypadł gorąco do rąk.

— A bo widzisz, rybeńko, człowiek już sam nie wie — usprawiedliwiał się i składał — kręci się, jak w ukropie, radby przeceż doczekać jakiej dla ojczyzny radosnej, jasnej chwili, a tu ci słonko chmurą przykryją, zwali się burza, że nie wiem, gdzie głowę skłonić, co czynić, jak się bronić!

Mówił przez łzy, które do oczu spływały.

— Chciałoby się zerwać do jakiegoś czynu, zakasać rękawy, nie skąpić trudu, w pocie czoła od świtu do nocy dla ojczyzny pracować, a tu ci ręce skrepują, skaza na beczynność, choć się rwiesz i szarpiesz. Cóż tu począć, jak z chwili skorzystać? Toć wszyscy modliliśmy się do Boga o wielką wojnę, spodziewając się, iż ona sprawdzi rzeczy odmianą i tchnie jasny promyk w nędzne nasze życie, wywali niewoli wrota, pozostawi za którymi świat innym, wolnym narodom tak cudnie się uśmiecha a tymczasem ty gnij dalej, biedny narodzie i żuj niecierpliwie wędzidło czyżby po koniec świata?

„I umęczono naród polski i złożono w grobie — cytowała Ewa słowa wieszczki w odpowiedzi na zwątpienie, które wsaczyło się jadem w zboląłą duszę stroskanego ojca — lecz naród polski nie umarł; ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi... a trzeciego dnia dusza wróci do ciała i naród zmartwychwstanie... i przeszło już dni dwa; jeden dzień zaszedł z pierwszym wzięciem Warszawy, a drugi dzień zaszedł z drugim wzięciem Warszawy; a trzeci wnijdzie ale nie zajdzie“.

Cisza śmiertelna zaległa w pokoju, łzy wzburzenia zwilżyły oczy — duch pokrzepienia i ufności zstępował w serca, budził myśl i krzepił ramie.

— A zaś drugi nasz wieszcz nieśmiertelny
głosił — ciągnęła Ewa głosem niezachwianej
wiary:

„— i słyszałem

„Głos, co woła w wiecznym niebie:

„Jak im Syna niegdyś dałem,

„Tak im, Polsko, dają Ciebie!

„Syn mój jeden był — i będzie,

„Lecz myśl Jego żyje w Tobie:

„Bądź więc prawdą, jak On, wszędzie;

„Ja Cię córką moją robię.

„Gdyś do grobu zstępowała,

„Byłaś częścią człowieczeństwa,

„Ale teraz — w dniu zwycięstwa,

„Imię Twoje: ludzkość cała!

Płonął w jej oczach wzrok jasny, pogodny,
niezamacony zwątpieniem ni lekiem, był duszy
pięknej, świetlanem odbiciem, w ktróej Pan
w swej dobroci budował ołtarze. Tam korne do
Pana zanosila modły, tam były łaski, ożywcze
źródle, tam moc czerpała wytrwania, tam duch się
krzepił, uderzał w stal czynów i wiódł po drodze
słonecznej do zbawienia światów:

— Do rozpaczcy nie widzę żadengo powodu—
rzekła po chwili — boć naród polski, to nie
chwast, który można z grządky wyplenić! ciedzi
tu mocno na swojej ziemi i niema siły, która zdo-
łałaby go z niej ruszyć. Zakusy wrogów rozbija
się o jego pierś mężną rycerską, jak się rozbiły
wszystkie dotychczas podjęte.

— Ewciu! dziecko moje kochane! — rygnął
pan Andrzej i wziął ją mocno w ramiona, cisnąc
ją do piersi — wstyd mi przed tobą, iż na chwilę
uległem zwątpieniu.

Nie posiadał się ze wzruszenia.

— Wiem to od ciebie, Ojcze, ty mnie tego

uczyleś — nie pamiętasz? i uczyleś mnie jeszcze,
że do zwycięstwa konieczną jest wiara.

I potoczyła się wraz rozmowa na temat, który
mimo wiary budził przecież ciągle troskę. Już ni-
jak myśl polska nie mogła się od niej oderwać.
Wlokła się za nią senna i ciągnęła, zawisała nad nią
jak mara, iż nie było sposobu ani jej zmóc ani jej
ominać. Tłukła się po duszy na jawie i wila przez
sen, zaglądała w serca i truła jadem.

— Pił — myślał pan Andrzej, zaledwie odda-
liła się Ewa, by spocząć po nocy, pełnej burzli-
wych, wstrzasających przeżyć — łatwo to wiesz-
czom pisać, wybiegać myślą daleko poza rzeczy-
wistość, gdy ci koszmar lub przeklęta zjawia zaj-
rzy w ślipia — co to zjawia?! Fakty! Fakty! nie-
zbite, namacalne jak ten, że Niemcy...

I wił się znów w męce, szarpał w trosce, to-
nał ponownie w zwątpieniu. Błąkała się dusza
zbołała po błędnych drogach i zgubnych gzygza-
kach, co krzyżując się z sobą w sieć szatańską
bez początku i końca snuły się między rozpaczą
i nadzieją, wiarą i zwątpieniem, radością i bez-
brzeżnym smutkiem.

Zgola odmiennego zdania była w tej mierze
Ewa, która z chwilą rozgromienia Rosji nabrała
tem większej otuchy. Dała wyraz swym zapatry-
waniom w rozmowie z ojcem i panem Tomaszem,
teraz zaś wyluszczała z kolei swe poglądy Klec-
kiemu, który, zdjęty trwogą na widok potęgi
Niemiec, zachwiał się w wierze w ostateczne zwy-
cięstwo i uważał, iż akcją pojętą na rzecz Niemiec
a przeciw Rosji koło oddało sprawie polskiej nie-
dźwiedzią przysługę.

— Kiedy stałam przy oknie — tłumaczyła mu
Ewa — i patrzyłam na te maltretujące pruskie
kolumny, zdawało mi się przez chwilę, że niema
chyba takiej mocy, która złamałaby tę potęgę,

a jednak kiedy uprzytomniłam sobie, że cały świat stoi przeciw nim, nabrałam znowu otuchy i pewną jestem, że muszą wkońcu ulec.

Przytoczyła te same argumenty, którymi posługiwała się na posiedzeniach tajnego komitetu, a wreszcie oświadczyła, iż co do niej, sprzymierzy się choćby z diabłem, byle przyczynić się do kłęski wroga.

— Rosja padła — rzekła twardo, z nienawiścią — teraz z Niemcem sprawa. Co i jak? w tej chwili jeszcze nie wiem, lecz to jedno niezbiecie wiem, że teraz dopiero zacznie się robota.

Nagle uchylił drzwi pan Tomasz, donosząc, iż Niemcy przybyli.

— Pulkownik, ten pan rotmistrz i jakaś ci poczwara, samarytańska w białym czepku. Po chwili znaleźli się wszyscy w salonie.

— Vermutlich — zwrócił się pulkownik do pana Andrzeja łaskawie — Fräulein Tochter?

Sehr angenehm!

Oddał pelen dystynkcji ukłon i podał Ewie rękę.

— A więc tu nasza nowa rezydencja, Schwester!

— Cale tu ładnie! ten Vaterstuhl! — wpokowała „Schwester“. Rzuciła się w stojący przy kominku, głęboki fotel.

— Da sitzt aber gut! — es ist hier ganz nett! — tylko niema na stół — zwróciła się do pana Andrzeja — an Tischläufer.

— Czego? — nastawiał uszu pan Andrzej.

— Tischläufer! no, takie, co to — ach! Herr Gott, wie heisst es?! ani w oknach Zalycki..

— Zalycki? Co to może być?

— Ma też ojciec nad czem łamać sobie głowę! — zauważyła pogardliwie Ewa.

— Racja! niech papple, co jej się podoba.

— Alco von Richter, gdzież nasze pokoje?

— Kazałam opróżnić całą wille...

— Och! to całkom niepotrzebno..

— Właśnie w tej sprawie chciałam na pana rotmistrza użalić się przed panem...

— O! gnädiges Fräulein! o cóż chodzi?—Herr Rittmeister jest bardzo uprzejmy — to mnie bardzo dziwi.

— Pan pulkownik zrozumie, że trudno całej rodzinie mieszkać pod gołym niebem dlatego, że pan pulkownik chce tu zamieszkać — mówiła śmiało, surowo.

— Frech ist sie schon, was? — rzekł do Richtera.

— Wie alle hier die Karls.

— Pan pulkownik sam chyba znajduje...

— Ja, ja! — przerwał niecierpliwie choć grzeźnie — ja nie całkom rozumiem, co pani mówi, lecz domyślam się, o co chodzi. Rittmeister zwrócił się do Richtera. — ja zadowolnić się dwoma pokojami, Fräulein Voigt, nur drei! tylko trzil!

— No, z tem to się przynajmniej można jakoś po ludzku dogadać — zauważył pan Andrzej.

— Rittmeister — tłumaczył rotmistrzowi — man muss nachgeben, bedziemy ich potrzebowali! Gdyby nie to, möcht ich ihr gleich a Ohrfeige geben.

— Co oni szwargocą? — łamał sobie głowę pan Andrzej.

— Ktoby tam nad tem się zastanawiał — uspokoiła go Ewa.

— Rittmeister! schauen sie den jungen mann — rzekł, wskazując na Kleckiego — co to będzie za wojsko! Pan nie służy wojskowo? — zwrócił się do Kleckiego.

— Nie! jedynak!

— Aha! sie sind der einzige Sohn ihrer Eltern? pan świetnie zbudowany, pan będzie doskonałym żołnierzem!

— Und so ein Karl diem niert! — zauważył zgorszony.

— A dużo was tu takich młodych ludzi? — ciągnął.

— Ma ochotę na pana — żartowała Ewa — powiedz mu pan, że miljon.

— Miljon! — ryknął nie bez szyderstwa Kłeki.

— Eine Million! Kollossal! Seine Majestät, cesarz Wilhelm będzie bardzo rad! — zaciera ręce.

— Niby z czego?

— No, Polska, polskie wojsko z nami ramie w ramie.

— Polskie wojsko w niemieckich pikelhau- bach — parsknął Kłeki.

— Der ist aber Kack! was? — zmarszczył brwi pułkownik.

— Ta bezczelność, ta nienawiść! — zżymał się żołnierz.

— Ruhig, Rittmeister, kommt Zeit, kommt Zeit! — No, ja teraz — zwrócił się do pana Andrzeja — ja teraz państwa nie zatrzymuję. Pan łaskaw tylko wskazać mi pokoje.

— Kaź Kuryłowa zaraz przyprowadzić — wydał rozkaz Richterowi, który w tej chwili opuścił salon.

— Kompliment, meine Herrschaften! żegnam! — oddał uprzejmy ukłon i zmierzał ku wyjściu, lecz nagle z progu zawrócił.

— Ach! um Gottes Willen! byłbym zapomniał. Pani jesteś panna Żalacka?

— Szalawska!

— Ach to! nun denn! pani oddała nam wielkie usługi.

— O jakich usługach on plecie? — dziwił się niepomniernie pan Andrzej.

— Powiniennem był od tego zacząć! Ach, jakże mogłem zapomnieć! Sie werden mir wohl verzeihen, gnädiges Fräulein?

Przyjął postawę służbową i salutował.

— Niemcy nigdy pani tego nie zapomną.

— Co on zwarzował? panie pułkowniku, pan się chyba myli co do osoby? moja córka?..

— Wielka patrijotka! Cin braves Mädell herzlichst gratuliere!

Jeszcze raz wyprężył się jak struna i oddał wojskowy ukłon.

— Nie! albo ja warjat albo on warjat! czego on gratuluje?

— Natychmiast zaraportowałem o tem excellencji Mackensenowi, który nadał pani w imieniu najjaśniejszego pana wysokie odznaczenie.

Pan Andrzej nie wierzył swym uszom, zgoła nie orjentował się, o co chodzi.

— Dziękuję — odrzekła Ewa wyniośle — odznaczenia nie przyjmę.

— Aber bedenken sie doch, gnädiges Fräulein, to obrazal!

— Czyniłam to nie dla odznaczenia lecz dla idei.

— Co czyniłaś? mówże do diabła, bo cierpnie na mnie skóra — huknął pan Andrzej.

— Jędrku, — mitygował go pan Tomasz — tylko spokojnie, dowiemy się zapewne niebawem wszyestkiego Ewciu...

— Dla jakiegokolwiek powodu — przerwał pułkownik — pan to uczyniła, radzę pani odznaczenie przyjąć — drgała w niecierpliwych słowach nieledwie groźba.

— Absolutnie nie przyjmuję! — odparła stanowczo.

— Impossible, madame! pani mi zechce się narażać — tłumaczył uprzejmie, choć w głosie czuć było wzmagający gniew.

— Also, gnädiges Fräulein, być pani rozsądną... ja pani szczerze radzę, jakem pułkownik von Kökeritz!

Gdyby kto z ran niezabliźnionych zerwał szarpie, do których przyschły krwią skrzeplą lub rozpalonem żelazem dźgnał w serca, które nagłym bólem drgnęły. Rozapaliły się dusze żarem nienawiści, rozświeciły oczy straszliwą żądzą zemsty. Padło hasło śmiertelnej z mordercą rozprawy.

— Kto — skoczyła Ewa — Kökeritz?

Pan Andrzej i pan Tomasz osłupieli, stanęli jak wryci, niepewni, czy zachęcać Ewę do zemsty, czy ją od niej powstrzymać. Oniemieli z trwogi przed tem, co się stać może, a czego w istocie całą duszą pragnęli. Radziby zło sprawić i zło odsunąć. Drżeli na myśl o skutkach czynu a równocześnie do niego się gotowali. Szła burza nawalna rozpętanych, zwalczających się wzajem uczuć, które piersią gwałtownie miotały. Uginały się znekane serca pod brzemieniem nawały, co groźnie nad duszami zawisała, wróżąc nieszczęście, które cicho stało u progu.

Stało milczące, ogromne, ponure.

— No, was ist denn dabei? tak jest, jestem oberst von Kökeritz...

— Pan był w Nieszawie? — cisnęła pytanie, utkwivszy w nim wzrok roziskrzony, natarczywy.

— Nieszawa? — szukał w pamięci — Nieszawa... warten sie... tak! — rzekł po chwili — przed siedmiu meisiącami.

— Co panią mój pobyt w Nieszawie tak frapuje? byłem tam, jak wszędzie gdzieindziej.

— I wszędzie dopuszczał się pan takich zbrodni?

— Zbrodni? winnych zdrady stanu w całym świecie karzą śmiercią. Ale o cóż właściwie chodzi, łaskawa pani? bo ja nic a nic z tego nie rozumiem.

— Później panu wyjaśnię — odrzekła z naciśnięciem znacząco przez wściekłością zaciśnięte zęby i wyszła, ujęta troskliwie pod ramię przez ojca. Za nimi powlekli się ciężko pan Tomasz i pani Barbara — zamykał pochód żałobny Klecki.

— Widzisz, Ewuś, — dotykał delikatnie smutnej i drażliwej sprawy pan Andrzej — widzisz, tak może i tego, może lepiej, że nie pozwałaś się na jaki czyn szalony, ja cię rozumiem, jak sam tego palnąłbym przez łeb draba siekiera, cóż, jeśli chcesz pójść za głosem żądzy zemsty, tak, dopuścił się zbrodni, w zasadzie, rozumie się, nie powinno mu ująć płazem, ale... widzisz, cóż tu poradzisz? o ile naprawisz zło? Kaziu, Boże mój, biedne chłopczysko nie odzyska życia a skutki czynu pomyśl — no cóż tego, ja tam...

— Bąkał, sapał, kręcił się i sam z sobą się zmagał, z trudnością na wodzy utrzymując rozpacz i nienawiść, które parły do zemsty. Całą mocą panował nad sobą, by nie wybuchnąć oszalałym krzykiem skargi, i wpadłszy do pokoju barbarzyńcy, nie przejechać go po łbie młotkiem lub siekierą lub wreszcie nie zmierzyć się z nim starą karabela, co wisiała nad łóżkiem, a świetne pamiętała czasy, kiedy to po bitwie pod Kluszyńem, w której 6000 Polaków pobilo na głowę 48.000 moskali i Szwedów, hetman Żółkiewski ruszył pod Moskwę i strąciwszy Szujskiego z tronu, zawarł z bojarami ugodę, mocą ktrej syn Zygmunta III. Władysław został powołany na tron carski.

Hej! mile, piękne, pełne potęgi i chwały czasy! czemuż przeminęłyście i zgasły niby gwiazdy jasne, co nad rankiem zbedną i pograżą się w nieogarniony, dla oka niewidzialny bezkres przestrzeni i czasu. Czy, okrążywszy znaczone wam dalekie a nieznanne tory, wróćcie jeszcze, by wychynawszy z niepojętego ogromu, rozświetlić się znawu blaskiem nad polską ziemią... O! kędyż wiodą wasze tajemne drogi, by myśl je choć dościgła i krzepiła się słodką nadzieją. Kiedyż Bóg łaskaw wróci nam dni potęgi i chwały i czoło wiankiem okole zwycięstwa i mocy?

Próżno na razie tłukły się serca polskie, myślą tocząc po wszystkich krańcach świata, kędyby zaczepić wąż nadzieją, szukać pomocy i tchnąć w duszy pociechę. Snać nie wybiła jeszcze wówczas godzina przez Boga znaczonej wyzwolenia z męki, iżby spełniły się losy, które Pan w swej mądrości gotował. Zda się, iż temu narodowi naznaczył najcięższą próbę, którego powołał do wielkich przeznaczeń, boć i jak inaczej rozumieć tę straszliwą mękę, na którą naród polski skazał? Wszakże jest ktoś, który wszystko z niczego stworzył i wszystko powołał do życia, więc moc posiada niepomierną i w najdoskonalszym stopniu, a z nią i wiele innych właściwości, wśród których muszą się znaleźć i mądrość i sprawiedliwość. Jeśli jest więc Bóg sprawiedliwy, w swej wielkości niepojęty, w swej mądrości niezbadany, kierując wszystkim i rządzi dla jakiegoś celu. Któż kiedy zbada jego cel i drogi? Męka Polski musiała tedy leżeć w jego nam nieznanach planach, bo skoro nic się nie dzieje bez jego woli, więc i upadek Polski musiał być zgodny z jego świętą wolą. A wobec tego jaki był cel działania? Któż tak mądrym zmienić się może, iżby zagadkę wyjaśnił.

Tak rozumowali wszyscy ci, którzy troską

serdeczną przejęci, płatali się w doceikaniach rzeczy niedocieczonych. eLcz próżno kołatały znękanne dusze do wrót! Tak być miało! dlaczego? jak długo? — próżno łamać głowę.

„Nie badajmy wyroków, dlaczego nam niegodnym Bóg tak wielką rzecz, bo sprawę swej miłości poleca, nie badajmy, a wszystkiej siły do spełniania najwyższej woli obrońmy“ (Towiański).

Dociekali w tej chwili po raz tysięczny do jądra kwestji wszysej zebrani w saolnie. Szukali odpowiedzi na dręczące pytania, które nasunęły się w związku z niezwykłym po.żeniem całego domu pana Andrzeją. Roztrzęsano wyjątkową, niesłychanie ciężką sytuację, która zdała się być najstraszliwszą próbą ze wszystkich na naród polski zasłanych prób. Rozważano skutki, które byłyby następstwem słusznie wymierzonej Kökeritzowi karę, a co do których nie było żadnej wątpliwości. Po długiej dyskusji zdecydowano więc jednogłośnie, iż szukać zemsty, znaczyłoby skazać cały dom na bezwzględna zagładę i oddać go na łup dzikiej zemsty. Nie bez trudu zdołano pohamować wściekłość i opanować nienawiść przy nieodwołalnej decyzji zaniechania zbrodniarza.. Zgoła odmiennych poglądów była w tej mierze Ewa. W dyskusji prawie nie brała udziału, snując własne plany. Zrazu złamana, wyczerpana straszliwymi wstrząśnieniami, które w ciągu jednej niespełna doby przeżyła, nie była w stanie skupić myśli i zdać sobie jasno sprawy, co i czy wogóle cokolwiek czynić należv. Obojętna, myślą daleka od toczących się rozważań, pograżyła się w doszczętnym myślowym bezwładzie, jak ten znużony pływak, który zda się na falę. Niosły ją myśli kędyś o obcych jej szlakach, wiodły po przepastnych, nieznanvch jej drogach, ścigały się jak te chmury pod blask słońca w tysiącu odcieni,

ścieraly, to znów znikaly, przepadały bez śladu, by za chwilę powtórna napłynąć falą i miotać dużą niby nędzną barką, niesioną spieniona, wzdętą falą. Isra'el myśli po duszy, jak dzieci po łące — poddawała się bezwolna, złamana. Zdało się, iż przebrała się miara, iż pękły pod naporem wstrząsających przeżyć duszy silne wrzeczadze, puściły tamy i morzem zapadła apatja i odrętwienie. Niby smutna jesień rozsunęła się melancholją po łąkach i rozpyliła mgłą nieprzejrzaną, iż nie dojrzysz celu i stracisz z oczu drogę.

Lecz Ewa nie należała do tych słabych, anemicznych natur, które z lubością zwykły rozdrapywać rany, grzebać w bólu i rozpamiętywać bez końca zawody i klęski — Ewa należała do tych, którzy umieli jednym szarpnięciem wyrwać się szponom apatji i wolę ująć w silne karby, kierując ją ku czynom, których pragnęła, odwodząc od tych, które omijała. Nie umiała roztkliwiać się długo nad swoim osobistym bólem lub nieszczęściem, pomna, iż wszystkie siły należy zewrzeć i skupić na jednym najważniejszym punkcie — a ten leżał w szczęściu wszystkich, dla którego godzi się pracować z pominięciem osobistych widoków i celów. Nie miała nigdy czasu zbyt długo o sobie myśleć, radować się, czy też smucić, szybko załatwiała sprawy osobiste i bezzwłocznie przechodziła do spraw dobra i szczęścia powszechnego, a wówczas działała szybko, pewnie i sprawnie.

Kwestja ustosunkowania się jej do sprawy barbarzyńskiego zamordowania Kazia musiała z natury rzeczy zaabsorbować ją silniej i nrzucić jej kilkakrotne, nawrotne zastanawianie się nad nieodżałowanym faktem, który bądź co bądź w sposób katastrofalny rozwiązywał najważniejsze, najwięcej ją obchodzące zagadnienie i życiu jej nadawał zgoła inny wygląd i sprawom jej na-

kreślał bieg zgoła inny. Tragiczny zgon Kazia zbyt gwałtownie nią wstrząsnął i o zbyt ważnych rozstrzygnięciach sprawach, iżby tak rychło mogła nad nim przejść do porządku dziennego. Nic tedy dziwnego, iż myślą do niego ciągle wracała, ustosunkowując się do sprawy tragedji w sposób caraz odmienny. W fazie pierwszego bólu powzięła nieodwołalną myśl zemsty, w fazie ocknięcia się z niego z napływem zimnej rozwagi zaniechała pierwotnego zamiaru, stając na stanowisku, iż śmiercią sprawcy mordu nie okupi życia Kazia, teraz natomiast znowu, w fazie najwyższego napięcia uczuć nienawiści i bólu, zadecydowała wbrew uchwale najbliższych dokonać zemsty, która może jej samej śmierć przyniesie, ale i sprawi ulgę. Jeden był tylko szkopuł, o który rozbijały się plany, a mianowicie, czy godzi się sprawie osobistej poświęcać sprawy publiczne, które teraz właśnie wymagały szczególniejszego napięcia energii. Obawiała się, że tak postępując, upodobni się do szlachty Polski przedrozbiorowej, której za nic było dobro publiczne i losy ojczyzny — a dokąd karkołomne te drogi wiodą, uczyła ją o tem historia. Wysuwała wprawdzie nieśmiało argument, iż ktoś ją przecież w pracy zastąpi, lecz sama czuła kruchość jego podstaw. I tak wpadła w wir nowej walki, której definitywne rozstrzygnięcie odłożyła na razie na czas późniejszy.

W trakcie, kiedy w salonie toczyły się szepcemy narady, które rozstrzygnąć miały o lasach Kökeritza, w pokojach jego rozwinęła się z Richterem dyskusja na temat Polski.

— Nur drauf hauen! — twierdził von Richter — z tymi ludźmi nie można inaczej.

— Hast Reeril! — potwierdzał Kökeritz — ja też, jak widziałeś, nie oszczędzałem tych bestji — no i gdyby to odemnie zależało, wszystkich wy-

wieszalbym, tylko — wiesz przecież — że mam rozkaz ludności nie drażnić — chłodzi przecież o armję — wir sind schon mit nuserem menschenmaterial Jast wu Ende a... tu kopalnia! nieruszony rekrut! Eine million! Weisst du, was das ist? Eine milion!

— Na! dość polityki! teraz z tym panem — jak się nazywa? — zwrócił się do przyprowadzone pod strażą Kiryłowa.

— Sztabs-kapitan Kiryłow! — przedstawił się Kiryłow i wyciągnął kordjalnie rękę niby do kolegi, co Kökeritz nie bez wymownej wyniosłości zignorował, rzucając niedbale, lekceważąco:

— Sehr angenehm!

— Pan pułkownik pozwoli, że na żołnierza zainiosę skargę.

— Rittmeister! was machst du nur aber denu nicht alles? wszyscy na ciebie się skarżą! — To mnie bardzo dziwi — zwrócił się do Kiryłowa — Rittmeister jest bardzo uprzejmy człowiek..

— Przedewszystkiem całkiem bezprawnie obchodzi się ze mną, jak z jeńcem...

— Pan niczem innym nie jest — pan dostał się do niewoli i kwita!

— Pan pułkownik zapomina, że gdyby nie ja... nie tak łatwo bylibyście nasz front przełamali...

— Iii? a jakąż zasługę pan w tem ponosi?

— Wydobyłem od generała Łobukowa rozkaz, polecający jego dwom dywizjom cofnięcie się z pozycji z decydującej chwili.

— Tak? mnie o tem nic niewiadomo.

— Jaktó niewiadomo? — oburzył się Kiryłow.

— Pan mnie wręczył jaki rozkaz?

— Panu? — nie!

— A komu? ekscelencji Mackensenowi? Blöd sie ein Ochs! — zauważył do Richtera.

— Das sind schon alle Russen so!

— Rozkaz ten wydobyłem na żądanie jednego z waszych oficerów, który w imieniu generalnego sztabu ze mną traktował.

— Nazwisko jego?

— Nie wiem.

— Aaal nie wie pan?

— Nie wiem.

— Natomiast ja wiem, że przy panu znaleziono pięć milionów marek! Jakim sposobem może sztabs-kapitan dojść do takiego majątku? to ja jestem königlich prpreussischer Oberst, a nie mogę się tem pochwalić! Skąd pan wziął te pieniądze?

— Pan milczy? więc źródło podejrzane! na, ja! das kommt vor... przyznaje się pan otwarcie, pochodzą z rabunku? W takim razie nie ma pan prawa upominać się o nie!

— Dostałem od waszego sztabu! — wybuchnął, czując grożące niebezpieczeństwo utraty pieniędzy.

— W prezencie? — szydził Kökeritz — so dumm sind wir doch nicht!

— Za rozkaz i inne jeszcze... — bąkał przerażony, błąd.

— Pan bezczelnie kłamie! jak może sztabskapitan tak lgać?

— Jaktó lgać? — zachnął się Kiryłow wściekły.

— Łże pan, bo, o ile wiem, rozkaz od generała Łobukowa wydobyła panna Żalacka..

— Nu, da! ona wydobyła, a... ja...

— A pan odniósł? — wybuchnął Kökeritz szydzącym śmiechem — no! to za tak małą łatygę za wiele pan żąda.

— Gib dem Kerl — zwrócił się do Rechtera, uśmiechając się chytrze — zwei hunder mark und fertig.

— Dostanie pan — oświadczył szydyczko Kiryłowowi — dwieście marek!

— Co? — cisnął się Kiryłow ku niemu z pasją, zgrzytając zębami — dwieście marek?! chcecie mnie okraść? ja do waszego cesarza...

— Paszoł ty, durak! — krzyknął zniecierpliwiony Kökeritz — a co? umiem po rusku? — śmiał się szydyczko — also gehen sie, panie sztabskapitan i bądź pan zadowolony, że zamiast dwustu marek nie dostał pan dwieście batów.

— Jak pan śmie!..

— No, no! pan jest bardzo... na honor czuły! — weg mit ihm!

Żołnierze, stojący u drzwi, porwali go szybko pod ramiona i bez ceremonji wyrzucili za drzwi, gdzie przez innych pochwycony, dostał się między jeńców.

Kökeritz, rad z siebie, rechotał zadowolony.

— Dobry dzień, chwała Bogu! — unsere Armee — zacięrał ręce — geht rasch vorwärts! za dwa dni Warszawa.

Zdjął pikelhaube, rozsiadł się wygodnie i zadzwonił na lokaja.

— Herbata!

— Siadaj, mein lieben von Richter — rzekł łaskawie do rotmistrza, który do tej chwili stał w służbowej postawie, wyciągnięty jak struna.

— Dziękuję.

— A co wywiedliśmy pana sztabskapitana w pole — zanosił się od śmiechu i bił się rękami po udach.

— Niczego innego nie wart taki lajdak! — zauważył von Richter.

— Unverschämt ist der Mann! swoją własną ojczyznę sprzedaje.

— Za dwieście marek! — huknął śmiechem von Richter.

— Tak! to mi się udało — zaoszczędziłem skarbowi państwa pięć milionów marek — auch was wechr!

— Selbstverständlich!

— Jak ci się podoba ta mała dama?

— Ganz appetitlich, Herr Oberst!

— Das find ich auch! Tylko ja nie lubię takich — versichst du — szczupłych, ja muszę czuć, że mam coś w ręku..

— Ha! ha! ha! — ryczał von Richter.

— Na takiej szczupłej, to jak na desce, albo na strohsaku...

— Ha! ha! ha! Pan pułkownik to umie tak trafnie określić...

— No — mein lieber — skończyłem przecież wojenną akademję...

— Pan pułkownik jest świetnym znawcą kobiet!

— Tak! znam się na kobietach jak koniach. Uważam, że te dwa rodzaje zwierząt są najpotrzebniejsze.

— Ha! ha! ha! Herr Oberst! — rozwarł von Richter z zadowoleniem paszczę od ucha do ucha.

— Co my tu będziemy robili w tej brudnej mieścinie? ja tu się na śmierć zanudzę.

— Och! nie obawiam się o to — już tam pan pułkownik znajdzie sobie jakieś zajęcie. die junge Dame... warta grzechu...

— Allerdings! spróbować nie szkodził jest trochę czegoś na mnie fuchtig.

— Herr Obersta werden sie schon zu satteln wissen... he, he he!...

— Na, ja! będę dmuchał we włoski i pod bródkę gloskał.

— Będzie schwester zazdrosna...

— A tak, kocha się we mnie — mnie się żada na kobieta nie oprze... — rzekł z dumą.

— Das blaub ich!

— No, weisst du was? — dźwignął się, na skutek czego von Richter zerwał się z miejsca i stanął na baczność — idź już, jestem zmęczony, a mam jeszcze trochę do roboty.

Von Richter trzasnął obcasami i wyszedł.

— Cóż z tą herbata? — mruknął i pociągnął energicznie dzwonek.

— Herbata? — pytał lokaja, który stanął u progu.

— W tej chwili będzie.

— Przynieść do sypialni.

— Służę panu pułkownikowi.

— Gołębie tu macie?

— Jest kilka.

— Wszystkie zabić.

— Gołębie?

— Nie czytałeś na murach miasta rozkazu? trzeba czytać! teraz inne tu będą porządki — niemiecka ręka!

— A cóż gołębie?

— Niebezpieczne ptaki...

— Gołębie?!
Wyszedł, wstrząsając pogardliwie ramionami.

Von Kökeritz udał się do sypialni. Po chwili weszła do pokoju Ewa.

— Wer da? — krzyknął Kökeritz z sypialni.

— Szalewski! — odrzekła zduszonym głosem.

— Ach! das sind sie, gnädiges Fräulein! zaraz służę.

Wyszedł po chwili i spojrzął na Ewę, której

ponury, nieublaganej zawziętości pełen wyraz twarzy zwrócił jego uwagę.

— Na, was sind sie to finster, Fräulein, so verflucht tragisch?

— Pan... — podeszła bliżej zwarta w sobie i mocna — zamordował mego narzeczonego? — pytała chrapliwym głosem.

— Na-czyco-nego? was ist das? was wollen sie? — cofnął się, tchnięty przecuciem.

— Nie rozumie, bydlę! Kazimierz Żerski — rzekła z sykiem, dobitnie panu znane to nazwisko?

— Żerski? ja! den hab' ich erschliessen lassen!

— Zamordowałeś go, łotrze, niewinnie! — zacisnęła pięści, groźnie w górę wzniesione.

— Niewinnie? ganz fa mos! — zachichotał.

— Masz zapłatę!

Wyciągnęła szybko rewolwer i oddała dwa strzały. Lecz ręka niewprawna, opanowana nadmiernem wzruszeniem zadrżała — kule przeszły mimo głowy zbrodniarza, lekko drasnąwszy skroń. Nim trzeci raz zdołała pociągnąć za cyngiel, von Kökeritz rzucił się na nią i wyrwał rewolwer. Zadzwoił gwałtownie, na co wpadł kapral służbowy, czuwający w przedpokoju. Zbiegli się na odgłos strzałów przerażeni domownicy, domyślając się sprawcy czynu.

— Jezus Marja! Ewko! — wpadła z krzykiem pani Barbara.

— Na miłosierdzie boskie, co ty zrobiłaś, dziewczyno? jęczał pan Andrzej.

— Niestety chybiłam — odrzekła wzburzona, blada.

— Rozstrzelają ja — o Jezu! — zawołał pan Tomasz.

— Straż! — ryknął Kökeritz do kaprała, który wypadł z pokoju, jak strzała, wiodąc straż za chwilę.

— Panie pułkowniku! — zwróciła się pani Barbara do Kökeritza, ręce składając — nie odbieraj jej życia. Nasze dziecko drogie!... zanosila się od płaczu.

— Za godzinę stawić ją przed sąd — marsz! Wśród lamentu, skarg i złorzeczeń zebranych otoczyła Ewę silna straż.

— Ewko! Ewko! — wyciągała pani Barbara, oszalała z rozpaczycy za wychodzącą rękę, włosy rwała, aż padła zemdlona.

* * *

Pobita na głowę Rosja, odepchnięta wgląd kraju, legła u stóp zwycięscy zmiądzona. Jeszcze żywy trup drgnął, jeszcze dźwignął się i miotał w przedśmiertnych podrygach, lecz rychłoznaczony mu był tragiczny zasłużony koniec. Jeszcze jedno poderwanie się do lotu, jedno rozpaczliwe szarpnięcie niezwalzonego dotąd ciemiezcy, który ponurą chmurą zawisł przez cały XIX wiek nad losami Europy, a wraz śmierć zajrzała mu w oczy, bladeścią okryła lica. Ze szczytów potęgi, samodziernej władzy tyrańca stoczył się w przepaść nieznanego w dziejach upadku. Runął tron carski, grzebiąc w swych gruzach pana życia i śmierci milionów. Kraj pograżył się w odmet rewolucji, rozgorzał płomieniem mordy i dzikiej grabieży, „przyszedł do głosu lud“. Rozpękło carskie samodziernawie, rozprysło się w strzępy, po które wyciągnęli krwią zbrzyżane dłonie nowi władcy ludu. Niemalą zasługę położyli w tym względzie Niemcy, którzy, żagwie płonące rzucili, w dom bylego przyjaciela, korzyści stąd odnieść pragnęli największe. Plan był prosty, lecz obmyślany szatańsko: rozbić rosyjski front, armję zdemoralizować,

wprowadzić w nią element destrukcyjny, pograżyć w zupełnym do niezdolności bojowej rozkładzie, w kraju rozniecić rewolucję i podyktować pokój, a temsamem załatwić się z jednym wrogiem i zyskać w ten sposób wolne siły do dalszej kampanji na zachodzie. Było to tem więcej dla nich pożądane, iż nowe dwa państwa wstąpiły w wojnę po stronie koalicji, Włochy i Rumunja, które zamknęły pierścień, zacieśniający się coraz zwarciej i silniej. W dodatku wybuchnął groźny zatarg z Ameryką z powodu łodzi podwodnych, któremi posługiwano się z całą bezwzględnością, dopatrując się w nich zbawiennego środka, mającego rzekomo przyprawić koalicję o klęskę i zmusić do pokoju, oczywiście podyktowanego przez Niemcy. Mocą tego pokoju, dumnie roili, Europa miała się stać niemieckim folwarkiem pod względem politycznym i rynkiem zbytu dla niemieckiego przemysłu. W programie tym nie zapomniano, rozumie się, i o Polsce, co do której nie zdołano powziąć stanowczej decyzji przedewszystkiem ze względu na sprzymierzeńca, który w sprawie polskiej rościł sobie również prawo zabierania głosu. Jakkolwiek jednak wysuwano w tej mierze koncepcje, jedno przecież było niezbitie pewnem, iż Polska była i zawsze będzie przedmiotem szczególniejszej nienawiści ze strony Niemiec. Na razie, ulegając nakazowi ciężkiej chwili, w jakiej się znaleźli, zdecydowali się „wskrzesić“ państwo polskie pod berłem jednego z arcyksiążąt austriackich z granicami, mającymi się później oznaczyć. Chodziło przecież w ówczesnej chwili o nic innego, jak o niezbędne potrzebnego rekruta polskiego, który, jako żołnierz państwa „sprzymierzonego“, wezwany pod broń, stanie pod komendą pruską i w danym razie posłużyć może nawet... na zachodzie. Wchodziły tu w grę i wzglę-

dy gospodarcze. Zasobna bowiem Polska, „sprzymierzona“ chętniej zasili wysychające źródła środków żywności, co wobec odcięcia od całego świata było niesłychanie ważnym i doniosłym argumentem. Siłą zapewne możnaby również te środki zdobyć, lecz wobec najważniejszej kwestji... uzyskania rekruta należało zachować pozory, rzekomych przywiązanych uczuć i życzliwych dla Polski planów, choć w głębi duszy każdego Prusaka wrzała gorąca nieprzejednana nienawiść. Na Wilhelmstrasse w Berlinie ujmowano też zagadnienie polskie w sposób właściwy i nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Niech się cieszą „die dummen Polaken“, iż mają Polskę, której losy, pozornie już szczęśliwie rozwiązane, zapadną... po wygranej wojnie.

Lecz, rzecz dziwna, w Polsce nikt się... Polską nie cieszył! Nie chwyciła za serca Rada regencyjna i rekrut nie garnał się pod orły — płynął licznie, bez zapалу, uchylał się i wykręcał. Zdrowy instynkt narodowy umiał należycie odważać fakty, stworzone przez Niemców i spotęgował raczej nieufność, niżby miał zbudzić oczekiwane przez nich zaufanie. „Powstanie“ Polski nie znalazło w sercach obywateli echa radości, która zaplątała tu i ówdzie się, raczej drgnął zgrzyt niby znak ostrzegawczy przed pruskimi obietnicami, których waga i wartość znane były narodowi polskiemu aż nadto dobrze z historii. Zbyt wielu doznał naród polski od Niemiec krzywd, zbyt dobrze świadomy był ich nienawiści, by miał się ludzi, iż im warto i można wierzyć. Wyczuwano trafnie istotne względem Polski intencje i rozumiano, iż to, co czynią, czynią w swoim interesie, czynią z twardej konieczności. Położenie Niemiec oceniano rozsądnie i trzeźwo i domyślano się słusznie, iż słowo „Polska“ było dla każdego

Niemca dźwiękiem, który spowodował szal, podobny do choroby świętego Wita. Ludność polska wyczuwała fałsz i obłudę we wszystkich poczynaniach i stąd odnosiła się do niemieckiego „działa wyzwolenia“ podejrzliwie, z niechęcią i z największym zastrzeżeniem. Wypadki, które niebawem nastąpiły, potwierdziły słuszne podejrzenia.

Chelmszczyzna, Marmarosz - Sziget, walki formacji polskich z wojskiem niemieckim na Ukrainie...

Dzś suche to fakty historyczne lecz ileż męki i cierpień, ileż klęsk każdy z nich w sobie kryje!

Tak tedy „sprzymierzone“ państwo polskie miało tylko maskować istotne cele i zamiary, drze mięce w duszach niemieckich, które ziścić się miały po wygranej wojnie, miało być karykaturą państwa, włoczonego w zwarte kolisko niemieckich bagnetów, wydane na łup ucisku i gwałtu.

Z faktu tego zρέcznie zrazu przybranego pozorami, który złowróźnie zawisł nad narodem, wysuwano najsmutniejsze horoskopy. Nie ludzono się, iż pięść niemiecka zaciąży nad losem Polski i nowe dla niej w kuźni swej wykuje łańcuchy.

W domysłach tych nie było przesady. Uporawszy się definitywnie z Rosją, która na mocy pokoju Brzeskiego wypadła z gry, zagarnawszy polskie ziemie, które stać się miały spichlerzem i rezerwoarem rekruta, gotował się butny Prusak do rozstrzygającego skoku na zachodzie. Podstępem i chytrą rozerwawszy obrozę, co coraz szczelniej zacieśniają szyję, pozbawiając żeru, odetchnął swobodniej. Odzyskawszy wolne ręce na wschodzie, nabrał animuszu i gotował „dzieło“ podbicia Francji po Calain i wcielenia Belgii w państwa swego obszary. Runąć miał z wiosną na front zachodni i ciosem dla koalicji śmiertelnym zakończyć zwycięsko wojnę.

A wówczas kędyż miała się znaleźć ta siła, która położyłaby tamę zakusom, któż zdołałby się oprzeć potędze, która zawładnie Europą? Któż cshciałby, sam będąc zagrożony, myśleć o Polsce, stawać w jej obronie? O Polsce! Polska bezbronna, krwawiąca w niemieckich szponach, nie przedstawiając siły, jest... niczem, więc... starym zwyczajem zostawionoby ją jej własnemu losowi!

Cały świat kulturalny z trwogą śledził przebieg wypadków na zachodzie i drżał na myśl o zwycięstwie Niemców lecz czerpał otuchę z męstwa szlachetnej Belgji i walczącej Francji i żył nadzieją, iż Ameryka wstąpi w szeregi. Na razie jednak jesienią 1916 roku wszystko zdawało się przemawiać za wygraną Niemiec, która wszystkie wyprężyła siły.

W społeczeństwie polskim równie, jak w całym świecie, trwogą drżały serca na myśl o zwycięstwie Niemiec, w Polsce bowiem miano już przedsmak tego, co nastąpi w razie niemieckiej wygranej. Odczuli to także na swej skórze mieszkańcy powiatowego miasteczka, którem pan Andrzej jako burmistrz władał. Przemocą wymuszane rekwizycje ziarna i wszelakich produktów rolnych, przymusowa zbiórka metalowych klamek i wszelakich sprzętów domowych, mających służyć dla celów wojenych, rabunkowa gospodarka kraju, rozmyślnie niszczenie fabryk, wywożenie i demontowanie maszyn, brutalne obchodzenie się z ludnością — wszystko to były skutki zwycięstwa na wschodzie, objawy żywiołowej nienawiści do wszystkiego, co polskie, zapowiedzi dalszych barbarzyńskich działań, mających na celu doszczętne zniszczenie Polski, które w każdym wypadku leżało w ich interesie takiej czy innej koncepcji politycznej, wynikłej ze zwycięskiej, czy przegranej wojny. Ludność, niszczone rekwizy-

cjami, uciskana bez litości i miary, garnęła się do pana Andrzeja, szukając w nim, jak zawsze ratunku. Lecz pan Andrzej w zgola innego przedzierzgnął się człowieka. Od chwili, gdy stracił Ewę, o której losach dotąd mimo usilnych zabiegów nie zdołał zasięgnąć żadnej wiadomości, zo-bojętniał dla spraw publicznych, od których zupełnie się odsunął i popadł w apatię, która, zdało się, jak rdza żelazo, zgryzie, złamie opornego ducha i pograży w toń odrętwienia. Złożył urządowanie i zamknął się w czterech ścianach swego pokoju, po którym krążył pelen rozpacz od świtu do nocy i od nocy do świtu. Dociekał przez znaczeń, które Bóg mu zgotował, biadał i w naj-wyższej rozpacz prawował się z Bogiem, dochodząc praw, należnych mu z racji uczciwego życia, to znów godzinami tkwił bez ruchu w fotelu, wzrok błędny utkwivszy tepe w jeden punkt, który w oczach wzrastał do potęgi jakichś zjaw ponurych, potwornych wizji, co wzrok pętały i swym ogromem przygniatały nieszczęsną duszę, która wyrwała się z krzykiem, szukając ratunku. I tak trwał w boleści bez nadziei i końca sam sobie pozostawiony na pastwę bezgranicznej rozpacz, pan Tomasz bowiem, sam do cna znekany, nie mogąc patrzeć na straszliwą mękę przyjaciela, uciekł na wieś, pani Barbara zaś ciężko zaniemogła. Pan Tomasz, wyjeżdżając, czynił sobie skrupuły, iż porzuca przyjaciół w najkrytyczniejszym momencie ich życia, lecz przytaczał na swe usprawiedliwienie przed własnem sumieniem argument, iż niema dość siły, by patrzeć na rozdierającą boleść, której ulżyć nie może. Przed wyjazdem wybrał się jeszcze do Kökeritza lecz próżno kusił się z nim o rozmowę. Kökeritz bowiem otoczył się murem straży, nie dopuszczając nikogo do siebie. Bliski oblędu wymknął się na wieś,

by tam na gruzach swego szczęścia, dobytku i spokojnej ciszy wyczekiwać jaknajrychlejszej śmierci. Od czasu do czasu zjeżdżał do pana Audrzej, by stwierdzić z boleścią rosnące z dnia na dzień pogorszenie rzeczy. Aż dnia pewnego pod wpływem zgola nowych, energią tryskających myśli zerwał się najniespodziewaniej pan Andrzej i postanowił stanowczo dotrzeć do Kökeritza.

— Do diabła — ryczał wściekły — mam przecież chyba prawo, psiakrew, wiedzieć przynajmniej, gdzie leżą jej zwłoki. A jeśli — żalśnie skarżył się przez łzy — mogła ciebie, moje dziecko, przykryła... Zgrzytnął zębami, zacisnął pięści, ściągnął brwi groźnie i ukrył w kieszeniach rewolwer.

— Dostyc tych babskich szlochów, panie Andrzeju — mrucał — zdobądź się wreszcie na energję, pomścij! pomścij!

Dźwignął w górę drżące dłonie, załamał je z rozpaczą, aż palce zatrzeszczały w stawach i wybuchnął głośnem łkaniem. Lecz szybko łzy otarł, skrzepił się, skupił energję i ruszył do Kökeritza na wszystko zdecydowany. Tym razem zdołał do niego dotrzeć i zasięgnąć o Ewie wieści, która razila go gromem.

— Żyje! — ryknął i padł zemdlony.

Gdy odzyskał przytomność, znalazł się w swoim pokoju w Towarzystwie pana Tomasza, który w ten moment bryczką nadjechał.

— Byłem u tego draba — począł, z trudem dobywając słowa.

— U Kökeritza?

— Tak! — żyje!...

— Żyje! — powtórzył pan Tomasz do żywego zwruszony.

— Lecz... skazana... na dziesięć lat więzienia...

— Dziesięć... lat!...

— Dziesięć...

Skulili się obaj w straszliwym bólu, który targnął sercami, pogrążonymi w nieutulonym żalu.

— Więc powiadam — podjął po chwili pan Andrzej — miejże pan litość nad starcem i pozwól, bym ją obaczył — nein! odrzekł pies krótko! Żeby go Bóg ciężko skarał za moją ciężką dole! — to nie człowiek, to poprostu kamień — co ja się go naprosilem, ręk naskładałem, aż się teraz sam przed sobą wstydę, a on na to powiada: i tak pańską córkę spotkała... szczególniejsza łaska, bo powinna wisieć, ale w uwzględnieniu zasług, które nam oddała, sad zamienił jej karę śmierci na dziesięć lat więzienia. Łaska ją, psiakrew, spotkała!

— Zawsze to lepiej — przerwał pan Tomasz nieśmiało — niż gdyby...

— Zapewne! — ale pomyśl tylko: dziesięć lat! — na myśl o tem w głowie się maści i szaleństwo się czepia, bo i gdzież ona dziesięć lat przetrzyma, toć na szczyptę zeschnie, jeśli wogóle ten straszny czas przeżyje! a ja, czy kiedykolwiek doczekam tej chwili...

— Niewątpliwie kawał to czasu, lecz mogą się zmienić konstelacje polityczne, może coś nastąpić, może Niemcom powinąć się na zachodzie noga... Cóż, trudno przewidzieć, co wypaść może, a co skróci czas męki. Dzięki Bogu niechaj będą i za to, boć zawsze jest nadzieja, że ją jeszcze ujrzymy...

— Co z niej wówczas będzie? ruina! Co ona tam porabia? — roztkliwił się — co myśli? jakże musi tęsknić za wolnością, za pracą? ona, taka ruchliwa, czynna, chwilki nie spoczęła, ciągle w ruchu, ciągle w pracy... Żeby choć jakie książki można jej posłać.

— Istotnie — może się uda... nie prosiłeś?

— Nein! — bąknął lajdak.

— No, mój kochany, to znajdziemy inną drogę — pieniądz stworzy tę możliwość, zobaczysz! Szwab na grosz chciwy. Któremuś z dozorców do łap... Sam się tem zajmę i to jak najrychlej. A może przecież... tego... Bóg pozwoli, że tym szel-mom sprawią w końcu łaźnię...

— Iiii! — machnął pan Andrzej z niedowie-rzaniem ręką — kto? to Ewcia biedna tak sobie, kochana układała, ale do niczego te jej wróżby...

— No, mój kochany, nie kpij z tych wróżb, bo się jeszcze spełnić mogą...

— Tak, na pewno się spełnią! i ty się choć chwilę ludzisz?

— Nawet wierzę, mocno wierzę!

— Ano, masz, spróbowaly Włochy, dostały lanie, rzuciła się Rumunja, dostała lanie.

— Ale na zachodzie utknęły i stoją...

— Stoją, bo spóźniona pora.

— Ale na wiosnę...

— Do wiosny takie siły zgromadzą...

— Olśniła cię chyba ich potęga, że... przerwał pan Tomasz nie bez wiary.

— Olśniła czy nie olśniła, ja stwierdzam tyl-ko fakt, a te mówią tyle, że się serce ściska ze strachu.

— A Ameryka?

— Gdyby się ruszyła... ha! gdyby Ameryka z całą swą potencją... he! — wtedy... — rozjaśniło mu się lice, oprzemieniły się oczy blaskiem żywej radości — wtedy, panie tego — zacierał ręce — tobyśmy sobie trochę pogadali... ale... wątpić należy...

— Toczy się ostra wymiana not między rzą-dami, a od sporu do wojny, od słów do czynu...

— Droga czasem tak daleka, jak...

— Skok przez rów lub mrugnięcie okiem.

— Daj Boże! lecz nie wydaje mi się, by Niem-cy byli tak głupi...

— Nie bez słuszności mówią, iż pycha po-przedza upadek i pycha do czynów szalonych. Z studenckich jeszcze czasów, spędzonych w Niemczech, pamiętam ich własne przysłowie: „Hochmut kommt vor dem Fall”, a Niemcy, uwa-żasz, mają tę butę, która ich pchnie na bezdroża. W swej pysze gotowi są mierzyć się z całym świat-em, sądząc, iż go zmogą i tu mogą się przeracho-wać. Weź choćby takiego Kökeritza. Żołdak, cham, prostak a butna szelma, jakby już świat cały miał w swącej cholewie...

Weszli na tory polityki, potem zawrócili do spraw osobistych, które zależały oczywiście od przebiegu spraw ogólno-swiatowych. Cała Europa trzęsła się w posiadach. Z wiosną spodziewano się obustronnych, gwałtownych uderzeń, zmierzają-cych do rozstrzygnięcia wojny i losów świata. Po-za frontami gotowały się ludw do ostatecznej roz-prawy. Fabryki, koleje pracowały noc i dzień, lud-zie wyteżali wszystkie siły, by pracą swą w głębi kraju zapewnić frontowi niechybną, miażdżącą moc uderzenia. Snuli się pracowicie ludzie jak mrówki, gromadząc wszystko potrzebne do zwy-cięstwa. Niemcy jednak zostawali w tyle, pozba-wieni surowców i środków żywności, które ścia-gnęli wprawdzie w dużych ilościach, wyciśniętych przemocą z Polski i Ukrainy, nie mogli jednak mierzyć się z koalicją, która dysponowała spi-chrzami całego świata. Cała Ameryka i Australja pracowały noc i dzień bez przerwy w przemyśle wojenym, wyrabiając broń i amunicję oraz dostar-czały zasobów żywności w ilościach wprost nie-prawdopodobnych. Podczas, gdy wojska austrjac-kie żywiono śledziami lub zupą zgniłych kartofli, okrywano w mundury, które nie wytrzymały

ulewnego deszczu, wojskom koalicyjnym nie zbywało na niczem. W fakcie tym tkwiła dużo mówiąca, groźna przewaga koalicji nad Niemcami, z czego sztab generalny niemiecki zdawał sobie sprawę i parł do rozstrzygnięcia, rozumując, iż każdy dzień zwłoki zmniejsza szanse zwycięstwa. Z tego też powodu poczyniono z wiosną 1918 r. najgrunaowniejsze przygotowania, obmyślono szczegółowo i pracowicie plan ataku tak, by pchnięcie było śmiertelne. Władzę naczelną nad wojskiem powierzono Hindenburgowi, w którego wierzone, iż odpowie zadaniu. Atak szczęśliwy, rozstrzygający okazał się koniecznym nie tylko ze względu na uszczuplone zapasy rezerw i środki żywności lecz także ze względu na położenie wewnątrz kraju, które zaostrzyło się znacznie i przeszło w stadium szczególniejszego napięcia z chwilą wypowiedzenia wojny przez Amerykę, która już z chwilą wstąpienia w szeregi koalicji swymi nieograniczonymi środkami technicznymi przechyliła szalę. Niemiecki sztab generalny nie doceniał zrazu sprawności wojsk amerykańskich, które niebawem pojawiły się na froncie, nie mniej przecież rozumiał, że nie tylko technika lecz i ilość rozstrzygnie o wyniku wojny, Ameryka zaś zdolna była rzucić w bój nieprzeliczone zastępy, którym Niemcy mogą przeciwstawić resztki swej armji. Resztki te były niewątpliwie jeszcze dość potężne, by w defenzywie wytrzymać największy napór, były jeszcze dość silne, by podjąć nawet ofensywę, były jednak jeszcze słabe, by przewlekać wojnę do sposobnej dla uderzenia chwili. Niemcy, wnikając coraz dokładniej w swoje położenie, nie mogli oprzeć się trosce, która zmorą obsiadła ich dusze, iż zawisli nad przepaścią, przed którą jak mniemali, uchronić ich tylko może uderzenie gwałtowne i stanowczo rozstrzyga-

jące. Lecz złuda to tylko była, która przesłoniła oczy, Francja bowiem, a z nią cała koalicja zdecydowana była walczyć aż do ostatniego tchu, aż do wyparcia z ziemi francusko-belgijskiej ostatniego niemieckiego żołnierza, wobec czego nawet najgwałtowniejszy a szczęśliwy atak, przynoszący w zysku nabycie nowych terenów, nawet zdobycie Paryża, co w danych warunkach było wykluczone, nie przyniosłoby Niemcom upragnionego dla nich zwycięstwa.

W tej chwili nie ważyły się już szale o szmat tej lub tamtej ziemi, w tej chwili chodziło o: być albo nie być. Stąd więzono z nadchodzącą wiosną 1918 r. po obu stronach najwyższe nadzieje, po obu bowiem stronach chodziło o najwyższe dobro, istnienie narodów i losy świata, a wśród nich i Polski, co do której wypowiedzieli się pierwsi Włosi. W parlamencie włoskim padły wielkie i ważne słowa, domagające się niepodległości Polski. Komitet polski w Szwajcarii, zostający w żywym kontakcie z koalicją krzątał się koło sprawy, zabiegając skrzętnie około wzbudzenia zainteresowania się losami nieszczęsnego narodu, który jęczał pod obuchem niemieckim.

Stale o tym wszystkim przeciskały się wieści do Polski, która chwycona ciężką łapą niemiecką pod gardło, cierpiała, bezbronna szła w jarzmie.

Ciszę cmentarną przerywały słuchy, co szły zdala, niosły się z zachodu, krzesząc w sercach pierwsze skryte nadzieje, chowanej w dusz głębi niaby skarb najdroższy, z ust do ust szeptem podawane.

— Ponoć nawet — mówili jedni — walczą już na zachodzie wojska polskie i biją się sławnie...

— Ii... plotki! skądżeby się wzięły? przecie nie wyrosną, jak grzyby po deszczu... mówili drudzy.

— A z wziętych do niewoli włoskiej i z tych, mówią, co przebili się przez Niemców na Ukrainie i drogami okrężnymi po długiej tułaczce na ziemi francuskiej stanęli, no i z tych przecież, co we Francji żyli.

Nadsłuchiowano chciwie skąpych wieści — krzeniły się niemi znękane dusze i serca rosły. Dźwignął się i pan Andrzej z swej męki, odzyskał energję i nabrał dawnej sprężystości, skupił się pan Tomasz i zbroił ducha w cierpliwość i niecił radość w swem zboliałem sedcu.

— Psia ci jucha — wybuchał pan Andrzej — gotowa być porządna zabawa.

— A będzie! — zapewniał pan Tomasz.

— Żreć nie mają co...

— Gonia ostatekami — wtórował pan Tomasz.

— A tam ci Ameryka wali...

— Jak burza...

— I tego... zgniecie... panie tego... pludraków

— I tego... wymiecie... panie tego... pludraków szwabskich...

— Do czysta!

— A czulem to zawczasu przez skórę, że tak być musi...

— Ty? Jędrusiu, łziesz jak najęty, bo przecież to ja...

— Jeśli o ścisłość chodzi, to Ewka...

— Tak, Ewka...

— Ona zawsze mówiła... lzy stanęły mu w oczach... Boże mój! co też z tem dzieckiem się dzieje?

— Zdrowa, to grunt, przecież miałaś wieści... a teraz to chyba już rychło wybije godzina...

— O, Boże! dajże też tę chwilę, potem mogę już spokojnie spocząć przy ojczach...

— A wiesz ty, że bo już niespełna dwa lata...

— O wiem ci ja, wiem! Liczyłem godziny, każda zdała się wiecznością...

liczył te straszliwe dni, ciężkie i te noce bezsenne i te chwile rozpaczy, w której łamała się dusza,

Popadł pan Andrzej w zadumę.

— Ileż zgryzoty, niewysłowionej męki — szeptał — lecz znać Bóg tak chciał. Lżyłem mu nieraz, niegodny, kiedy robak wściekłości i buntu toczył duszę, żarł... Jeśli mi Bóg łaskawie zachowa Ewkę przy zdrowiu...

Czynił jakieś śluby tajemne i zadawał winy skruczą przejętą, i prośbę niósł w pokorze Panu o ocalenie Ewy, której życie ułożyło się z biegiem czasu cicho i spokojnie. Zrazu szarpała się, popadła w rozstrój nerwowy, nawet myśl ważyła o samobójczej śmierci, której czujne straże na szczęście w porę zapobiegły, później jednak oswoiła się z myślą o utraconej wolności, i przyzwyczaiła się wkońcu do nowego trybu życia, który snuł się leniwo, ociąga się i sennie się wlecze. Z czasem starał się porządek dnia urozmaicić, wyszukując coraz to nowe zajęcia, związane z utrzymaniem celi w czystości i porządku i dzień spędzała ściśle wedle programu, który miał na celu skrócenie dnia i odwrócenie myśli od ponurej rzeczywistości. Najdotkliwiej odczuwała brak wieści o domu rodzinnym i o wypadkach, które, jak przypuszczała, musiały się toczyć z błyskawiczną szybkością i posunąć się znacznie naprzód, o ile już nie dojrzała i nie dokończyła gigantycznych zmagania. Próbowwała w tej mierze zasięgnąć od dozorca języka, lecz ten trud okazał się daremnym, mrukiwy bowiem żołdak, który dwa razy dnia zjawiał się w celi, zbywał ją milczeniem lub obrzucał przekleństwem. Aż dnia pewnego zawitały nagle, najniespodziewaniej przesłane przez pana Toma-

sza książki, których widok wprawił ją w szal radości.

— Księżeczki moje, kochane! — jakież Bóg miłosierny w niedoli! o! duszo, nasycisz twe pragnienie i myśl okoisz, co boli i dręczy.

— O! dzięki serdeczne, dobry panie! — zwróciła się do żołdaka, któremu złoto gębę rozwiązało, i z czoła rozpędziło złowrogie chmury, strojąc je w życzliwość. Mrukliwy okazał się rozmownym, zły okazał się dobrym — złoto czyni czasem cuda... i duszę przeobraża nędzników.

Począł rozpowiadać o wszystkim, co zaszło od chwili aresztowania Ewy, o rozkładzie Rosji, o potędze Niemiec, które gotują się do zadania wrogowi śmiertelnego ciosu, a wreszcie półgębkiem Polskę oskarżał, która, zdaniem Niemców, zawiodła pokładane w niej przez nich zaufanie.

— Ale to gorzej dla was — kończył wywody — bo jeśli my zwyciężymy, a to nastąpi tak pewnie, jak jest Bóg na niebie, usługi wasze, nam oddane, będą sprawiedliwie odważone wedle starego waszego przysłowia: jak Kuba — Bogu, tak Bóg — Kubie!

Splunął i wyszedł, drzwi zatrzasnąwszy za sobą z pasją.

— Więc nie dali się wziąć na obietniki, nie poszli na plewy — cieszyła się niepomiernie — to dobrze! Szczęścić sił, szczęścić sił! bo rychło może nadejść dzień... — snuła w wiecznym przeczuciu wizje radosne zwycięstwa — gdy uderzą dzwony, głosząc zmartwychwstanie.

I myśl krążyła dumna orlim, górnym szlakiem, szybowała wieszczym, proroczym lotem ku jasnym dniom, co przyjąć miały, by radość tętnić w serca, rozpalić złotych zórz ogniska, co światłem nigdy niewygasłym rozpromienią dusze. Wybiegła myśl radosna, wolna z za krat więziennych

i całą Polskę ogarnęła prężnymi ramiony, pędząc ku lepiankom, chatom i pałacom i wici niosąc o świtanu wróżebne, co poprzez mrok się przebiwszy, zorzę stanęło ciche u wrót, wspaniałe, ogromne, w tysiąc barw się skrzące. Biegła myśl skrzydlata, niby anioł biały, od Boga zesłany i na odrzwiach znaczyła znak wolności tajemny. Pukała do wrót, krzepiła serca i budziła dusze, by, szaty przybrawszy odświeżone, wyszły na rozbieżne drogi witać z tęsknotą wolność, anielicę, co w dłoniach przezczystych niosła łaskę Pana.

— Więc wiara i oddanie Panu — myślała — miałyby istotnie wyjednać tę łaskę? miałyby tę moc odwrócić zło? Niewątpliwie tak, lecz poprzez je muszą czyny, które płyną z wiary, które są jej świadectwem niezbitem. A nasze czyny choćby moje..

Zapłatała się niespokojna myśl w dociekaniu, czy czyn całego jej życia były godne i czyste, czy wypływały z wiary, były jej wyrazem, czy wszystko wreszcie, co czyniła, miało cechy ofiarnej służby dla ojczyzny.

— Bo to jest niewątpliwem — snuła gorączkowo myśl — że ojczyzna odrodzić się może tylko przez czyn. Lecz w czym ten czyn leży? czy w zamordowaniu cara, czy innego ciemiezcy? czy w czynach orężnych?

— Historia Polski przedrozbiorowej rozważała — jest tego żywym zaprzeczeniem. Mimo wielu nieśmiertelnych, wiekopomnych czynów wojennych nie zdołał naród polski zapewnić sobie potęgi i wielkości, nie zdołał zrzucić silnych fundamentów pod trwałe, wieczny gmach wolności, którą mimo wiary i męstwa utracił.

— Więc nie starczyła wiara, z której przodkowie słynęli?

Tłukła się myśl, szukała dróg.

— Wiara to tylko stan uczuciowy, który okaże się fałszem, o ile czyny nie będą z nim zgodne, nie wynikiem z niego, nie będą jego nieodzowną konsekwencją. Stan uczuciowy, zwany wiara musi być punktem wyjścia, założeniem dla naszych czynów, z których ani jeden nie może i nie śmie odchylić się od linii, dyktowanej wiara.

— Przodkowie nasi — moziła się myśl nieprzerwanie w poszukiwaniu za rozwiązaniem palącego zagadnienia — toczyli swoje boje w imię wiary, dla której nie skapili mienia i krwi lecz inne ich czyny zdradzały brak gorącej, prawdziwej wiary i ostatecznie przechyliły szalę, zgotowały klęskę.

— Nie było w ich sercach miłości bliźnich, tego fundamentu Chrystusowej wiary, która cała właściwie streszcza się w nauce: kochaj bliźniego swego, jak siebie samego. A tam, gdzie brak tego fundamentu, wali się gmach i sypie w gruzy. W sercach ich był natomiast nad wiarą wybujały, oschły egoizm, z którego płynęło wszelakie zło. Nie było w nich żadnych cnót prócz męstwa, a cnota, doskonałość wewnętrzna, „ustanowienie siebie samego“ są warunkiem szczęśliwego istnienia doczesnego i wiecznej szczęśliwości w zespoleniu się z Panem, najwyższą doskonałością. Nie mógł istnieć — konkludowała — i paść musiał naród, który w sercu pustkę nosił, a na ustach tylko wiarę!

— Do tych wniosków — myślała — doszedł Słowacki drogą krwawej męki poprzez Kordjana, Auchellego, Lill Wenedę, o tej doskonałości mówił Wyspiański w akcie II „Wyzwolenia“:

„I budować poczynam wszystko z rzeczy lotnej jak słowo i lotniejszej jak puch. Budować wielki poczynam gmach, pałac, miasto. Jerusalemem buduję nową li za zmysłem oczu i za słucha-

niem idąc. I nie obrażę niczem uczuć sąsiada i oka bliźniego nie obrażę — a nasycę, serce moje i zmysły moje wszystkie nasyca. Oto buduje Polskę!

— O gdybyśmy chcieli wypełnić wszystko — myślała — co w cudownych swych księgach nasi nieśmiertelni mistrze zamknęli, gdybyśmy do dzieł ich sięgnąć chcieli niby do skrzyń, pełnych nieprzebranych bogactw, zdobyczy duchowych, gdybyśmy czerpać chcieli ze źródła wiecznej mądrości, zaklętej za łaską Pana o ich księgach...

Niestety! choć tak nam są bliscy i tak kochani, choć sercem są serc naszych, jakże nam są dalecy, obcy i nieznan!

Wniknęła skrupulatnie w swoje życie, przepatrywała pilnie życie drugich, badała życie całego narodu i z najwyższą boleścią dojrzała w duszach śmiecie i chwasty. Dostrzegła je nawet w swojej własnej duszy.

— Żądza zemsty — pograżyła się w kontemplacji — jest często osobistem, pogardy godnym uczuciem.

Nie odrodzi się naród, jeśli z serc swych czytanych, jak anioł skrzydła ojczyźnie nie złoży ofiary, jeśli dusz swych, naczyń bożych nie odda jej w służby!

— Jeśli kiedy wolność odzyskam — wybrnęła z dróg poplątanych na bite szlaki światła i prawdy — zacznę pracę od siebie. Tak snuła myśli, niby z motka nici, doszukując się prawdy i dróg, coby wiodły do zbawienia ojczyzny, rozstrząsała zagadnienia, związane z oczekiwaniem powołaniem narodu do nowego życia, pojmowała trud i znośną pracę duchową, by ducha hartować i gotowym go czynić do służby w szeregach rzeźkich pracowni-

ków, co wyplenwszy zło w duszach, w piersiach wykrzeszą czynów stal mocą swych cnót i służby ofiarnej.

Na rozmyślaniach i lekturze upływał jej w ci-szy czas, a tymczasem świat pokrył się chmurami, które, zdało się, niosły nieuchronną zagładę. Niemal cała zachodnia Europa jęczała od nieprzerwanego huku armat, które, rozwarłszy śmiercionośne paszcze, zalały ziemię jednym morzem ognia.

Niemcy ruszyli potężną lawą do rozstrzygającego ataku. Kombinowali, iż, skoncentrowawszy na jednym odcinku frontu potężną armję, poparte nieprzeliczoną, ciężką artylerją, przelamją front okalicji, złamią go, zwiną i zwycięsko ruszą naprzód ku tak gorąco upragnionemu celowi. Lipiec, sierpień, wrzesień 1918 r. były miesiącami ostatniej próby sił, która wypadła dla Niemców w sposób druzgocący ich nadzieje. Mimo wściekłych ataków, wykonanych z największymi ofiarami w ludziach i materiale wojennym nie osiągnęli żadnego sukcesu, przeciwnie — wykazali zanikającą już zdolność bojową, mocą której z trudem największym zdołali powstrzymać potężną przeciw-akcję marszałka Focha. Jasnym było dla samych Niemców i dla całego świata, iż o wygranej nie może być mowy. Jedynym już pragnieniem Niemców w tej chwili było utrzymać stan posiadania. Lecz marszałek Foch wszczął wielkie dzieło, w najdrobniejszych obmyślone szczegółach, wykonane precyzyjnie przez skoncentrowane siły Francuzów, Belgów, Anglików, Amerykanów, Polaków, Turków, Serbów i innych narodów Europy, Azji, Afryki, Ameryki, które w niewec obrócili dumne Niemców zamysły.

Sprawiedliwe losy wypisały wyrok.

Skłębił się front niemiecki pod ciosami, skurczył a potem rozprysnął, rozlał w mrowisko ludzi,

odpływających bezładnie od miejsca klęski, kędy padły orły i słodkich a niespełnionych marzeń kołębki. Rozluźniły się szybko w dyscyplinowanej nad podziw armji wszelkie więzy, rozpełtały dzikie instynkty, obudziła się u wszystkich przeciw wszystkim zajadła nienawiść, która ujścia szukała. Potworzyły się za wzorem Rosji rady robotniczo-żołnierskie, dążące do zagarnięcia władzy i wywarcia zemsty na tych, którzy pędzili na śmierć i morzyli głodem. Przyszło do walk bratobójczych, które wywołały tem większy zamęt i chaos.

Pogrom Niemiec odbił się w Polsce radosnym echem. Wprawdzie komunikaty niemieckie z pola bitew ciągle tylko notowały: „nic nowego“ lub „odczepiliśmy się od nieprzyjaciela“, wprawdzie surowa cenzura niemiecka bezwzględnie skreślała wszystko, co mogłoby umysły polskie poruszyć i rozbudzić nadzieje, nie mogła jednak przecież zmienić toku wypadków, następujących po sobie z błyskawiczną szybkością wszystko niszczącej lawiny, jak abdykacja cesarza niemieckiego, ustalenie republik rad robotniczo-żołnierskich, wypędzenie panujących królów i książąt, rozpadnięcie się niemieckiej rzeszy, zupełny rozkład armji, porzuconej przez żołnierzy, którzy do domów wracali, niosąc w zanadrzu noże, skierowane w pierś bratnią. Wypadki na zachodnim froncie musiały z konieczności rzeczy odbić się echem na wschodzie w sposób osobliwy. Ziemię polską, dyszącą ciężko pod batem niemieckim, ściśniętą w żelazne okowy, poczęły drgać, ruszać się, żyć. W duszach polskich poczęła się budzić myśl zerwania pęt. Zrazu kryła się nieśmiało w zakamarkach przejącej się do czynu duszy, później poczęła rość, wzmacniać się i budzić do czynu. Na razie nikt nie wiedział, od czego zacząć, gdzie kres marzeń, a gdzie początek czynu, który rodził się i zwolna

w duszach dojrzywał, by wreszcie z furją wypaść ze sfery uczuć i myśli i runąć na wroga, jak pracujących w żelazo zakute szeregi, co krwawą hańbą pochód znaczyli zwycięski. Dźwigał się naród i krzepił, kuł w kuźniach dusz zwycięską broń i czekał jeszcze niepewny, bo oto garnizony niemieckie, rozlokowane na polskich ziemiach, twarzą stały jeszcze stopą, każdej chwili gotowe — ach! jak pochopne! — do tygrysięgo skoku. Lecz nie były to już te zwarte, spoiste zastępy, w żelazną ujęte dyscyplinę, przeciwnie wkradło się już w nie, na zewnątrz dla oka niewidzialne rozluźnienie, które toczyło jadem i targało gmachu wiązadła. A z drugiej strony wstawał naród polski, potężny w pragnieniu wolności, wielki przez żar swych dusz, co razem skrzyknęły się z łoża boleści do czynu wielkiego oswobodzenia ojczyźnej ziemi. W ten sposób nastąpiła doszczętna przemiana wartości: tam rozkład stopniowy, tu gwałtowne skupienie, tam rozstrój, tu harmonja serc i uczuć, tam lęk śmiertelny przed tragicznym jutrem, tu wiara w jutrzejsze zwycięstwo, tam zwinięcie skrzydeł, tu pęd wulkaniczny, niepohamowany do wielkiego lotu. Nie było człowieka, któryby wątpił, po czyjej stronie leżą szanse zwycięstwa. Wszystkich naprężone umysły czekały chwili, hasła, które wreszcie padło, i cały świat obiegło: kapitulacja Niemiec na podstawie czterestu punktów Wilsona.

Niebawem złożył o położeniu rzeczy raport dokładny kurjer przysłany z Warszawy do Kökeritza. Rozmowa toczyła się przy drzwiach zamkniętych.

- A to was gibt's?
- Najstraszniejsze wieści, panie generale.
- Marszałek Foch pobił na głowę nasze armje, które cofają się w popłochu.

— Was reden ein solden Dummheiten!

Kökeritzowi znane było trudne położenie Niemiec, lecz nie przypuszczał, aby sytuacja miała w kilku dniach ulec tak gwałtownej zmianie i wierzył w możliwość wyjścia z pułapki z honorem.

— Pismo excelencji Beselera potwierdzi mój raport.

Von Kökeritz szybko, drżącą ręką rozdarł kołpertę i drgnął.

— Was? Niemcy proszą o pokój? cesarz abdykował? rady żołnierskie? w Berlinie rewolucja? ależ to okropne!

— Niestety! — potwierdził kurjer.

— Jednem słowem....

— Tragiczny koniec!

— Wielki sen cesarza o podboju świata...

— Stał się punktem wyjścia dla najsmutniejszej rzeczywistości — Niemcy w gruzach!

— Straszne! straszne! — nie posiadał się Kökeritz z żalu — warunki pokoju już podyktowano?

— Czternaście punktów Wilsona. Co do cesarza koalicja złożyła oświadczenie, iż z Hohenzollernami nie będzie traktowała o pokój, na skutek czego Scheidemann wypowiedział mowę, w której sformułował żądanie abdykacji cesarza.

— Gdzież teraz cesarz przebywa?

— Do abdykacji był w wielkiej kwaterze.

— To mnie jednak dziwi, że feldmarszałek Hindenburg nie potrafił opanować sytuacji...

— Feldmarszałek widząc, że armja w rozsypce...

— Jakto w rozsypce?

— Armja nie istnieje.

— Wie denn? — ryknął Kökeritz zniecierpliwiony.

— Armja rozsypała się w niesforne bandy, które bez rozkazu opuściły front.

— Karabiny maszynowe byłyby przywróciły dyscyplinę, ja byłbym kazał strzelać jak do kaczek bez ceremonji.

— Ganz und gar unmöglich, Herr General! Jakby na komendę wybuchł bunt w całej armji — unters uns gesagt, było tej wojny już dosyć!

— Was? — skoczył wściekły — pan się też buntuje? ja na buntowników mam sposób niezawodny! Tam na zachodzie niech się buntują, ale tu w Polsce będziemy dalej rządzić żelazną ręką. Straciliśmy na zachodzie, zyskamy na wschodzie, a że kilka lat ein Revanchkrieg mit Frankreich ale wtedy mit Gottes Namen denn werden wir Jester darufhauen! Co do Polski — zasobny kraj, rekruta da, trzeba ją tylko w żelazne zakuć dyby...

— Właśnie co do tej kwestji...

— No?

— Excelencja von Beseler polecił mi ustnie...

— No, was ist?

— Nowy rząd w Berlinie...

— Jaki nowy?

— Cesarz wszak abdykował...

— Aha, ja, richtig, doch...

— Musiał więc powstać jakiś rząd...

— Ganz klar! nun?

— Nowy rząd zaleca zarząd tego kraju na terenie generała - gubernatorstwa przekazać polskiemu rządowi.

— Nowy rząd dostał chyba bzika?

— Nie wiem — odparł kurjer sucho.

— Ty nie wiesz, ale ja tego jestem pewny.

— Być może.

— Bo jak można podobnie głupio... Więc po to przelaliśmy krew niemiecką w wojnie z Rosją, by Polskę ujrzeć wolną? Do kroćset! potracili

głowy! Was menist du darüber, Richter? — zwrócił się do Rychtera, który z miną obojętną pyrzył słuchując rozmowie niby sporowi, toczącemu się o partję bilardu.

— Sądzę, że nie pozostaje nic innego, jak zarządzenie wykonać.

— Nie und niemals! — zachnął się von Köke-ritz — tego nigdy nie zrobię! Nie uznaję zarządzeń rządu rewolucyjnego — das gibt's nicht bei mir! jestem königlich — preussischer General, świeżo mianowany przez cesarza i jemu tylko winien jestem posłuszeństwo.

— No, ale cesarza już niema — zauważył oschle von Richter.

— Das machts nichts! ja tu zostaję i będę dalej dusił tu polskie bestje.

— Generał gubernator zawaidomił już radę regencyjną o decyzji rządu berlińskiego i w myśl tego polecił mi zakomunikować panu generałowi, aby pan generał na razie postępował stosownie do okoliczności aż do dalszych dyspozycji.

— Wszystko pójdzie po staremu, żebym miał sam wojnę wszcząć na nowo.

— Z czem? — rzucił ironicznie von Richter.

— Jakto z czem? z moją brygadą, z warszawskim korpusem Beselera.

— Przestały istnieć — zauważył kurjer.

— Du bist wahnzinnig, mein lieber!

— Nie mniej jest to prawdą — w pańskiej brygadzie, panie generale, dziś już nie pan rozkazuje, lecz rady żołnierskie — rzekł Richter.

— Ty się licz ze słowami, bo cię czeka kula!

— Pan generał sam się przekona, pan nic o tem nie wie, bo stało się dzisiaj rano, kiedy pan generał objeżdżał powiat.

— Himmel — Kreuz — Donner — Wetter! — wybuchnął z wściekłością — a gdzie ty byłeś? jak

mogłeś do tego dopuścić? co robili inni oficerowie?

— Poszli za falą.

— Ja was przed sąd wojenny postawię! jak śmieliście...

— Ulegliśmy presji.

— Presji? pruski oficer? i ty się nie wstydzisz, ty, pruski oficer? raczej w leć-bym sobie palnął!

— Mam żonę i dzieci — odparł von Richter ostro.

— Ponad wszystko cesarza!

— Cesarza śmierć moja nie uratuje.

— No, jeśli ty tak mówisz, dann ist Deutschland wirklich verloren! — mówił niemal przez łzy — idźcie precz! — cisnął twardo — nie mogę na was patrzeć! z piersi mojej zawsze pieśń popłynie: Deutschland über alles!

— Abtreten! — rzucił rozkaz po chwili pełen ciężkiej zadumy — do wojska wydam rozkaz.

— Panie generale!..

— Cóż jeszcze?

— Pan generał... nie jest komenderującym...

— Was? co ty szczekasz? ja nie jestem komenderującym?! — skoczył ku niemu z zaciśniętymi pięściami.

— Tak jest, panie generale! Rady żołnierskie złożyły pana generała z urzędu.

— I ciebie zapewne nim mianowały!

— Ja podałem się do dymisji i dziś jeszcze wyjeżdżam.

— Richter, ty oszalałeś!

— Nie, panie generale! nie płynę tylko przeciw fali, inaczej mnie zmiecie, że śladu po mnie nie zostanie. Pan się musi z tem pogodzić, Herr General! sonst...

— Sonst? — napierał nań roziskrzonym, pełnym wściekłości wzrokiem.

— Może pana generała spotkać nawet śmierć!

— Wolę ponieść śmierć, niż popełnić zdradę! Adieu, meine Herren! — chcę zapomnieć von Richter, żeśmy kiedyś pod jednym sztandarem służyli! ja wytrwam do końca.

Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Von Richter i kurjer wybuchnęli śmiechem, w którym jednak drgały tony serdecznego żalu.

— Tyle trudu, tyle ofiar — zauważył po chwili von Richter ze smutkiem — i wszystko na nic! Takiej strasznej klęski nie przeżył nigdy żaden naród.

— Wiódł go na pasku cesarz.

— Więc niech on sam pokutuje...

— Da sobie radę, nie zginie, a naród będzie cierpiał.

— Co prawda, naród też chciał wojny.

— Naród?

— Nie pamiętasz mowy cesarza w Reichstagu? mówił przecież: nie znam żadnych partji, znam tylko Niemców.

— Tak, przypominam sobie, mówił.

— I nikt wtedy gęby nie otworzył, nawet ci socjaliści...

— Bo wszyscy, będziemy szczerzy — odrzekł kurjer — spodziewali się sowitych lupów: Polska, Francja, rynki światowe, Anglii wydarte! Nęciły, cisnęły broń w dłonie, jak gdybyśmy niedość mieli dostatku i bogactw. Unsere lieben, deutschen Gauen zdały nam się być ciasne, więc teraz poniesiemy zasłużoną karę. Wojska francuskie pakują się na nasze ziemie, ludzi padło moc...

Głowy zwiesili na piersi w zadumie i umilkli targani bólem. Nagle doszły ich uszu z ulicy krzyki, strzelanina, wzrastająca wrzawa. Ocknęli

się, podeszli ku oknu i z przerażeniem ujrzeli toczący się przed ich oczyma na ulicach miasta ostatni akt niemieckiej tragedji, rozwiewającej nieodwołalnie dumny sen o potędzie i podboju świata. Tu był widomy, piorunem rażący butne niemieckie dusze kres marzeń, zaklętych w przemoc i siłę, tu widniał słup olbrzymi, graniczny, uwity z serc, miłością ojczyzny gorejących, poza którym rozpoczynało się władztwo pogwałconych dotąd brutalnie praw. Ginęły w blaskach wstającej zorzy ostatnie cienie straszliwej nocy, i wstawał świt, co rozniósł się po całej polskiej ziemi niewygasłym blaskiem i wróżył cudny, słoneczny dzień weiczny.

Sprawiedliwy Bóg okazał swą potęgę i moc, przywracał wolność narodowi, co cierpiał i żył w męce.

— Niedorostki podbiegały do oficerów i żołnierzy, odbierały broń niemal bez oporu. Przerażone masy zdemoralizowanego żołnierstwa cisnęły się do pociągów, odpływały co prędzej z „nie wdzięcznej“ polskiej ziemi, której ich dumny władca zamyślał przydać nową niewolnika szatę. Nie udało się „dzieło“, próżny trud, ukorowany haniebnem z ziem polskich wygnaniem. Beseler umknął cichutko nocą z Warszawy, von Kökeritz wbrew stanowczym zapowiedziom przybrał szaty turysty i niepostrzeżenie przesunął się ulicami miasta ku dworcowi. W kilka godzin niespełna zniknęły ślady panowania, które zakreślało programy władania na wieki.

Pan Andrzej i pan Tomasz kręcili się jak w ukropie. Inni byli to ludzie, zwłaszcza, kiedy odzyskali Ewę, której dusza przepaliła się w męce i wydała kwiat bujny i piękny. Rozbudził się u nich duch polski mocarny, niezłomny, co przodków wiódł przez cecorskie, raclawickie i grochow-

skie pola, co w duszach nasycił żar miłości ojczyzny i moc krzątał wytrwania.

I nowe szły dni, dni wyblaganej u Pana wolności, które pan Andrzej zainicjował dziękczynieniem, kornie Panu złożonem i wielką, z serca płynącą mową, wypowiedzianą do obywateli, którą zakończył:

Na rozkaz Pana minęła burza, która, zdało się, z korzeniem wydrze wszystko, co polskie! O serc naszych gorącą wiarę, o moc naszą wytrwania, przez ojców przekazaną, rozbiły się wrogie fale, rozprysły się w nicość, przez śmierć przodków nowe wstało życie! Jak nasza Wisła srebrna, co wiję się wśród zielonych pól, co w nurtach swych przechowa po wieki wieków polskiej męki tragiczną historję słać się będzie po wsze czasy, tak wić się będą opromienione łaską Pana dni wielkie, radosne wśród nowych kart historji, co godniejszą, sławniejszą się stanie od swojej smutnej pamięci siostrzycy a stanie się nią nie tylko przez sławne, orężne czyny, bo nie te stanowią wyłącznie o wielkości narodu, lecz przez czyny nasze codzienne uczciwe i prawe, w miłości ojczyzny i bliźnich poczęte. Miłość ojczyzny, która oby w duszach naszych rozświeciła się nigdy niewygasłym światłem, wypowiada się w czynie a czynem naszym — nasze uszlachetnienie, wewnętrzna doskonałość, mocą której nie dzieje się nic, co złe i co podłe, a dzieje się tylko to, co piękne, szlachetne tak w chwilach wielkich, jak i w życiu codziennem, szarem. Doskonałość nasza utrwali fundamenty odzyskanej, słodkiej nam wolności, za którą Domino maxima gratia sit, narodowi zapewni chwałę i laurem czoła nasze uwieńczy, który tem droższym dla potomnych będzie, iż złożą się nań liście przeogromnej męki lecz i wielkiej,

nsiepożytej zasługi, zasadzającej się na doskonałości, która po wieczne czasy zespoli nas z Panem.

— Noc straszliwej niewoli, którą Pan od nas w łasce swej odwrócił, niechaj będzie wiecznym męki dokumentem i księgą zarazem mądrości, z której czerpać będziemy naukę.

Przez czystość serc, szlachetność dusz gotujmy czynów stal, co w wrogów piersiach obudzą lęk, zaskarbiają łaski Pana i w przyszłość powiodą wielką, nieśmiertelną!

KONIEC.



W III KWARTALE 1927 R. UKAŻĄ SIĘ
W BIBLIOTECE DOMU POLSKIEGO

NASTĘPUJĄCE UTWORY:

MARION. *Na Wólce.* Powieść z 1905 r.

Nie rok 1905 i krwawe jego pokłosie, bo o nim tylko zlekka słyszymy w powieści, lecz „wieś zaciszna, wieś spokojna“ namalowana jest z takim artystycznym, że czas spędzony na czytaniu tej pięknej powieści, zdaje się być spędzony wśród „pól malowanych zbożem rozmaitem“.

CZESKA MĄCZYŃSKA MARJA. *Szlakiem Gromu.* Powieść.

Autorka tak dobrze czytającej publiczności znana, daje znów nową i niezwykle fascynującą powieść, osnutą na tle fantastycznego wynalazku Polaka w czasie wojny światowej. Niezwykle zajmujące losy bohaterów powieści będą napewno wzruszały czytelników.

LASON JÓZEF. *Żołnierz bez Ojczyzny.* Powieść.

Żołnierzem bez Ojczyzny nazwał autor żołnierza Polaka w czasie ostatniej wojny Europejskiej. Jak walczył i jak ginał żołnierz bez Ojczyzny, któż ładniej, mniej i prawdziwiej opowie, jak nie Lason, żołnierz, który tę golgotę żołnierza Polaka sam przechodził.

CZAJKOWSKI MICHAŁ. *Koszowata.* Powieść.

Z pyłu zapomnienia podjęta ta powieść kozacka, której tłem szerokie Dzikie Pola Ukrainy, warta jest przypomnienia. Akcja, jak zwykle u Czajkowskiego, niezmiernie żywa i zajmująca, pełna przygod, bojów i walk, tło powieści — Ukraina, zapewniają książce tej poczytność taką, jaką ongiś się cieszyła.

BRODOWSKI FELIKS. *Liote.* Nowele.

Feliks Brodowski, wspaniały stylistą, daje książkę piękną, czarem prawdziwej poezji owianą. Jest to książka, po którą czytelnik niejednokrotnie sięgnie.

R. L. STEVENSON. *Dzieci sprzedane* albo *Pamiętniki Przygód Dawida Bafoura* z r. 1756.

Fantastyczne powieści tego wielkiego pisarza angielskiego są arcydziełami. Powieść nasza, prócz wszystkich cech tego genialnego pióra, posiada i tę, że za tło ma owe historyczne walki między „Białą i Czerwoną Różą”. Wprowadza czytelnika w świat średniowiecznych czasów Anglii i pokazuje mu czasy te dokładnie, ściśle.

GRUSZECKI ARTUR. *Kolejarze*. Powieść.

Kogoż nie interesowały zajmujące powieści Gruszeckiego. A bodajby ostatnio przez Bibliotekę wydana „Na Podolu”. W „Kolejarzach” daje autor obraz czasów tuż przed wojną, na granicy zaborów Austrii, Rosji i Prus i obraz walki podziemnej o niepodległość. Wzruszająca książka o cichem bohaterstwie, wielkich poświęceniach z wdzięcznością zapewne spotkana będzie przez czytelników.

Biblioteka Domu Polskiego służy przede wszystkim ojczystej literaturze, a z niej wybiera jeszcze te utwory, które cechuje temat polski. Z literatur obcych B. D. P. podaje przekłady tylko najwybitniejszych autorów.

Popierajcie Bibliotekę Domu Polskiego, rozpowszechniając ją jak najszerzej. Wielka liczba prenumeratorów zapewnia każdemu czytelnikowi: — dobrą książkę i tanią cenę.

Twórcie biblioteczeki domowe, rodzinne, rozszerzajcie je. Pamiętajcie, że regularne odnawianie prenumeraty, to regularne dostarczanie książki.



12.266

